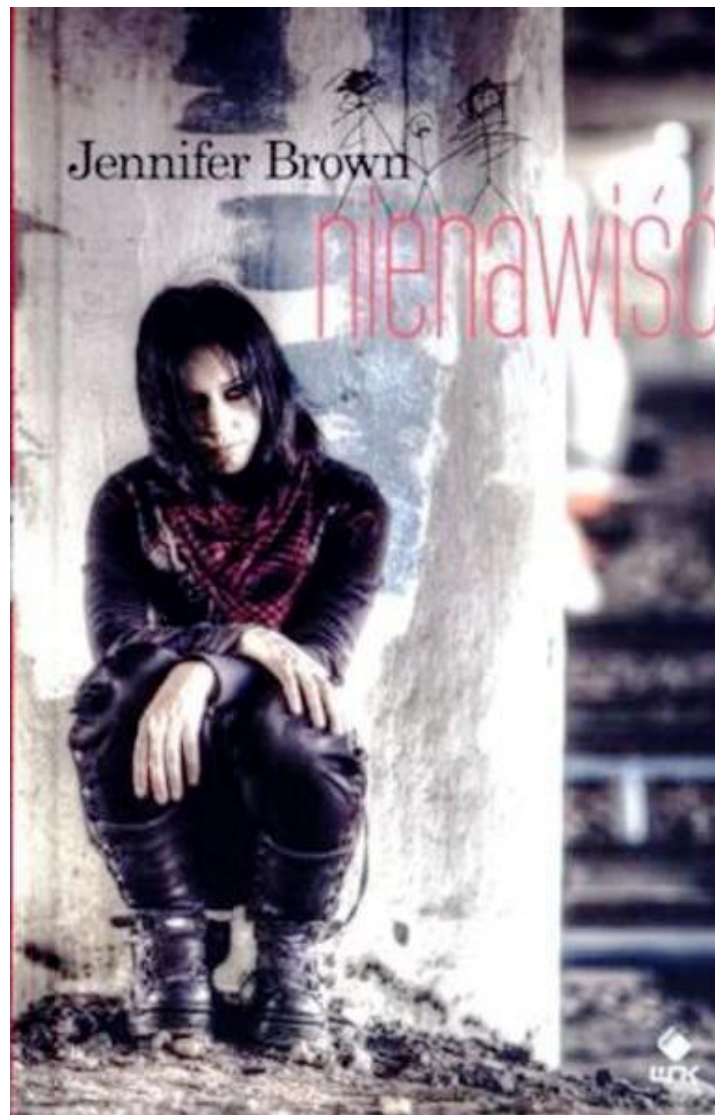




**Jennifer Brown**

**Nienawiść**

Przełożyła Maciejka Mazan



*Dla Scotta*

TLR

*Dowiedziemy wszystkim, że się mylą,  
i będą tańczyć, jak im zagramy.*

NICKELBACK

TLR

# Część pierwsza

TLR

# 1

[„Sun-Tribune”, 3 maja 2008, tekst: Angela Dash]

Ekipa śledcza pracująca nad identyfikacją ofiar strzelaniny, do której doszło w piątek rano, opisuje Sejm — czyli szkolną stołówkę w liceum w Garvin — słowami „makabryczny widok”.

— Nasi ludzie sprawdzają każdy szczegół — zapewnia sierżant Pam Marone. — Z uzyskanych informacji wylania się bardzo wyraźny obraz zajść wczorajszego dnia. To niełatwe zadanie. Nawet doświadczeni funkcjonariusze przeżyli szok. Ta tragedia wstrząsnęła wszystkimi.

W strzelaninie, która zaczęła się przed pierwszą lekcją, zginęło co najmniej sześćcioro uczniów, a wielu innych odniosło rany.

Ostatni strzał ugodził Valerie Leftman (16 lat), zanim Nick Levil, domniemany napastnik, odebrał sobie życie.

Leftman, trafiona z "bliska w udo, została przewieziona na oddział intensywnej opieki medycznej. Przedstawiciele szpitala opisują jej stan jako krytyczny.

-Straciła wiele krwi — powiedział obecny na miejscu zdarzenia funkcjonariusz policji. — Zapewne pocisk rozerwał tętnicę udową.

— Miała wielkie szczęście — twierdzi pielęgniarka pogotowia. — Najprawdopodobniej przeżyje, ale zachowujemy wyjątkową ostrożność. Zwłaszcza że chce z nią porozmawiać tyle osób.

Relacje świadków zdarzenia znacznie się różnią. Według niektórych Leftman to ofiara, inni nazywają ją bohaterką, podczas gdy jeszcze inni sugerują, że wspólnie z Levilem ukuła plan zastrzelenia nielubianych kolegów.

Jane Keller — uczennica będąca świadkiem zajścia — wyraża opinię, że Leftman została postrzelona przypadkiem.

— Wyglądało to tak, jakby się potknęła i wpadła na niego, ale nie mam pewności — wyznaje dziennikarzom dziewczyna. — Wiem tylko, że potem wszystko szybko się skończyło. A kiedy na niego upadła, parę osób zdołało uciec.

Ale policja jeszcze nie chce się wypowiadać, czy Leftman odniosła ranę przypadkiem, czy też było to nieudane podwójne samobójstwo.

Pierwsze doniesienia świadczą o tym, że Leftman i Le— vil zamierzali odebrać sobie życie; ich znajomi utrzymują, że dyskutowali także o morderstwie, co nasuwa policji podejrzenie, że za tą strzelaniną kryje się więcej, niż początkowo zakładano.

— Chętnie mówili o śmierci — zwierza się Mason Markum, kolega Leftman i Levila. — Nick częściej niż Valerie, ale ona też. Wszyscy sądziliśmy,

że to taka zabawa, ale teraz widzę, że nie. Nie mogę uwierzyć, że oni tak naprawdę... przecież ze trzy godziny temu rozmawiałem z Nickiem i nie pisałem o tym słowem. W życiu bym się nie kapnął.

Mimo niejasności co do charakteru obrażeń Leftman policja nie wątpi, że Nick Levil zamierzał popełnić samo— : bójstwo po odebraniu życia pięciu uczniom liceum.

-Naoczni świadkowie relacjonują, że postrzeliwszy Leftman, przyłożył broń do własnej głowy i pociągnął za spust — informuje Marone. Levil zginął na miejscu.

— Wszyscy odetchnęli — stwierdza Keller. — Niektórzy zaczęli bić brawo, co mnie osobiście wydaje się niefajne. 1 Ale chyba ich rozumiem. Przeżyliśmy koszmar.

Policja bada udział Leftman w strzelaninie. Bliscy dziewczyny nie udzielają wywiadów, a przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości przyznają jedynie, że rozmowa z nią stanowi „sprawę priorytetową”.

Zlekceważyłam trzeci jazgot budzika. Mama zaczęła się dobijać do drzwi, usiłując mnie wypłoszyć z łóżka. Jak co dzień. Ale ten rano różnił się od innych. Dziś miałam się pozbierać i żyć dalej. Widać matki z trudem rezygnują ze starych przyzwyczajzeń — jeśli budzik nie poderwie potomka z wyra, trzeba się wydierać i łomotać do drzwi, bez względu na okoliczności.

Tylko że w głosie mamy brzmiało to trwożne drzenie, które ostatnio często u niej słyszałam. Jakby nie wiedziała, czy to tylko foch, czy też sytuacja wymagająca telefonu na policję.

— Valerie! Musisz już wstać. Dyrektor zrobił nam wielką uprzejmość, że zgodził się na twój powrót. Nie zepsuj tego pierwszego dnia!

Jakby ponowne pojawienie się w szkole mnie cieszyło. Jakbym nie mogła się doczekać powrotu na te upiorne korytarze. I do stołówki, w której zawałił się mój świat. Jakby noc w noc nie prześladowały mnie koszmary, z których budziłam się spocona, zapłakana, z ulgą, że widzę swój pokój, gdzie nic mi nie grozi.

Władze szkoły nie potrafiły zdecydować, czy uznać mnie za bohaterkę, czy za morderczynię, i wcale się im nie dziwiłam. Sama się w tym pogubiłam. Byłam zbrodniarką, która wcieliła w życie plan rozstrzelania połowy szkoły, czy heroiczną dziewczyną, która pod koniec egzekucji omal nie złożyła ofiary z własnego życia? Czasem czułam, że łączę w sobie te dwie osoby. Czasem, że nie mam z nimi nic wspólnego. To wszystko mnie przerastało.

Rada szkolna usiłowała zorganizować w lecie ceremonię na moją cześć, co według mnie pobiło rekordy obłędu. Nie starałam się zostać bohaterką. Skoczyłam między Nicka i Jessicę bez zastanowienia. I z całą pewnością nie myślałam: „Oto nadarza się okazja, by ryzykując życie, uratować dziewczynę, która wyśmiewała mnie i nazywała Siostrą Śmierć”. To niewątpliwie heroizm, ale w moim przypadku... No cóż, nikt nie miał pewności.



Odmówiłam udziału w ceremonii. Powiedziałam mamie, że za bardzo boli mnie noga, muszę się wyspać i że to w ogóle głupi pomysł. Żalność dokładnie w stylu szkoły.

Nie wzięłabym udziału w takim obciachu nawet za pieniądze.

A tak naprawdę się bałam. Bałam się stanąć przed nimi wszystkimi. Bałam się, że uwierzyli w to, co czytali o mnie w gazetach i widzieli w telewizji — że jestem morderczynią. Że zobaczą to w ich oczach — powinnaś popełnić samobójstwo jak on — choć nikt mi nic nie powie. Albo gorzej, że widzą we mnie osobę nieulekłą i pełną poświęcenia. To mnie dobijało jeszcze bardziej, ponieważ to mój chłopak odebrał życie tym wszystkim ludziom i najwyraźniej sądził, że ja też tego pragnę. Nie wspominając już, że jak ostatnia idiotka nie zorientowałam się, iż mój ukochany zamierza wystrzelać całą szkołę, choć powtarzał mi to dosłownie codziennie. Tyle że kiedy otwierałam usta, by powiedzieć o tym mamie, padało z nich tylko: „No weź! To straszna żenada, nie poszłabym tam, nawet gdybyś mi zapłaciła”. Widać wszyscy z trudem pozbywamy się starych nawyków.

Dyrektor szkoły, pan Angerson, w końcu przyszedł wieczorem do naszego domu. Usiadł przy kuchennym stole i rozmawiał z moją mamą o... no, nie wiem... Bogu, przeznaczeniu, traumie i tak dalej. Pewnie czekał, aż wyjdę z pokoju z uśmiechem i powiem, jaka dumna jestem z mojej szkoły i że z największą radością złożyłam z siebie ofiarę, byle tylko uratować bezcenną Jessicę Campbell. Może czekał też na przeprosiny. Akurat na to mogłabym się zdobyć, gdybym tylko wiedziała jak. Ale na razie nie znajdowałam wystarczająco dobrych słów.

Pan Angerson czekał na mnie w kuchni, a ja włączyłam muzykę i zakopałam się w pościeli. Nie wyszłam nawet wtedy, gdy mama zaczęła się dobijać do drzwi i tonem, który zawsze przybiera przy gościach, prosić, żebym się zachowywała i zeszła.

— Valerie, proszę! — syknęła, uchylając drzwi i zaglądając do środka.

Nie odpowiedziałam. Schowałam się pod kołdrę. Nie chodzi o to, że nie chciałam zejść, po prostu nie mogłam. Mama by tego nie zrozumiała. Uważała, że im więcej osób mi „wybaczy”, tym mniejsze stanie się moje poczucie winy. A ja... Ja myślałam dokładnie na odwrót.

Po chwili zobaczyłam przez okno światła reflektorów. Usiadłam i wyjrzałam. Pan Angerson odjechał. Po chwili mama znowu zapukała.

— Czego? — burknęłam.

Otworzyła drzwi i weszła, płochliwa jak sarenka. Twarz miała czerwoną i pokrytą plamami, nos zatkany. Trzymała obciachowy medal i list z podziękowaniem.

— Nie mają do ciebie pretensji — powiedziała. — Chcą, żebyś o tym wiedziała. I żebyś wróciła. Bardzo doceniają to, co zrobiłaś. — Wcisnęła mi w rękę medal i list, który podpisało tylko około dziesięciu nauczycieli. Wśród nich, oczywiście, zabrakło pana Kline'a. Po raz milionowy od strzelaniny przeszło mnie poczucie winy. Pan Kline należał do osób, które podpisują takie listy, ale tego akurat podpisać nie mógł, bo nie żył.

Przez chwilę patrzyłyśmy na siebie. Wiedziałam, że mama spodziewa się z mojej strony jakiegoś wyrazu wdzięczności. Decyzji, że skoro szkoła wykonała ten ruch, to się jej zrewanżuję. Ze wszyscy powinniśmy żyć dalej.

— Aha — mruknęłam, oddając jej medal i list. — No... świetnie. — Usiłowałam się uśmiechnąć pocieszająco, ale okazało się to niewykonalne. A jeśli już nie chciałam żyć? A jeśli ten medal przypominał mi, że chłopak, któremu ufałam najbardziej na świecie, strzelił do mnie i popełnił samobójstwo? Dlaczego nie rozumiała, że przyjęcie podziękowań szkoły sprawiało mi ból? Jakby pozwolono mi czuć jedynie wdzięczność. Ze przeżyłam. Ze mi przebaczone i doceniono, że uratowałam życie innym uczniom.

Tymczasem ja nie potrafiłam niczego z siebie wydusić. Na ogół nie umiałam nawet nazwać tego, co czułam. Czasami smutek, czasami ulgę, czasami oszołomienie, czasami niezrozumienie. I bardzo często gniew. Co gorsza, nie wiedziałam, na kogo się gniewam najbardziej: na siebie, Nicka, rodziców, szkołę, świat. Czułam też gniew najgorszy ze wszystkich: na tych, którzy zginęli.

— Val — odezwała się mama z błagalnym spojrzeniem.

— Nie, naprawdę. Jest super i w ogóle. Ale chciałabym odpocząć. I ta noga...

Wtuliłam się w poduszkę i znowu okryłam kocami.

Mama spuściła głowę i wyszła przygarbiona. Wiedziałam, że podczas następnej wizyty zacznie suszyć głowę doktorowi Hielerowi w sprawie mojej reakcji". Już go widziałam, jak zaczyna, siedząc w fotelu: „A zatem powinniśmy porozmawiać o tym medalu...".

Mama schowała medal i list do pudełka z pamiątkami, które zbierała przez lata. Rysunki z przedszkola, świadectwa, list z podziękowaniem za przerwanie masakry. Według niej wszystko do siebie pasowało.

Żywiła upartą nadzieję, że kiedyś mi się poprawi, choć pewnie nie potrafiłaby określić, kiedy ostatnio widziała mnie w dobrym nastroju. Szczerze mówiąc, sama tego nie wiedziałam. Przed strzelaniną? Zanim w życiu Nicka pojawił się Jeremy? Zanim rodzice się znienawidzili, a ja zaczęłam szukać kogoś, kto uratuje mnie przed tym nieszczęściem? Dawno temu, kiedy miałam aparat na zębach, nosiłam pastelowe sweterki, słuchałam listy przebojów i myślałam, że życie jest proste?

Znowu odezwał się budzik. Pacnęłam go, niechętny strącając na podłogę.

— Valerie, wstawaj! — krzyknęła mama. Wyobraziłam sobie, że stoi ze słuchawką w ręku i z palcem wiszącym nad cyfrą 9. — Za godzinę masz lekcje! Obudź się!

Skuliłam się, przytulając poduszkę do brzucha, i zapatrzyłam na konie na mojej tapecie. Od dzieciństwa w trudnych chwilach kładłam się i patrzyłam na nie, wyobrażając sobie, że wskakuję na grzbiet jednego z nich i odjeżdżam. Że galopuję przed siebie z rozwianymi włosami, mój wierzchowiec nigdy się nie męczy ani nie chce jeść, a po drodze nie spotykamy żywej duszy. Przedemną rozciągają się tylko nieograniczone możliwości.

Teraz konie wyglądały jak zwykłe rysunki na dziecięcej tapecie. Nigdzie mnie nie uwoziły. Nie mogły. Fakt, że teraz już to wiedziałam, przybijał mnie. Jakby moje życie okazało się głupim złudzeniem.

Usłyszałam chrobot i jęknięłam. Oczywiście — klucz. W pewnym momencie doktor Hieler, na ogół stojący niezłomnie po mojej stronie, pozwolił mamie na wchodzenie do mojego pokoju. „Na wszelki wypadek”, rozumiecie. „W ramach prewencji”, rozumiecie. „Mając w pamięci sprawę samobójstwa”, rozumiecie. I teraz kiedy nie odpowiem na jej pukanie, mama może zajrzeć z telefonem w rękę — na wypadek gdybym leżała wśród porozrzucanych żyłek, w kałuży krwi wsiąkającej w narzutę w stokrotki.

Patrzyłam bezradnie na poruszającą się klamkę. Mama weszła na paluszkach. Faktycznie trzymała słuchawkę.

— Dobrze, że nie śpisz — powiedziała. Uśmiechnęła się i podeszła do okna. Uniosła żaluzje. Zmrużyłam oczy, porażone blaskiem porannego słońca.

— Włożyłaś kostium — zauważyłam, osłaniając się ręką przed światłem.

Mama wygładziła karmelową spódniczkę nieśmiałym gestem, jakby jeszcze nigdy nie ubrała się w nic ładnego. Przez chwilę wydawała się równie zdenerwowana jak ja, co mnie zasmuciło.

— Tak — mruknęła i tą samą ręką przygładziła włosy z tyłu. — Doszłam do wniosku, że skoro wracasz do szkoły, znowu zacznę pracować w biurze na pełen etat.

Usiadłam z wysiłkiem. Miałam wrażenie, że od tak długiego leżenia głowa mi się spłaszczyła. Nogę chwycił lekki skurcz. Z roztargnieniem roztarłam udo.

— Tak szybko?

Mama zbliżyła się do mnie, brnąc przez leżącą na podłodze stertę brudnych ubrań — trochę niezdarnie z powodu karmelowych szpilek.

— No... tak. Minęło parę miesięcy. Doktor Hieler uważa, że powinnam wrócić. Przyjadę po ciebie po szkole. — Usiadła na łóżku i pogłaskała mnie po głowie. — Poradzisz sobie.

— Skąd ta pewność? — spytałam. — Skąd wiesz, że sobie poradzę? Nie możesz wiedzieć. W maju sobie nie radziłam, a ty nie miałaś o tym pojęcia. — Wstałam. Gardło mi się zacisnęło i przestraszyłam się, że wybuchnę płaczem.

Mama siedziała nieruchomo, ściskając bezprzewodowy telefon.

— Po prostu wiem. Ten dzień się już nie powtórzy. Nick... odszedł. Nie denerwuj się tak...

Za późno. Już się zdenerwowałam. Im dłużej siedziała na łóżku, pachnąc perfumami, które w duchu nazywałam „perfumami do pracy”, i głaszcząc mnie po głowie jak przed laty, tym bardziej rzeczywista stawała się ta sytuacja. Musiałam wrócić do szkoły.

— Uzgodniliśmy, że tak będzie najlepiej, pamiętasz? — spytała. — W gabinecie doktora Hielera doszliśmy do wniosku, że ucieczka nie wyjdzie naszej rodzinie na zdrowie. Zgodziłaś się. Nie chciałaś, żeby Frankie cierpiał z powodu tego, co się wydarzyło. A tata ma kancelarię... Gdybyśmy to zostawili i musieli zacząć gdzieś od zera, zrobiliby się bardzo krucho z pieniędzmi... — Wzruszyła ramionami, kręcąc głową.

— Mamo... — spróbowałam, ale nie znalazłam odpowiednio ważnego argumentu. Miała rację. To ja stwierdziłam, że Frankie nie powinien się rozstawać z przyjaciółmi, przeprowadzać do nowego miasta i szkoły tylko dlatego, że trafiła mu się taka siostra jak ja. Że tata, który zaciskał gniewnie zęby, gdy tylko ktoś sugerował, żebyśmy się wynieśli z miasta, nie powinien zakładać nowej kancelarii, skoro tak się natrudził nad rozkręceniem tej. Że nie zdecyduję się na naukę w domu ani na zmianę szkoły w ostatniej klasie. I że niech mnie diabli, jeśli zacznę się kryć po kątach, jakbym miała coś na sumieniu.

— Przecież i tak zna mnie cały świat — oznajmiłam, bębniąc palcami po oparciu kanapy doktora. — I nie znajdę szkoły, w której by o mnie nie słyszeli. Już sobie wyobrażam, jakim wyrzutkiem stałabym się w nowej klasie. Tutaj przynajmniej wiem, czego się spodziewać. A jeśli stąd ucieknę, wszyscy jeszcze bardziej utwierdzą się w przekonaniu, że to moja wina.

— Ale licz się z trudnościami — ostrzegł doktor Hieler. — Staniesz przed wieloma wyzwaniem.

Wzruszyłam ramionami.

— I co z tego? Dam radę.

— Na pewno? — spytał sceptycznie.

Skinęłam głową.

— Wyjazd byłby nie w porządku. Poradzę sobie. Jeśli sytuacja stanie się nie do zniesienia, zawsze mogę się przenieść pod koniec semestru. Ale wytrzymam. Nie boję się.

Tak, tylko że wtedy miałam przed sobą całe, niewyobrażalnie długie lato. Powrót wydawał się zagadnieniem teoretycznym. Zresztą nadal uważałam, że mam rację. Nie popełniłam żadnej zbrodni — po prostu kochałam Nicka i nie-nawidziłam naszych dręczycieli. Nie zamierzałam się ukrywać przed ludźmi, którzy uważali mnie za winną. Ale kiedy musiałam przejść od słów do czynów, ogarnął mnie nie zwykły strach, a panika.

— Miałaś całe lato na zmianę zdania — wytknęła mama, nadal siedząc na łóżku.

Zacisnęłam zęby i podeszłam do komody. Wyjęłam z niej czyste majtki i stanik, a potem rozejrzałam się po podłodze za jakimiś dżinsami i podkoszulkiem.

— Proszę bardzo. Już się ubieram — wycedziłam.

Nie twierdzę, że odpowiedziała uśmiechem, ale na jej twarzy pojawił się grymas bardzo do niego podobny, choć trochę bolesny. Mama parę razy ruszała do drzwi i się zatrzymywała. W końcu podjęła decyzję i wyszła, ściskając oburącz telefon. Zastanawiałam się, czy pojedzie z tą słuchawką do pracy, nadal trzymając kciuk nad dziewiątką.

— Dobrze. Zaczekam na dole.

Włożyłam pomięte dżinsy i podkoszulek, nie zastanawiając się, czy do siebie pasują. Ładne ubranie nie poprawiłoby mi humoru ani nie pomogłoby wtopić się w tłum. Powlokłam się do łazienki i przeczesalam włosy niemyte od czterech dni. Makijażem też nie zwracałam sobie głowy. Nawet nie wiedzia-



łam, gdzie są kosmetyki. Tego lata raczej nie brylowałam na imprezach. Na ogół nie mogłam się zmusić nawet do chodzenia.

Włożyłam trampki, chwyciłam plecak — nowy, mama kupiła mi go parę dni temu. Stał pusty w miejscu, w którym go zostawiła, aż w końcu sama go spakowała. Stary... ten zakrwawiony... pewnie wylądował na śmietniku razem z podkoszulkiem Nicka z logo Flogging Molly, który mama znalazła w szafie, kiedy leżałam w szpitalu. Po powrocie się rozplakałam i nakrzyczałam na nią. Mama nic nie chwyciła — ten podkoszulek nie należał do Nicka mordercy, tylko do mojego Nicka, chłopaka, który dał mi niespodziewany prezent — bilety na koncert Flogging Molly. Który wziął mnie na barana, kiedy zespół śpiewał Factory Girls. Który wpadł na pomysł, żebyśmy zrobili zrzutkę, kupili jeden podkoszulek i nosili go na zmianę. Który przyjechał w nim do domu, potem go zdjął, dał mi i nigdy się o niego nie upomniął.

Mama twierdziła, że doktor Hieler kazał jej to zrobić, ale nie uwierzyłam. Czasami miałam wrażenie, że podpira się jego autorytetem, aby mnie przekonać. Doktor Hieler zrozumiałby, że ten ciuch nie należał do Nicka mordercy. Nawet nie znałam tej osoby. Doktor Hieler to rozumiał.

Stałam gotowa do wyjścia, kiedy ogarnęło mnie uczucie, że zbyt się zdemerwowałam, by sobie z tym poradzić. Wydawało mi się, że nie zdołam przejść przez próg. Na kark wystąpił mi pot. Nie mogłam jechać, nie mogłam stanąć przed tymi ludźmi, zobaczyć tych wewnątrz. Zabrakło mi siły.

Drżącymi rękami wygrzebałam z kieszeni komórkę i zadzwoniłam do doktora Hielera, który natychmiast odebrał.

— Przepraszam, że przeszkadzam — wymamrotałam, osuwając się na łóżko.

— Kazałem ci zadzwonić. Pamiętasz? Czekałem.

— Chyba nie dam rady — wyznałam. — Nie jestem gotowa. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę. To chyba kiepski pomysł, żeby...

— Przestań — przerwał. — Potrafisz to zrobić. Dojrzałaś do tego. Już o tym rozmawialiśmy. To niełatwe, ale sobie poradzisz. Przez te minione miesiące przetrzymałaś o wiele więcej, prawda? Masz w sobie siłę.

Do oczu napłynęły mi łzy. Wytarłam je kciukiem.

— Skup się na życiu chwilą — dodał. — Nie dopatruj się ukrytych znaczeń. Dostrzegaj tylko to, co istnieje naprawdę, dobrze? A po powrocie zadzwoń do mnie. Każę Stephanie połączyć cię nawet podczas sesji. Dobrze?

-Dobrze.

— A jeśli w szkole poczujesz potrzebę rozmowy...

— Wiem, zawsze mogę zadzwonić.

— I pamiętasz, co sobie powiedzieliśmy? Nawet jeśli wytrzymasz tylko pół dnia, to i tak będzie zwycięstwo, prawda?

— Mama jedzie do pracy. Na cały dzień.

— Bo w ciebie wierzy. Ale wróci do domu, jeśli ją o to poprosisz. Choć sądzę, że się bez tego obejdzie. A wiesz, że zawsze mam rację. — Wyczułam, że się uśmiechnął.

Zachichotałam i pociągnęłam nosem. Znowu wytarłam oczy.

— Jasne. Dobra. Muszę iść.

— Świetnie sobie poradzisz.

— Tak pan myśli?

— Ja to wiem. I pamiętaj, co mówiliśmy: jeśli ci się nie uda, pod koniec semestru zawsze możesz się przenieść. A to tylko... ile? Siedemdziesiąt pięć dni?

— Osiemdziesiąt trzy.

— Widzisz? Łatwizna. Nic takiego. Zadzwoń później.

— Dobrze.

Rozłączyłam się i podniosłam plecak. Ruszyłam do drzwi, ale stanęłam. Czegoś zapomniałam. Sięgnęłam pod górną szufladę komody i przez chwilę przesuwałam pod nią dłoń, aż wreszcie znalazłam — za listewką, poza zasięgiem mamy.

Patrzyłam na nie milion pierwszy raz — zdjęcie Nicka i mnie nad Blue Lake ostatniego dnia szkoły, w trzeciej klasie. Nick trzymał piwo, ja się śmiałam tak serdecznie, że prawie pokazywałam migdałki. Siedzieliśmy na ogromnym głazie nad jeziorem. Zdaje się, że to zdjęcie zrobił Mason. Za żadne skarby nie

mogłam sobie przypomnieć, co mnie tak rozbawiło, choć zastanawiałam się nad tym wiele bezsennych nocy.

Wyglądaliśmy na bardzo szczęśliwych. I tacy byliśmy. Niezależnie od treści e-maili, listów samobójczych i listy *Do odstrzału*. Byliśmy szczęśliwi.

Dotknęłam nieruchomej roześmianej twarzy Nicka. Nadal słyszałam wyraźnie jego głos. Pytanie zadane w ten jego poważny sposób, jednocześnie śmiało, gniewnie, romantycznie i niepewnie.

— Val... — odezwał się, wstając z głazu i schylając się po butelkę piwa. W wolną rękę wziął płaski kamyk, zrobił parę kroków i rzucił go na jezioro. Kaczka odbiła się dwa, trzy razy i zatonała. Z lasu nieopodal dobiegł śmiech Stacey. Zaraz potem roześmiał się Duce. Zmierzchało się i gdzieś po lewej zaczęły rechotać żaby. — Zastanawiasz się czasem nad odejściem?

Podciągnęłam kolana pod brodę. Pomyślałam o wczorajszej kłótni rodziców, o głosie mamy, który dotarł do mnie z salonu. Nie rozróżniałam słów, ale wyraźnie słyszałam jadowity ton. Pomyślałam o tacie, który wyszedł z domu koło północy, cicho zamykając za sobą drzwi.

— Czyli ucieczką? Pewnie.

Nick długo milczał. Rzucił kolejny kamyk, który dwukrotnie odbił się od powierzchni jeziora i zatonał.

— No. Albo... na przykład... nad zjechaniem z urwiska w przepaść.

! Zapatrzyłam się w zadumie na zachodzące słońce.

— Jasne. Każdy o tym myśli. Normalnie Thelma i Louise.

Odwrócił się i prychnął, jakby się zaśmiał, potem wypił resztkę piwa i rzucił butelkę na ziemię.

— Nie oglądałem — powiedział. — Pamiętasz, jak w zeszłym roku czytaliśmy Romea i Julię?

-Aha.

Pochylił się nade mną.

— Myślisz, że moglibyśmy być jak oni?

Zmarszczyłam nos.

— Nie wiem. Może. Pewnie.

Znowu obejrzał się na jezioro.

— Moglibyśmy. Naprawdę. Myślimy podobnie.

Wstałam i otrzepałam spodnie. Ślad kamienia odcisnął mi się na udach.

— Zapraszasz mnie na randkę?

Odwrócił się, podbiegł, chwycił mnie w pasie i podniósł; mimowolnie pisałam, a potem zachichotałam. Pocałował mnie. Przez moje ciało przebiegł dreszcz, zamrowiło mnie nawet w palcach u stóp. Wydało mi się, że czekałam na to od dawna.

— A gdyby... odmówiłabyś?

— W życiu, Romeo — odpowiedziałam i także go pocałowałam.

— No, to cię zapraszam, Julio — szepnął i przysięgam, że teraz, dotykając zdjęcia, znowu to usłyszałam. Poczułam jego obecność. Choć w maju dla całego świata stał się potworem, ja nadal uważałam go za tego chłopaka, który trzymał mnie w ramionach, całował i nazywał Julią.

Wsunęłam zdjęcie do kieszeni.

— Osiemdziesiąt trzy dni — mruknęłam, odetchnęłam głęboko i zesłam po schodach.

TLR

**2 MAJA 2008**

**godz. 6:32**

„Widzimy się w Sejmie?”

TLR

Moja komórka zaświergotała. Sięgnęłam po nią, zanim usłyszała ją mama, Frankie czy — nie daj Boże — tata. Na dworze nadal panowała szarówka. Jeden z tych ranków, kiedy tak trudno się obudzić. Zbliżały się wakacje, a to oznaczało trzy miesiące spania do późna i wolności od liceum. Nie żebym go nienawidziła czy coś, ale Christy Bru— ter jak zawsze pastwiła się nade mną w autobusie, z fizyki dostałam pałę, bo zapomniałam się pouczyć, a egzaminy zapowiadały się przerażająco.

Nick ostatnio jakoś przycichł. Nie pojawił się w szkole od dwóch dni i przez cały ten czas zasypywał mnie SMS-ami, w których pytał o „klasowe gnojki”, „grube suki z wuefu” albo „tego palanta McNeala”.

W zeszłym miesiącu zaprzyjaźnił się z takim jednym Jeremym i czułam, że z każdym dniem coraz bardziej się ode mnie oddala. Bałam się, że ze mną zerwie, więc udawałam, że to rozstanie iftnie nie rusza. Nie chciałam go przyciskać — stał się wybuchowy, a ja wołałam go nie prowokować. Nie spytałam, co porabiał w te dni, w które nie przychodził do szkoły, i tylko wysłałam mu SMS-y: „Gnojki trzeba by utopić w formaldehydzie”, „Nienawidzę tych suk” i „McNeal niech się cieszy, że nie mam broni”. Ta ostatnia wiadomość się na mnie później zemściła. Właściwie to wszystkie, ale ta... Bardzo długo na samo jej wspomnienie wymiotowałam. I z jej powodu odbyłam trzygodzinną rozmowę z funkcjonariuszem Panzellą. A ojciec zaczął na mnie patrzeć inaczej — jakby właśnie odkrył, że wychował potwora.

Jeremy był starszy od nas — miał ze dwadzieścia jeden lat — ale chodził kiedyś do naszego liceum. Nie studiował. Nie miał pracy. Z tego, co wiedziałam, zajmował się głównie biciem swojej dziewczyny, paleniem skrętów i oglą-



daniem kreskówek. Potem poznał Nicka i zrezygnował z filmów, a dziewczynę bił tylko wtedy, gdy nie chodził do garażu Nicka, gdzie grał na perkusji tak namiętnie, że zapominał o całym świecie. Parę razy widziałam ich razem i Nick zachowywał się wtedy jak ktoś obcy. Ktoś mi nieznany.

Potem bardzo długo myślałam, że wcale go nie znałam. Może kiedy oglądaliśmy razem telewizję w piwnicy jego domu albo się wygłupialiśmy na basenie, wcale nie widziałam jego prawdziwej twarzy. Jakby pokazywał ją tylko Jeremy'emu — mu — twarz egoistycznego Nicka o twardym spojrzeniu.

Słyszałam, że niektóre kobiety nie dostrzegają, że ich facet jest zbrodniarzem czy potworem, ale wtedy nikt by mnie nie przekonał, że do nich należę. Gdy Jeremy zniknął... kiedy zostawialiśmy sami i patrzyłam w oczy Nicka... widziałam coś dobrego. Dobrego jak on. Miewał chore poczucie humoru — jak wszyscy — ale zawsze tylko żartował. Dlatego czasem wydaje mi się, że to Jeremy nakładł Nickowi do głowy tych pomysłów. Nie ja. Jeremy. To on zawinił.

Schowałam się z komórką pod kołdrę, gdzie powoli dojrzywałam do świadomości, że czeka mnie przeprawa przez następny dzień w szkole.

— Halo?

— Kochanie... — Jego głos brzmiał piskliwie, niemal przeraźliwie, choć wtedy doszłam do wniosku, że to z powodu wczesnej pory, bo Nick rzadko wstawał rano.

— Cześć — szepnęłam. — Dla odmiany przyjdiesz dziś do szkoły?

Roześmiał się z autentyczną radością.

— No. Jeremy mnie podwiezie.

Usiadłam na łóżku.

— Super. Stacey wczoraj o ciebie pytała. Podobno widziała, jak jechałeś z Jeremym w stronę Blue Lake. — Niewypowiedziane pytanie zawisło w powietrzu.

— Aha. — W słuchawce rozległ się zgrzyt zapalniczki. Nick zaciągnął się dymem. — Mamy tam taką robotę.

-Jaką?

Zero odpowiedzi. Tylko ten syk palącego się papierosa.

Zrobiło mi się ciężko na sercu. Nie zamierzał mi powiedzieć. Nie podobało mi się jego zachowanie. Dotąd nie miał przede mną tajemnic. Zawsze rozmawialiśmy o wszystkim, nawet o bolesnych sekretach naszych rodziców, o tym, jak nas przezywają w szkole i że czasem czujemy się, jakbyśmy nic nie znaczyli. Mniej niż nic.

Miałam ochotę go przycisnąć. Oznajmić, że chcę wiedzieć, że na to zasługuję, ale postanowiłam zmienić temat. Skoro w końcu go spotkam, nie warto marnować czasu na kłótnie.

— Słuchaj, mam nowe punkty listy.

— No?

Potałam oczy.

— Ludzie, którzy każde zdanie kończą „przykro mi”. Goście odpowiedzieli za reklamy fast foodów. I Jessica Campbell. — Omal nie dodałam: „Jeremy”, ale się opamiętałam.

— Ta chuda blondyna, co chodzi z Jakiem Diehlem?

— Aha, ale Jake jest w porządku. Trochę przygłup, jednak nie tak wkurzający jak ona. Wczoraj na biologii się zamyśliłam i chyba utkwiałam w niej wzrok, bo nagle powiedziała: „I co się gapisz, Siostró Śmierć?”, skrzywiła się, przewróciła oczami i dodała: „Hello, weź się zajmij sobą”, a ja na to: „Wierz mi, mam cię gdzieś”, a ona: „Nie spieszysz się na jakiś pogrzeb?” i wszystkie jej debilne koleżanki zaczęły się śmiać jak głupie. Co za suka.

— No, masz rację. — Odkaszlnęłam. Usłyszałam szelest papieru. Wyobraziłam go sobie, jak siedzi na łóżku i pisze w naszym czerwonym zeszyte. — Te wszystkie blondyny powinny zniknąć.

Roześmiałam się. To mnie rozbawiło. Przyznałam mu rację. W każdym razie tak powiedziałam. No dobra, naprawdę uważałam, że tak się powinno stać. I nie uważałam się za kogoś okropnego. To tamci zachowywali się okropnie. Zasłużyli.

— Żeby ich przejechały beemki rodziców! — zawołałam.

— Dodam też tę Chelle.

— Dobrze. Ciągłe nawija o szkolnej drużynie. Chora jakaś.

— No.

Przez chwilę milczeliśmy. Nie wiem, o czym myślał Nick. Wtedy uważałam tę ciszę za dowód naszej więzi, jakbyśmy porozumiewali się bez słów, nadawali na tej samej częstotliwości. Teraz wiem, że to ta „atrybucja”, o której ciągle mówi doktor Hieler. Typowa sytuacja — wydaje ci się, że wiesz, co się dzieje w cudzej głowie. To niemożliwe. A jeśli myślisz, że możliwe, to bardzo się mylisz. Bardzo konkretnie się mylisz. I ta pomyłka może ci zrujnować życie.

W słuchawce rozległo się jakieś mamrotanie.

— Muszę lecieć — oznajmił Nick. — Odwozimy dziecko Je— remy'ego do przedszkola. Dziewczyna ciągle mu o tym truje. Widzimy się w Sejmie?

— Jasne. Poproszę Stacey, żeby zajęła nam miejsce.

— Super.

— Kocham cię.

— Ja ciebie też, skarbie.

Odłożyłam słuchawkę z uśmiechem. Może pozbył się tego, co go dręczyło. Może miał już dość Jeremy'ego, jego dziecka, kreskówek i jarania. Może namówię go na wyskoczenie do Casey's na kanapkę. Tylko my. Jak za dawnych czasów. Usiądziemy na betonowym murku między pasami autostrady, ramię w ramię, i dyndając nogami, będziemy jeść, wyrzucając cebulę spomiędzy kromek i przepytując się ze znajomości piosenek.

Wskoczyłam pod prysznic, nie zapaliwszy światła, i stałam w ciemnościach, otoczona kłębamii pary. Miałam nadzieję, że Nick przyniesie mi dziś coś ładnego. Często tak robił — przychodził do szkoły z różyczką kupioną na stacji

benzynowej, wsuwał batonik do mojej szafki albo liścik do zeszytu. Kiedy chciał, potrafił się zdobyć na romantyzm.

Wyszłam spod prysznic, wytarłam się, starannie ułożyłam włosy i umalowałam oczy, włożyłam podartą mini z czarnego dżinsu i ulubione rajstopy w czarno-białe paski, z dziurą na kolanie. Dodałam jeszcze skarpetki i trampki, chwyciłam plecak.

Mój młodszy brat Frankie jadł w kuchni płatki. Włosy postawił na żel i wyglądał jak bohater reklamy PopTart — jeżdżący na deskorolce chłopczek z wypięszczoną fryzurą. Frankie miał czternaście lat i lekko mu odbiło na punkcie własnego wyglądu. Uważał się za jakiegoś guru od spraw mody i zawsze ubierał tak stylowo, jakby zszedł ze stron żurnala. Lubiliśmy się, choć obracaliśmy się w zupełnie różnych kręgach i zupełnie inaczej definiowaliśmy słowo „fajny”. Frankie potrafił mi czasem zajść za skórę, ale przeważnie zachowywał się jak grzeczny chłopczyk.

Na stole obok niego leżał otwarty podręcznik historii Ameryki, a Frankie gorączkowo gryzmolił coś na kartce, przerywając tylko po to, żeby włożyć do ust łyżkę płatków.

— Masz zdjęcia do reklamy żelu? — rzuciłam, trącając biodrem jego krzesło.

— No co? — mruknął i przeczesał ręką najeżone włosy. — Dziewczyny na to lecą.

Przewróciłam oczami z uśmiechem.

— Jasne. Tata już wyszedł?

Mój brat zjadł kolejną łyżkę płatków i wrócił do pisania.

— No — wybełkotał z pełnymi ustami. — Parę minut temu.

Wyjęłam z zamrażarki wafla i wrzuciłam go do tosterka.

— Co, dziewczyny nie zostawiły ci czasu na pracę domową? — zażartowałam, pochylając się, żeby przeczytać, co napisał. — A co właściwie sądziły kobiety... eee... z czasów wojny secesyjnej... o nadmiarze żelu do włosów?

— Odwal się — burknął, trącając mnie łokciem. — Gadałem do północy z Tiną. Muszę to zrobić. Mama się wścieknie, jeśli dostanę następną trójcę z historii. Znowu mi zabierze komórkę.

— Dobra, dobra. Dam ci spokój. W życiu bym nie stanęła tobie i Tinie na drodze do szczęścia. — Wafel wyskoczył z tosterka. Zjadłam kawałek na sucho. — A skoro mowa o mamie, znowu cię dziś odwozi?

Frankie przytaknął. Mama odwoziła go codziennie po drodze do pracy. Dzięki temu rano zyskiwał parę minut. Też bym tak mogła, ale ponieważ musiałabym siedzieć metr od mamy i codziennie słuchać, że mam „skandaliczną fryzurę” i „za krótką spódnicę”, i „dlaczego taka piękna dziewczyna oszpeca sobie twarz i włosy?”, wolałam czekać na autobus pełen idiotów. A to chyba o czymś świadczy.

Spojrzałam na zegar na kuchence. Autobus przyjedzie lada chwila. Zrzuciłam plecak na ramię i ugryzłam kolejny kęs wafla.

— Spadam — oznajmiłam, ruszając do wyjścia. — Powodzenia z pracą domową.

— Na razie! — zawołał za mną. Wyszłam na ganek i zamknęłam za sobą drzwi.

W powietrzu poczułam mroźniejszy powiew, jakby zbliżała się zima, nie wiosna. Jakby miało się już nigdy nie ocieplić.

TLR

## 2

[„Sun-Tribune”, 3 maja 2008, tekst: Angela Dash]

Christy Bruter (16 lat), kapitan drużyny softballowej, padła ofiarą mordercy jako pierwsza. Wydaje się, że zabójca wybrał ją z premedytacją.

— Tracił ją w ramię — zwierza się matka nastolatki, Amy Bruter. — Dziewczyny, które to widziały, powiedziały nam, że Christy odwróciła się, a on oznajmił: „Od dawna jesteś na liście”. „Na jakiej liście?”, spytała. Wtedy do niej strzelił.

Lekarze uważają, że Bruter, która otrzymała postrzał w brzuch, miała „diabelne szczęście, że przeżyła”. Dochodzenie ujawniło, że jej nazwisko rzeczywiście znajduje się na pierwszym miejscu niesławnej listy *Do odstrzału*, w czerwonym zeszycie zabezpieczonym w domu Nicka Levila parę godzin po strzelaninie.

— Denerwujesz się?

Skubnęłam odklejającą się podeszwę buta i wzruszyłam ramionami. Kłębiło się we mnie tyle emocji, że powinnam pogalopować z wrzaskiem przed siebie. A jednak jakoś udało mi się ograniczyć do ruchu barków. Teraz uważam, że to



dobrze. Mama przyglądała mi się tego ranka wyjątkowo uważnie. Jeden fałszywy ruch i popędziłaby do doktora Hielera. Oczywiście wszystko by przeinaczyła, jak zwykle, a potem znowu odbylibyśmy Rozmowę.

Od maja powtarzaliśmy ją co najmniej raz w tygodniu. Zawsze przebiegała tak samo:

— Dobrze się czujesz?

— Nie zabiję się, jeśli o to pan pyta — odpowiadałam.

— O to.

— Nie zamierzam tego zrobić. Ona po prostu świruje.

— Martwi się o ciebie — oznajmiał, a potem na szczęście przechodziliśmy do innych spraw.

Ale po powrocie do domu kładłam się i zaczynałam o tym myśleć. O samobójstwie. Czy dobrze się czuję? Czy to możliwe, że chcę się zabić i nawet o tym nie wiem? Czas mijał, w pokoju robiło się ciemno, a ja zastanawiałam się, dlaczego, do cholery, nie potrafię określić, kim właściwie jestem. To chyba najłatwiejsza rzecz na świecie, prawda? Ale ja tego nie potrafiłam już od dawna. Może nigdy mi się nie udawało.

W moim świecie, w którym rodzice się nienawidzili, a szkoła przypominała pole bitwy, kiepsko się żyło we własnej skórze. Nick był moją ucieczką. Jediną rozumiejącą mnie osobą. Cieszyłam się, że stanowimy jedność, z tymi samymi myślami, uczuciami, żalami. Ale teraz druga połowa tej całości znikła, a ja, le-

żąc w ciemnym pokoju, zdałam sobie sprawę, że nie wiem, jak znowu stać się sobą.

Wpatrywałam się w majaczące w mroku koniki na tapecie i marzyłam, że uwiożą mnie ze sobą tak, jak sobie wyobrażałam w dzieciństwie, abym nie musiała się już dłużej zadręczać. Bo nieznajomość samej siebie za bardzo mnie bolała. A jedno wiedziałam na pewno: miałam serdecznie dość cierpienia.

Mama poklepała mnie po kolanie.

— Jeśli zechcesz ze mną porozmawiać, wystarczy zadzwonić. Tak?

Nie odpowiedziałam. Miałam zbyt zaciśnięte gardło. Chodzenie po tych samych korytarzach, z tak dobrze znanymi mi uczniami, którzy stali się zupełnie obcy, wydawało się surrealistyczne. Niektórzy z kolegów, na przykład Allen Moon, mówili, patrząc prosto w kamerę: „Oby Va— lerie dostała dożywocie za to, co zrobiła”, a słowa Carmen Chiarro zacytowano w gazecie: „Nie wiem, dlaczego moje nazwisko znalazło się na tej liście. Aż do tego dnia nawet nie wiedziałam o istnieniu Nicka i Valerie”.

Rozumiałam, że mogła nie pamiętać Nicka. Kiedy przeprowadził się do Garvin, był cichym, chudym chłopcem w brzydkich ciuchach i z brudnymi włosami. Ale kłamała, że mnie nie kojarzy. Przecież chodziłam z nią do podstawówki. A skoro przez cały zeszły rok przyjaźniła się z wielkim panem sportowcem Chrisem Summersem i skoro Chris Summers nienawidził Nicka i wykorzystywał każdą okazję, żeby mu utrudnić życie, a ponadto kumple Chrisa uważali to za przezabawne, jej stwierdzenie, że nie zna Nicka, uważałam za wysoce podejrzanę.

Czy spotkam dziś Allena i Carmen? Czy mnie odnajdą? Czy mają nadzieję, że się nie pokażę?

— I znasz numer doktora Hielera — dodała mama, znowu klepiąc mnie po kolanie.

Przytaknęłam.

— Znam.

Skręciłyśmy w Oak Street. Trafiłabym tu z zamkniętymi oczami. W prawo w Oak Street. W lewo w Foundling Avenue. W lewo w Starling. W prawo na parking. Przed nami liceum. Nie można nie zauważyć.

Tego ranka budynek wydał mi się inny. Już nigdy nie obudzi we mnie tych nadziei i lęków co w pierwszej klasie. Już nigdy nie skojarzy mi się z porywającym romanssem, euforią, śmiechem, dobrze wykonaną pracą. Z tym wszystkim, co inni utożsamiają ze szkołami. Kolejna rzecz, jaką Nick ukradł mnie, nam wszystkim, tamtego dnia. Nie odebrał nam jedynie niewinności i zadowolenia. Udało mu się także obrabować nas ze wspomnień.

— Poradzisz sobie — oznajmiła mama. Odwróciłam głowę i wyjrzałam przez okno. Delaney Peters szła przez boisko, trzymając pod rękę Sama Halla. Nie miałam pojęcia, że ze sobą chodzą. Nagle odniosłam wrażenie, że przepadło mi nie lato, ale całe życie. Normalnie spędziłabym wakacje nad jeziorem, na kręglach albo w McDonalddie, słuchając plotek i dowiadując się o nowych romansach. Tymczasem zamknęłam się w sypialni, przerażona i chora na myśl o wyjściu do sklepu z mamą. — Doktor Hieler nie wątpi, że wyjdiesz z tej próby zwycięsko.

— Wiem — mruknęłam. Pochyliłam się; żołądek mi się ścisnął. Stacey i Duce siedzieli jak zawsze na ławkach, a obok nich Mason, David, Liz i Rebecca. Zwykle bym im towarzyszyła. Nick też. Porównywalibyśmy plany lekcji, rozmawiali o jakiejś imprezie. Ręce zaczęły mi się pocić. Stacey roześmiała się z czegoś, co powiedział Duce. Poczułam się jeszcze bardziej wyobcowana.

Mama skierowała samochód na podjazd. Natychmiast zauważyłam dwa zaparkowane przed szkołą radiowozy. Chyba coś mi się wyrwało albo zrobiłam przestraszoną minę, bo mama wyjaśniła:

— Teraz to rutyna. Dla bezpieczeństwa. Bo... no, wiesz. Nie chcą tu naśladowców. Dzięki temu będziesz bezpieczniejsza.

Mama zatrzymała samochód. Zdjęła ręce z kierownicy i spojrzała na mnie. Usiłowałam nie patrzeć na jej drżące wargi, nie zauważać, że skubie paznokiec kciuka. Uśmiechnęłam się blado.

— Do zobaczenia w tym samym miejscu za dziesięć trzecia — powiedziała. — Przyjadę punktualnie.

— Poradzę sobie — wykrztusiłam cichuteńko. Pociągnęłam za klamkę. Nie miałam siły otworzyć drzwi. W końcu się udało. Niestety, bo potem musiałam wysiąść.

— Może jutro lekko umalujesz usta — dodała mama. „Dziwna uwaga” — pomyślałam, ale odruchowo zagryzłam wargi. Zamknęłam drzwi i niemrawo pomachałam mamie. Odpowiedziała tym samym, nie odwracając ode mnie pytającego spojrzenia. W końcu samochód czekający z tyłu zatrąbił i odjechała.

Przez minutę sterczałam w miejscu, jakbym zapuściła korzenie w chodnik. Nie wiedziałam, czy zdołam wejść do tego budynku. Bolało mnie udo i szumiało mi w głowie. Poza tym wszystko wydawało się normalne. Minęło mnie kilku pierwszaków gadających z ożywieniem o imprezie. Jakaś dziewczyna zachichotała, gdy chłopak trącił ją palcem w bok. Nauczyciele stali przed szkołą, zbierając swoje klasy. Wszystko jak kiedyś. Dziwne.

Ruszyłam przed siebie, ale głos, który rozległ się za moimi plecami, zatrzymał mnie w pół kroku.

— No nie!

Wszystkie otaczające mnie odgłosy ucichły, jakby nagle ktoś wcisnął guzik. Odwróciłam się powoli. Stacey i Duce stali, trzymając się za ręce. Stacey miała otwarte usta, Duce — zaciśnięte.

— Val? — spytała Stacey, jakby nie mogła uwierzyć nie tylko w to, że ja to ja, ale że tutaj jestem.

— Cześć — powiedziałam.

Dave podszedł i objął mnie, uścisnął ze skrepowaniem, a potem cofnął się, spuszczać oczy.

— Nie wiedziałam, że dziś przyjdiesz — oznajmiła Stacey. Zerknęła na Duce'a. Od razu zauważyłam, że zaczęła się do niego upodabniać. Nowy uśmiech, krzywy i przemądrzały, dziwnie nie pasował do jej twarzy.

Wzruszyłam ramionami. Przyjaźniłam się z nią od wieków. Nosiłyśmy ten sam rozmiar ciuchów, lubiłyśmy te same filmy, ubierałyśmy się w podobnym

stylu, tak samo kłamałyśmy. W wakacje przez długie tygodnie prawie się nie rozstawaliśmy.

Ale istniała między nami wielka różnica. Stacey nie miała wrogów — może dlatego, że tak bardzo starała się wszystkim przypodobać. Jakby urodziła się bez osobowości; wystarczyło jej powiedzieć, jaka powinna się stać, i od razu się zmieniała. Na pewno nie należała do najbardziej popularnych dziewczyn, ale nie była wyrzutkiem jak ja. Zawsze się jej udawało lawirować, unikać radaru.

Po „incydencie”, jak nazywał to tata, Stacey dwa razy mnie odwiedziła. Raz w szpitalu, zanim zaczęłam się odzywać, i raz w domu, gdy mnie zwolniono. Poprosiłam Fran—kiego, żeby jej powiedział, że śpię. Potem nie próbowała się ze mną skontaktować — ani ja z nią. Może uważałam, że nie zasługuję już na przyjaciół. Że ona zasługuje na lepszą koleżankę.

W pewnym sensie nawet współczułam Stacey. Niemal widziałam to w jej oczach — pragnienie powrotu do tego, co nas łączyło przed strzelaniną, wyrzuty sumienia, że trzymała mnie na dystans, ale także świadomość, jak by to wyglądało, gdyby znowu się ze mną zaprzyjaźniła. Skoro zawiniłam tylko dlatego, że kochałam Nicka, może ją także uznano by za winną? Znajomość ze mną pociągała za sobą zbyt wielkie ryzyko. Każdy, kto by się na nią zdecydował, popełniłby towarzyskie samobójstwo. A Stacey nie miała dość siły, żeby to znieść.

— Boli cię noga? — zagadnęła.

— Czasami — mruknęłam, spoglądając w dół. — Przynajmniej nie muszę chodzić na wuef. Ale pewnie nie dotrę do klasy na czas.

— Odwiedziłaś grób Nicka? — spytał Duce. Spojrzałam na niego ostro. Przyglądał mi się z pogardą. — Albo innych?

Stacey trąciła go łokciem.

— Daj spokój. To jej pierwszy dzień — powiedziała, choć bez przekonania.

— No właśnie — wymamrotał David. — Dobrze, że czujesz się już lepiej. Do kogo chodzisz na matematykę?

— No co? — przerwał mu Duce. — Ma sprawną nogę. Dlaczego nie poszła na żaden grób? Gdybym to ja spisywał nazwiska ludzi, którym życzyłem śmierci, przynajmniej pofatygowałbym się na cmentarz.

— Nie chciałam, żeby ktokolwiek zginął — prawie wyszeptałam. Duce uniósł brwi, jak to on. — Był także twoim przyjacielem, sam wiesz.

Nikt się nie odezwał. Uświadomiłam sobie, że ludzie się nam przyglądają. Ale nie ciekawiła ich nasza rozmowa. Ciekawiłam ich ja, jakby nagle mnie sobie przypomnieli. Mijali nas powoli, szepcząc do siebie i wbijając we mnie wzrok.

Stacey też to zauważyła. Przeszła z nogi na nogę i odwróciła głowę.

— Muszę iść — oznajmiła. — Cieszę się, że wróciłaś.

Odeszła, a David, Mason i inni podążyli za nią.

Duce trącił mnie po drodze ramieniem.

— Tak, strasznie się cieszymy — syknął.

Stałam na chodniku jak skamieniała, tłum opływał mnie z obu stron, kołysząc, ale nie zagarniając w swój nurt. Zaczęłam się zastanawiać, czy mogłabym nie ruszać się z tego miejsca do za dziesięć trzecia.

Ktoś położył mi rękę na ramieniu.

— Może wejdziemy razem?

Odwróciłam się. Pani Tate, szkolny doradca zawodowy, otoczyła mnie ramieniem i zmusiła do zrobienia kolejnego kroku. Ruszyliśmy energicznie przez otaczające nas fale uczniów. Za nami rozlegały się szepty.

— Cieszę się, że cię widzę — powiedziała pani Tate. — Pewnie trochę się denerwujesz, co?

— Trochę — mruknęłam, ale nie mogłam dodać nic więcej, bo ciągnęła mnie tak szybko, że nie zdołałam się skupić. Weszłyśmy, zanim ogarnęła mnie panika, i poczułam się oszukana. Jakbym powinna mieć prawo przynajmniej do przeżycia swojego strachu, skoro tego właśnie chciałam.

Przy wejściu kłębił się tłum. W drzwiach stał policjant przesuwający czujnikiem nad plecakami i kurtkami wchodzących. Pani Tate pomachała mu ręką i przeszłyśmy, nie zatrzymując się do kontroli.

Korytarz wydał mi się pustawy, jakby wielu uczniów nie przyszło do szkoły. Poza tym nic się nie zmieniło. Słyszałam rozmowy, śmiechy, pisk podeszew na śliskich płytkach podłogi, odbijający się echem trzask zamykanych szafek.



Szliśmy dość szybko. Kiedy skręciliśmy w korytarz prowadzący do stołówki, panika gwałtownie ścisnęła mnie za gardło. Pani Tate chyba to wyczuła, bo mocniej objęła moje ramiona i przyspieszyła kroku.

Sejm — niegdyś miejsce codziennych spotkań, zwykle zatłoczone — świecił pustkami. Pod ścianą — tam, gdzie upadła Christy Bruter — ktoś powiesił tablicę ogłoszeniową. Bieleły na niej duże litery z brystolu: „PAMIĘTAMY”. Pod nimi mnóstwo kartek, wstążek, zdjęć, kwiatów. Parę dziewczyn, których z daleka nie rozpoznałam, właśnie przyczepiało wiadomość i fotografię.

— Zakazalibyśmy zbierania się rano w stołówce — wyjaśniła pani Tate, jakby usłyszała moje myśli. — Ze względu na bezpieczeństwo. Ale okazało się, że nikt już nie chce w niej przebywać. Teraz tylko jada się tu posiłki.

Przeszliśmy przez salę. Usiłowałam okiełznać wyobraźnię, która podpowiadała, że stopy ślizgają mi się na zakrwawionej podłodze. Starłam się skupić na stukocie obcasów pani Tate, przypomnieć sobie wszystko, czego z takim poświęceniem uczył mnie doktor Hieler, o oddychaniu i koncentracji. Niczego nie pamiętałam.

Wyszliśmy z Sejmu drugimi drzwiami, od strony sekretariatu. To tu znajdował się fronton budynku. Przy drzwiach zauważyłam kolejnych policjantów przesuwających wykrywaczami metalu nad ubraniami uczniów.

— Przez te środki ostrożności zajęcia zaczynają się z opóźnieniem — westchnęła pani Tate. — Ale oczywiście dzięki nim czujemy się bezpieczniej.

Przemknęliśmy koło pomieszczeń biurowych. Sekretarki patrzyły na nas z uprzejmymi uśmiechami, ale bez słowa.

Ze spuszczoną głową ruszyłam do gabinetu pani Tate. Miałam nadzieję, że spędzę w nim sporo czasu.

Pomieszczenie wyglądało jak negatyw pokoju doktora Hielera. Tam — książki w schludnych szeregach. Tu — przypadkowa zbieranina dokumentów i pomocy naukowych, ni to biuro, ni to magazyn. Książki piętrzyły się na wszystkich dostępnych powierzchniach, wszędzie stały zdjęcia dzieci i psów pani Tate.

Uczniowie przychodzili tu albo żeby się poskarżyć na nauczyciela, albo żeby przejrzeć katalog uczelni. Jeśli pani Tate studiowała z myślą, że stanie się duchową przewodniczką zagubionych nastolatków, to pewnie przeżyła gorzkie rozczarowanie. O ile można się rozczarować tym, że inni nie wchodzą ci na głowę ze swoimi problemami.

Pani Tate wskazała mi krzesło z rozdartym winylowym siedziskiem, a sama obeszła katalogową szafkę i usiadła za biurkiem przywalonym stertami papierzyk, oblepionym karteczkami przypominajkami. Położyła splecione dłonie na starej torbie po hamburgerze.

— Czekałam na ciebie — powiedziała. — Cieszę się, że wróciłaś. Masz charakter.

— Spróbuję — wymamrotałam, nerwowo pocierając uda. — Nie mogę obiecać, że wytrzymam. — „Osiemdziesiąt trzy dni” — pomyślałam.

— Mam nadzieję, że ci się uda. Nauka dobrze ci idzie. A! — krzyknęła nagle, unosząc palec. Przechyliła się i otworzyła szufladę szafki katalogowej. Stojące na niej zdjęcie czarno-białego kota, wyciągającego po coś łapkę, zakłótyło się gwałtownie. Pewnie spadało kilka razy dziennie. Pani Tate wyjęła brązową

teczkę i otworzyła ją przed sobą, nie zamknąwszy szuflady. — Właśnie sobie przypominałam. College. Tak. Zastanawiałas się nad... — przerzuciła parę kartek — uczelnią w Kansas, o ile pamiętam. — Przełożyła jeszcze kilka stron, przejechała palcem po ostatniej i oznajmiła: — Tak. Mam. Kansas State i Northwest Missouri State. — Zamknęła teczkę i uśmiechnęła się do mnie. — W zeszłym tygodniu dostałam wymagania obu. Trochę późno na rozpoczynanie tego procesu, ale chyba damy radę. Prawdopodobnie poproszą cię o wyjaśnienie niektórych spraw znajdujących się w twoich aktach, ale przecież... nie oskarżono cię o... no, rozumiesz.

Skinęłam głową. Rozumiałam. Nie musiałam tego mieć w aktach, bo nie wiem, czy w tym kraju ostał się ktoś, kto jeszcze o mnie nie słyszał. Zdobyłam sławę na cały świat. Czy raczej niesławę.

— Zmieniłam zdanie — oznajmiłam.

— Ach... Inna uczelnia? To nie problem. Z twoimi stopniami...

— Nie. Rezygnuję ze studiów.

Pani Tate pochyliła się, znowu opierając dłoń o torbę. Spoważniała.

— Rezygnujesz?

— Tak. Nie chcę się uczyć.

— Słuchaj, Valerie... Wiem, że winisz siebie za to, co się stało. Wiem, że uważasz się za podobną do niego. Ale to nieprawda.

Wyprostowałam się i spróbowałam przywołać na twarz uśmiech. Nie zamierzałam się dziś wdawać w taką rozmowę.

— Naprawdę, nie musi pani... — Dla dodania sobie odwagi dotknęłam kieszeni z fotografią Nicka. — Nic mi nie jest i w ogóle.

Pani Tate uniosła rękę i spojrzała mi w oczy.

— Spędziłam z Nickiem więcej czasu niż z własnym synem. Nieustannie poszukiwał. Miał w sobie tyle gniewu. Należał do tych, którzy walczą z życiem. Zżerała go nienawiść. Wręcz nim rządziła.

„Nie! — chciałam krzyknąć. — Nieprawda! Nick był dobry, wiem to”.

Nagle przypomniał mi się pewien wieczór, kiedy Nick niespodziewanie pojawił się pod moim domem. Rodzice akurat zaczynali się rozgrzewać przed tradycyjną awanturą po kolacji. Mama z trzaskiem wkładała talerze do zmywarki, mamrocząc pod nosem, tata krążył między salonem a kuchnią, łypiąc na mamę spode łba i kręcąc głową. Napięcie narastało, a ja miałam już dość tych powtarzających się wrzasków. Marzyłam, żeby pójść spać i obudzić się w innym domu, z inną rodziną. Frankie już zniknął w swoim pokoju. Może on też miał dość.

Właśnie wchodziłam po schodach, kiedy rozległ się dzwonek. Przez szybę przy drzwiach zobaczyłam Nicka przestępującego z nogi na nogę.

— Otworzę! — krzyknęłam i zbiegłam na dół. Zresztą rodzice zaczęli się kłócić, więc niczego nie zauważyli.

— Cześć — powiedziałam, wychodząc na ganek. — Co tam?

— Cześć. — Podał mi płytę. — Wypaliłem ją dzisiaj. To piosenki, które mi się z tobą kojarzą.

— Kochany jesteś... — Obejrzałam okładkę, na której starannie wypisał wszystkie tytuły i nazwy zespołów. — Cudowny prezent.

Zza drzwi dobiegł głos taty.

— Wiesz, Jenny, może rzeczywiście nie wrócę do domu, świetny pomysł!

Nick zerknął w tamtą stronę. Przysięgłabym, że na jego twarzy zauważyłam zażenowanie. Może też litość? Strach? Albo to samo zmęczenie, które i ja czułam?

— Chcesz stąd spadać? — spytał, wkładając ręce w kieszenie. — Kiepsko to brzmi. Możemy się gdzieś pokręcić.

Skinęłam głową, uchyliłam drzwi i odłożyłam płytę na stolik w korytarzu. Nick wziął mnie za rękę i zaprowadził na łąkę za domem. Leżeliśmy w trawie, patrzyliśmy na gwiazdy, mówiliśmy o... wszystkim i niczym.

— Wiesz, dlaczego tak dobrze się dogadujemy? — odezwał się po chwili. — Bo podobnie myślimy. Jakbyśmy mieli wspólny umysł. Super.

Przeciągnęłam się i oplotłam jego nogę swoją.

— Właśnie — powiedziałam. — Pieprzyć rodziców. Pieprzyć ich głupie kłótnie. Pieprzyć wszystkich. Kogo obchodzą?

— Nie mnie. — Nick podrapał się po ramieniu. — Od dawna sądziłem, że nikt mnie nie ruszy, ale z tobą to co innego.

— No pewnie. — Pocałowałam go w bark. — Ty mnie też ruszasz. To trochę przerażające, że jesteśmy do siebie tak podobni.

— Przerazające w dobry sposób.

-Właśnie.

Odwrócił się do mnie, oparty na łokciu.

— Dobrze, że siebie mamy. Nawet jeśli cały świat cię znienawidzi, nadal masz się na kim wesprzeć. My dwoje przeciwko światu. Tylko my.

Myślałam wtedy o rodzicach i ich nieustannych kłótniach, więc założyłam, że rozmawiamy o nich. Nick dokładnie wiedział, co się ze mną dzieje — nazywał swojego ojczyma Charlesa „ojcem dnia”, a barwne życie miłosne matki przedstawiał w komiczny sposób. Nie miałam pojęcia, że mogło mu chodzić o nas przeciwko... wszystkim.

— Tak. Tylko — powiedziałam. — Tylko my.

Wbiłam spojrzenie w wykładzinę w gabinecie pani Tate, raz jeszcze uświadamiając sobie, że wcale nie znałam Nicka. Ze to gadanie o braterstwie dusz okazało się bzdurą. Ze dopiero się uczę oceniania ludzkich charakterów.

Gardło mi się ścisnęło. Idiotka. Szkolny wyrzutek płacze na wspomnienie swojego chłopaka mordercy. Sama bym się znienawidziła. Z trudem przełknęłam ślinę.

Pani Tate wyprostowała się, ciągle mówiąc.

— Valerie, miałaś przed sobą przyszłość. Wybierałaś między uczelniami. Dostawałaś dobre stopnie. Nie można tego powiedzieć o Nicku. Jego przyszłość to... to.

Wymknęła mi się łza. Przetykałam ślinę raz po raz, ale to nic nie pomogło. Skąd mogła wiedzieć, jaką przyszłość miał przed sobą Nick? Tego się nie da przewidzieć. „Boże, gdybym umiała, powstrzymałabym go — pomyślałam. — Przekonałabym go, żeby tego nie robił. Ale nie zdołałam. A powinnam. To mnie właśnie dobija. Powinnam. A teraz nie widziałam w swojej przyszłości uczelni. Moja przyszłość to sława Dziewczyny, Która Nienawidzi Wszystkich. Tak nazywały mnie gazety — Dziewczyna, Która Nienawidzi Wszystkich”.

Chciałam o tym powiedzieć Tate, ale wydało mi się to zbyt skomplikowane. Na samą myśl poczułam ból w nodze i sercu. Wstałam i zarzuciłam na ramię plecak. Wytarłam policzki dłońmi.

— Lepiej pójdę do klasy — zdecydowałam. — Nie chciałabym się spóźnić pierwszego dnia. Pomyślę o tym. Znaczy, o studiach. Ale nie mogę niczego obiecać, w porządku?

Pani Tate wstała z westchnieniem. Zamknęła szufladę, ale nie wyszła z szafki katalogowej.

— Valerie... — zaczęła i urwała, jakby zmieniła zdanie. — Postaraj się owocnie spędzić ten dzień, dobrze? Cieszę się, że wróciłaś. Wywieszę te wymagania uczelni.

Ruszyłam do wyjścia. Ale zanim nacisnęłam kłamekę, jeszcze się odwróciłam.

— Czy wszystko bardzo się zmieniło? — spytałam. — To znaczy... czy zmienili się ludzie? — Nie wiedziałam, na jaką odpowiedź liczę. „Tak, wszyscy zrozumieli tę nauczkę i teraz żyją jak jedna szczęśliwa rodzina, jaką przedsta-

wiają gazety". Albo: „Nie, nikt nikogo nie prześladowa, to wszystko wydarzyło się w twojej głowie, tak jak mówią. Nick oszalał, a ty kupowałaś jego bełkot, to wszystko. Miałaś pretensje nie wiadomo do kogo. Piekliłaś się o nic, o wytwory swojej wyobraźni".

Pani Tate zagryzła wargę i zastanowiła się nad odpowiedzią.

— Ludzie są ludźmi — powiedziała w końcu, bezradnie wzruszając ramionami.

Wolałabym tego nic usłyszeć.

TLR



**2 MAJA 2008**

**godz. 7:10**

„Uważaj, Christy,

bo rzuci na ciebie zaklęcie...”

TLR

Na ogół potrafiłam dostrzec ironię w fakcie, że mama woziła Frankiego do szkoły, bo nie znosił autobusu, a ja jeździłam autobusem, bo nie znosiłam makabrycznych podróży z mamą. Ale czasem tak dostawałam w kość, że żałowałam, iż nie zacisnęłam zębów i nie przecierpiałam jej porannych krytycznych uwag.

Przeważnie udawało mi się znaleźć miejsce na środku pojazdu, gdzie kuliłam się ze słuchawkami na uszach i starałam się zupełnie zniknąć.

Ale ostatnio Christy Bruter zrobiła się nie do wytrzymania. Nic nowego, bo wcześniej też jej nie znosiłam. Była ogromna i masywna, miała sterczący brzuch i potężne uda, którymi mogłaby zgnieść komuś czaszkę jak orzech. Dziwne, że wybrali ją na kapitana drużyny softballu. Nigdy tego nie pojęłam. Jakoś nie umiałam sobie wyobrazić Christy Bruter, która wyprzedza kogoś w biegu do pierwszej bazy. Ale musiała tego dokonać przynajmniej parę razy. Albo trener za bardzo się jej bał, by ją wyrzucić. Kto wie?

Znałam Christy co najmniej od przedszkola i ani razu nie przyszło mi do głowy, że mogłabym ją polubić. I vice versa. Co roku po rozpoczęciu szkoły mama brała nauczycielkę na bok i wyjaśniała jej, że lepiej nie sadzać mnie i Christy w tej samej ławce.

— Wszyscy mamy taką jedną osobę... — mówiła z przepraszającym uśmiechem. Moją „taką jedną osobą” była Christy.

W podstawówce przeżywała mnie Kaczką Dziwaczką. W szóstej klasie rozpuściła plotkę, że noszę stringi, co wtedy stanowiło sensację. A w liceum uznała, że nie podoba się jej mój makijaż i ciuchy, więc zaczęła mnie nazywać Siostrą Śmierć, co wszystkich niesamowicie bawiło.

Wsiadała dwa przystanki po mnie, co na ogół stanowiło plus, bo miałam czas, żeby stać się niewidzialna. Nie żebym się jej bała czy coś, po prostu nie zamierzałam się z nią użerać.

Usadowiłam się tak, aby moja głowa nie wystawała nad oparcie, wcisnęłam słuchawki w uszy i podkręciłam dźwięk empetrójki. Wyrztałam przez okno; dobrze byłoby dziś wziąć Nicka za rękę. Tak bardzo chciałam się z nim zobaczyć. Tak bardzo chciałam poczuć jego pachnący cynamonową gumą oddech, wtulić głowę w jego ramię, czuć się bezpiecznie, zapomnieć o reszcie świata. Christy Bruter, Jeremy, rodzice i ich „dyskusje”, które zawsze, zawsze, zawsze zmieniały się w pyskówki i kończyły ucieczką taty w noc oraz żalonym pochlipywanym mamy.

Autobus zatrzymał się raz i drugi. Nie odwracałam spojrzenia od okna. Przyglądałam się terierowi obwąchującemu worek ze śmieciami wystawiony przed czyimś domem. Zastanawiałam się, jak to możliwe, że ten odór go nie odzruca, i co go tak zafascynowało.

Autobus znowu ruszył. Podkręciłam dźwięk jeszcze bardziej, bo wraz z nowym pasażerami pojawił się hałas. Umo— ściłam się wygodnie i zamknęłam oczy.

Poczułam uderzenie w ramię. Sądziłam, że ktoś przypadkiem trącił mnie, przechodząc, i nie zareagowałam. Kuksaniec powtórzył się, tym razem był mocniejszy. Szarpnięta za kabel słuchawka wyleciała mi z ucha i zawisła w powietrzu, brzęcząc.

— No co? — Wyjęłam słuchawkę z drugiego ucha i owinełam przewód wokół empetrójki. Zobaczyłam szczerzącą się w uśmiechu Christy Bruter. — Spadaj, Christy.

Jej brzydka koleżanka Ellen (równie atletycznie zbudowane, rude dziewczysko o męskiej urodzie, grające w drużynie na pozycji łapacza) zarechotała, ale Christy tylko gapiła się na mnie pozornie niewinnie.

— Nie wiem, o co ci chodzi. Może masz jakieś halucynacje. Może wzięłaś jakąś dziwną pigułkę. Może diabeł cię opętał.

Przewróciłam oczami.

— Spadaj.

Włożyłam słuchawki do uszu i znowu skuliłam się w ulubionej pozycji. Zamknęłam oczy. Nie zamierzałam dawać Christy satysfakcji.

Gdy autobus skręcił na podjazd szkoły, znowu poczułam uderzenie w ramię, ale tym razem poparte mocnym szarpnięciem, które wydarło mi słuchawki z uszu i wytrąciło z ręki odtwarzacz. Empetrójka prześliznęła się po podłodze, wpadając pod fotel przede mną. Podniosłam ją. Zielone światelko z boku już nie migąło, ekranik zgasł. Wyłączyłam ją i włączyłam, ale nic się nie zmieniło. Ze-psuta.

— Boże! Co ci odbiło?! — spytałam podniesionym głosem.

Ellen znowu zarechotała, podobnie jak parę innych ich

kumpelek. A Christy raz jeszcze spojrzała na mnie, udając niewiniątko.

Drzwi się otworzyły i wszyscy wstaliśmy. U nastolatków to odruch. Co-  
kolwiek by się robiło, człowiek wstaje, kiedy drzwi autobusu się otwierają. Je-  
den z niezmiennych elementów życia. Rodzisz się, umierasz, wstajesz, gdy  
drzwi autobusu się otwierają.

Christy i ja stałyśmy o parę centymetrów od siebie. Czułam od niej syrop  
klonowy. Zmierzyła mnie szyderczym spojrzeniem od stóp do głów.

— Spieszysz się na jakiś pogrzeb? Może rzucisz Nicka i poderwiesz jakie-  
goś fajnego nieboszczyka? Zaraz, przecież Nick jest nieboszczykiem.

Wytrzymałam jej spojrzenie. Po tylu latach nadal nie miała dość tych sta-  
rych głupich dowcipów. Nie wyrosła z nich. Mama była przekonana, że Christy  
się znudzi, kiedy nie doczeka się reakcji. Ale w takie dni jak dzisiaj brak reakcji  
wydawał się nierealny. Miałam już dość tych przepychanek, ale nie zamierza-  
łam potulnie przemilczeć faktu, że zniszczyła mój odtwarzacz.

Przecisnęłam się obok niej do wyjścia.

— Nie wiem, jaki masz problem... — warknęłam, unosząc empetrójkę. —  
Ale zapłacisz za to.

— Już się boję!

Ktoś inny dodał:

— Uważaj, Christy, bo rzuci na ciebie zaklęcie.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

Wysiadłam i popędziłam do ławek przy boisku, gdzie jak zwykle czekali Stacey, Duce i David.

Podbiegłam do nich, zdyszana i wściekła.

— Cześć — odezwała się Stacey. — Co jest? Ale się wkurzyłaś.

— No — sapnęłam. — Patrz, co ta suka Christy Bruter zrobiła z moją empetrójką.

— O kurczę. — David wyjął mi ją z rąk. Przycisnął parę guzików, kilka razy włączył i wyłączył. — Możesz to dać do naprawy.

— Nie chcę! — warknęłam. — Chcę zabić tę zdzirę! Mogłabym jej ukreć ten głupi łeb. Pożałuje! Już ja jej pokażę!

— Daj spokój — powiedziała Stacey. — To straszna krowa. Nikt jej nie lubi.

Na parking wjechał z rykiem czarny chevrolet. Zatrzymał się tuż koło boiska. Rozpoznałam samochód Jere— my'ego i serce mi załomotało. Na chwilę zapomniałam o odtwarzaczu.

Drzwi od strony pasażera otworzyły się i zobaczyłam Nicka. Miał na sobie grubą czarną kurtkę, którą ostatnio nosił, zapiętą aż pod brodę, bo wiał zimny wiatr.

— Nick! — zawołałam, machając do niego.

Zauważył mnie, lekko uniósł głowę i ruszył w moją stronę. Szedł miarowym, powolnym krokiem. Zbiegłam z trybuny i popędziłam do niego przez trawnik.

— Cześć, skarbie! — rzuciłam, chcąc go objąć. Uchylił się, ale mnie pocałował. Potem jak zwykle zarzucił mi rękę na ramiona. Jego dotyk sprawił mi ulgę.

— Cześć — mruknął. — Jak sobie radzicie, leszcze?

Wolną ręką przywitał się z Duce'em w jakiś skomplikowany sposób i trzepnął Davida w ramię.

— Gdzieś się podziewał? — spytał David.

Nick uśmiechnął się pod nosem. Uderzyło mnie, że wygląda dziwnie. Niemal jakby promieniał.

— Miałem robotę — odpowiedział zwięźle. Omiótł spojrzeniem teren przed szkołą. — Miałem robotę — powtórzył, ale tak cicho, że tylko ja go usłyszałam. Nie zwracał się do nas. Przysięgłabym, że skierował te słowa do samej szkoły. Do tętniącego życiem budynku, który przypominał mrowisko.

Nie zauważyliśmy, że za naszymi plecami stanął pan Angerson. Odezwał się tym tonem, który lubiliśmy naśladować na imprezach: „Uczniowie Garvin, piwo szkodzi waszym rozwijającym się mózgom. Uczniowie Garvin, zdrowe śniadanie to najważniejszy posiłek dnia. I pamiętajcie, uczniowie Garvin, narkotekom mówimy nie!”.

— Dobrze, uczniowie Garvin — odezwał się, a Stacey i ja z chichotem trąciłyśmy się łokciami. — Nie marnujemy czasu. Pora na lekcje!

Duce zasalutował mu i pomaszerował do szkoły. Stacey i David poszli za nim, prychnając śmiechem. Ja też ruszyłam, ale Nick mnie zatrzymał. Spojrzałam na niego. Nadal wpatrywał się w budynek, a na wargach błąkał mu się uśmiech.

— Lepiej chodźmy, bo Angersonowi pęknie jakaś żyłka — szepnęłam, pociągając go za sobą. — A może darujemy sobie dziś obiad i wpadniemy do Casey's?

Nie odpowiedział, zapatrzonego w szkołę.

— Nick? Chodźmy — powtórzyłam. Zero reakcji. W końcu trąciłam go biodrem. — Nick?

Zamrugnął i spojrzał na mnie, nie zmieniając wyrazu twarzy. Blask nie zniknął z jego oczu, może nawet stał się silniejszy. Zaczęłam się zastanawiać, co dziś wziął z Jeremym. Zachowywał się bardzo dziwnie.

— Aha — mruknął. — Aha. Mam dziś masę roboty.

Ruszyliśmy, przy każdym kroku trącając się biodrami.

— Pożyczyłabym ci empetrójkę na pierwszą lekcję, ale Christy Bruter mi ją zepsuła — pożałowałam się, pokazując Nickowi odtwarzacz. Rzucił na niego okiem. Uśmiechnął się szerzej. Uścisnął mnie mocniej i przyspieszył.

— Od dawna chciałem z nią coś zrobić — oznajmił.



— Wiem. Jak ja jej nienawidzę! — jęknęłam, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. — Nie rozumiem, o co jej chodzi.

— Zajmę się tym.

Uśmiechnęłam się ożywiona. Rękaw kurtki Nicka przyjemnie drapał mnie w kark. Miłe uczucie. Takie... prawdziwe. Jakby wszystko miało pozostać normalne, dopóki czułam to ocieranie. Nawet jeśli Nick coś zaplanował. Na razie szedł ze mną, obejmował mnie, zajmował się mną. Nie Jeremym. Mną.

Stanęliśmy przed szkołą i Nick zdjął rękę z moich ramion. Akurat wtedy powiał wiatr, wydymając mi bluzkę. Zadrżałam, nagle zlodowaciała.

Nick otworzył drzwi i przepuścił mnie przed sobą.

— Skończmy z tym — powiedział. Skinęłam głową i ruszyłam do Sejmu, wypatrując Christy Bruter. Z zimna szczękałam zębami.

### 3

[„Sun-Tribune”, 3 maja 2008, tekst: Angela Dash]

Jeff Hicks (15 lat) z pierwszej klasy trzymał się z dala od szkolnej stołówki, co potwierdzają niektórzy uczniowie.

— Nie chodzimy tam, jeśli możemy tego uniknąć — wyjawia inna pierwszoklasistka, Marcie Stindler. — Starsi uczniowie nas prześladują, jeśli tam zaglądamy. To taka niepisana zasada — wolno nam tam wchodzić tylko na obiad. Każdy o tym wie.

Ale rankiem drugiego maja Hicks spóźnił się na zajęcia i przebiegł przez stołówkę, by jak najszybciej dostać się do klasy. W ten sposób znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Kula trafiła go w potylicę, zabijając na miejscu. W banku Garvin State otwarto konto, na które można wpłacać pieniądze dla rodziny chłopaka. Policja nie stwierdziła jeszcze, czy Levil znał Hicksa, czy też postrzelił go przypadkowo, celując w kogoś innego.

Ponieważ pani Tate trzymała mnie tak długo, spóźniłam się na lekcję i weszłam w środku powitalnej przemowy pani Tennille. Wiem, że Tate chciała

oszczędzić mi sterczenia na korytarzu, ale chyba wolałabym to od spojrzeń, które mnie przeszły, gdy wkroczyłam do klasy. Na korytarzu przynajmniej mogłabym się ukryć w cieniu.

Otworzyłam drzwi. Przysięgam, że wszyscy porzucili swoje zajęcia i spojrzeli na mnie. Billy Jenkins upuścił ołówek, który stoczył się z ławki i znieruchomiał na podłodze. Mandy Horn otworzyła usta tak szeroko, że prawie słyszałam, jak w szczęce jej trzasnęło. Nawet pani Tennille zamilkła na parę sekund.

Stałam w progu, zastanawiając się, czy popełniłabym nietakt, gdybym się teraz odwróciła i wyszła z klasy. Ze szkoły. Wróciła do łóżka. Powiedziała mamie i doktorowi Hielerowi, że się pomyliłam, że jednak chcę się uczyć w domu. Że nie jestem tak silna, jak myślałam.

Pani Tennille odkaszlnęła i odłożyła marker, którym pisała na tablicy. Nabrałam powietrza w płuca i powlokłam się do jej biurka. Dałam jej przepustkę, którą wręczyła mi sekretarka pani Tate.

— Właśnie omawiamy tegoroczny plan nauczania — wyjaśniła pani Tennille, przyjmując przepustkę. Jej twarz znieruchomiała jak kamienna maska. — Usiądź. Jeśli zechcesz spytać o coś, co już przedyskutowaliśmy, zrób to po dzwonku.

Przez chwilę mierzyłam ją spojrzeniem. Pani Tennille od początku za mną nie przepadała. Nie mogła mi darować, że nie udzielałam się podczas eksperymentów w laboratorium i że Nick tak jakby przypadkiem podpalił kiedyś próbkę. Nie zliczę, ile razy zatrzymała Nicka po lekcjach, i zawsze mierzyła mnie złym spojrzeniem, kiedy czekałam na niego przed szkołą.

Nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, co do mnie teraz czuła. Może litość, bo nie dostrzegłam w Nicku tego, co ona? Czy miała ochotę mną potrząsnąć i krzyknąć: „A nie mówiłam, ty idiotko?!”. A może znienawidziła mnie za to, co spotkało pana Kline'a.

Może i w jej głowie, tak jak w mojej, milion razy dziennie przewijała się ta scena: pan Kline, nauczyciel chemii, osłaniający swoim ciałem z dziesięcioro uczniów. Płakał. Z nosa ciekły mu smarki, cały dygotał. Rozłożył ręce jak Chrystus. Kręcił głową, wpatrzony w Nicka uparcie i ze strachem.

Lubiłam go. Wszyscy go lubili. Był takim nauczycielem, którego zaprasza się na bal maturalny. Takim facetem, który pogada z tobą w sklepie — i bez tego beznadziejnego tonu „Witam młodzież”, którego używa wielki pan dyrektor Angerson. Kline by powiedział: „Cześć, jak tam? Jakoś leci?”. Kline omijał cię wzrokiem, jeśli przyłapał cię gdzieś z piwem. Kline oddałby za ciebie życie. Zawsze to wiedzieliśmy. Teraz dowiedział się o tym świat.

Dzięki telewizji, która z imponującą dokładnością udokumentowała strzelaninę, i dzięki tej wkurzającej An— geli Dash z „Sun-Tribune” cała ludzkość usłyszała, że pan Kline zginął, ponieważ "nie chciał powiedzieć Nickowi, gdzie jest pani Tennille. Dlatego przypuszczam, że ona sama też się już zorientowała. Podejrzewam również, że dlatego patrzyła na mnie jak na chodzącą zarazę.

Powlokłam się na puste miejsce. Usiłowałam iść ze wzrokiem wbitym w krzesło, ale okazało się to niemożliwe. Przełknęłam ślinę. Miałam zaciśnięte gardło. Ręce tak mi się spociły, że zeszyt się z nich wyslizgiwał. W dodatku rozboleła mnie noga i zaczęłam utykać, za co po cichu się przeklinałam.

Skuliłam się na swoim miejscu i podniosłam oczy na panią Tennille. Odczekała, aż się usadowię, i odwróciła się do tablicy. Odkaszlęła i wróciła do pisania swojego adresu mailowego.

Po chwili wszyscy inni także oderwali ode mnie wzrok i oddychanie stało się łatwiejsze. „Osiemdziesiąt trzy — powtarzałam w myślach jak mantrę. — Osiemdziesiąt dwa, jeśli odliczyć dzisiejszy dzień”.

Tennille dalej nawijała o metodach kontaktu, a ja wpatrywałam się we własne dłonie, usiłując spowolnić oddech tak, jak uczył mnie doktor Hieler. Oglądałam swoje paznokcie, połamane i brzydkie. Nie zdołałam się zmusić do opiewania ich i nagle zaczęłam się ich wstydzić. Wszystkie inne dziewczyny wyszykowały się na ten pierwszy dzień szkoły, zrobiły manicure, włożyły najlepsze ciuchy. Ja ledwie się umyłam. Kolejna rzecz, która odróżniała mnie od nich, a także, co trochę niepokojące, od dawnej mnie.

Zacisnęłam pięści, żeby ukryć paznokcie. Nie chciałam ich pokazywać. Przeraziłam się, że ktoś zauważy ich brzydotę, choć dziwnie uspokoiło mnie to ukłucie, kiedy wbiły się w skórę. Położyłam dłonie na kolanach i ścisnęłam je mocniej, boleśniej; wreszcie mogłam odetchnąć, nie czując fali mdłości.

— Wszelkie pytania kierujcie na e-mail — mówiła pani Tennille, wskazując tablicę. Nagle znieruchomiała.

Po mojej lewej stronie powstało zamieszanie. Jakaś dziewczyna szybko chowała książki i zeszyty do plecaka. Po policzkach spływały jej łzy, a ona usiłowała je powstrzymać tak gwałtownie, że dostała czkawki. Parę koleżanek stało nad nią, głaszcząc ją po plecach i coś do niej szepcząc.

— Czy coś się stało? — spytała nauczycielka. — Kelsey? Meghan? Dlaczego wstałyście?

— Chodzi o Ginny — odezwała się Meghan, wskazując płaczącą dziewczynę, w której dopiero teraz rozpoznałam Ginny Baker. Słyszałam, że miała wiele operacji plastycznych, ale aż do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo zmieniła się jej twarz.

Pani Tennille odłożyła marker i spokojnie założyła ręce na piersi.

— Ginny — odezwała się głosem tak łagodnym, że nie potrafiłam uwierzyć, iż wydobył się z jej ust. — Czy mogę jakoś pomóc? Chcesz coś do picia?

Ginny zasunęła suwak plecaka i wstała. Cała dygotała.

— To przez nią — oznajmiła, nie wskazując nikogo, choć wszyscy i tak wiedzieli, o kim mówi. Znowu spuściłam głowę i jeszcze mocniej wbiłam paznokcie w dłoń. Zagryzłam wargi, żeby nie wyrwało się z nich żadne słowo. — Nie mogę siedzieć obok niej, nie myśląc o... o... — Ginny nabrała tchu i wyrzuciła z siebie słowa pełne takiego bólu, że włosy zjeżyły mi się na dłoniach. — Dlaczego pozwolili jej wrócić?

Chwyciła plecak, przycisnęła go do brzucha i puściła się biegiem do drzwi, odpychając Meghan i Kelsey.

Pani Tennille zrobiła parę kroków, ale stanęła. Skinęła lekko głową i Ginny wypadła z klasy. Jej zniekształconą, zmasakrowaną twarz wykrzywił grymas.

Przez pełną minutę nikt nie drgnął. Zamknęłam oczy i zaczęłam w myślach liczyć od pięćdziesięciu do jednego — kolejna metoda, której się nauczyłam.

Nie pamiętałam, od mamy czy doktora Hielera. W uszach mi dzwoniło, cała się rozdygotałam. „Czy też mam wyjść? Pobiec za Ginny, przeprosić ją? Iść do domu i nigdy nie wracać? Powiedzieć coś klasie? Co mam robić?”.

W końcu pani Tennille odkaszlnęła, odwróciła się do tablicy i wzięła marker. Na jej twarzy malowało się wzburzenie, ale zachowanie go nie zdradzało. Niewzruszona Tennille. Nie da się na nią wpłynąć prośbą ani groźbą.

— Jak mówiłam... — zaczęła i wróciła do wcześniejszego tematu.

Zamrugałam, żeby pozbyć się białych iskierek, które tańczyły mi przed oczami, i usiłowałam się skupić na słowach nauczycielki, co okazało się dość trudne, bo wszyscy się na mnie gapili.

— Następnie skoncentrujemy się...

Znowu rozległy się głosy i pani Tennille ponownie przerwała, bo kilka osób po lewej dyskutowało ze sobą zapalczywie.

— Czy mogę prosić o uwagę? — rzuciła surowo, choć wyraźnie traciła kontrolę nad sytuacją.

Głosy ucichły, ale uczniowie się nie uspokoili.

— Chciałabym zakończyć ten temat, żeby nie mieć zaległości, zanim rozpocznie się rok szkolny. :

Sean McDannon podniósł rękę.

— Tak? — spytała pani Tennille z nutką desperacji.

Sean odkaszlnął w pięść, jak niektórzy mężczyźni, kiedy chcą zmienić głos z normalnego, codziennego, na władczy i męski. Spojrzał na mnie i szybko odwrócił wzrok. Zmusiłam się do słabego uśmiechu, ale mój wysiłek poszedł na marne, bo Sean już patrzył w inną stronę.

To był fajny chłopak. Nigdy się z nikim nie kłócił. Nie budził w nikim prawdziwej sympatii ani nienawiści. Jakoś udawało mu się schodzić wszystkim z drogi, co w liceum czasem decyduje o tym, czy należy się do grupy lubianych uczniów, czy do ofiar. Nikt się nad nim nie pastwił, a przynajmniej o tym nie wiedziałam. Dobrze się uczył, należał do kółek naukowych, pilnował własnego nosa, miał niewymagającą dziewczynę. Mieszkał sześć domów ode mnie, co oznaczało, że w dzieciństwie razem się bawiliśmy. Od piątej klasy właściwie ze sobą nie rozmawialiśmy, ale nie zachowywaliśmy się wobec siebie wrogo. Pozdrawialiśmy się na korytarzu czy przystanku autobusowym. Normalka.

— Przepraszam... pani Tate powiedziała, że powinniśmy rozmawiać o... o tych sprawach... i...

— Dlaczego to Ginny musiała wyjść? — spytała Meghan. Po tym pierwszym spojrzeniu Sean umyślnie omijał mnie wzrokiem, ale ona ostentacyjnie wbiła we mnie płonące oczy. — Ginny nie zrobiła nic złego.

Pani Tennille obracała w dłoniach marker.

— Nikt nie kazał jej wychodzić. A pani Tate z pewnością miała na myśli, że możecie porozmawiać z nią...

— Nie — odezwał się ktoś za moimi plecami. Wydawało mi się, że to Alex Gold, ale poczułam się, jakbym skamieniała, i nie mogłam się obejrzeć. Jeszcze



mocniej wbiłam paznokcie w dłonie. Na skórze powstały bolesne fioletowe ślady. — Nie, ten psycholog, który tu przyszedł, powiedział, że mamy o tym rozmawiać, kiedy tylko poczujemy potrzebę. Nie żebym ją czuł. Dla mnie to już zakończone.

Meghan przewróciła oczami i przeniosła nienawistne spojrzenie ze mnie na punkt nad moim ramieniem.

— No to gratuluję. Ale to nie tobie ktoś odstrzelił twarz.

— Bo może nigdy nie wkurzyłem Nicka Levila.

— Dość tego — rzuciła pani Tennille, ale sytuacja już się wymknęła spod kontroli. — Wróćmy do naszej dyskusji...

— Tobie też nie, Meghan — odezwała się Susan Crayson. — Też ci nikt nie odstrzelił twarzy. Przed strzelaniną nie przyjaźniłaś się z Ginny. Po prostu lubisz melodramaty.

I wtedy rozpętało się piekło. Wszyscy wrzeszczeli tak głośno, że słowa ginęły w hałasie.

— ...melodramat?! Moja przyjaciółka umarła...

— ...zresztą Valerie nikogo nie zastrzeliła! Miała od tego Nicka! A Nick nie żyje, więc w czym problem?!

— Pani Tate powiedziała, że kłótnia nie rozwiąże...

— ...tak straszne, że co noc śnią mi się koszmary, ale skoro przyszła do klasy i...

— ...czyli co, ucieszyłam się, że Ginny dostała, bo mogę sobie poddramatyzować?! Serio?!

— ...była miła dla Nicka, może by do tego nie doszło! Czy nie w tym...

— ...zdaniem zasłużył na śmierć! Dobrze, że nie żyje...

— ...co ty możesz wiedzieć o przyjaźni, cieniasie...

Zrobiło się dziwnie, bo wszyscy tak się skupili na skakaniu sobie do oczu, że zapomnieli o pastwieniu się nade mną. Nikt na mnie nie patrzył. Pani Tennille osunęła się na krzesło za biurkiem i w milczeniu wyglądała przez okno, przebiegając palcami po kołnierzu. Broda lekko jej drżała.

Z relacji dziennikarzy telewizyjnych wynikało, że moi koledzy nic, tylko trzymają się za ręce i śpiewają *Give Peace a Chance*. Nic z tych rzeczy. Mało nie poprzegryzali sobie gardeł. Ożyły wszystkie dawne urazy, pretensje, wspomnienia o doznanych upokorzeniach, jątrzące się pod ładną fasadą.

W końcu odzyskałam zdolność ruchu i się rozejrzałam — naprawdę przyjrzałam się tym wszystkim, którzy wrzeszczeli i machali rękami. Parę osób płakało. Kilka się śmiało.

Miałam wrażenie, że powinnam coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Gdybym im przypomniała, że to nie ja strzelałam, zabrzmiałoby to jak usprawiedliwienie. Gdybym usiłowała kogoś pocieszyć, zrobiłoby się maksymalnie dziwnie. Jakiegokolwiek działanie wydawało się nie na miejscu. Nie byłam na to jeszcze gotowa i nie sądziłam, żebym kiedykolwiek do tego dojrzała.

Nie znajdowałam odpowiedzi na własne pytania, więc jak mogłabym wyjaśnić ich wątpliwości? Odruchowo sięgnęłam po komórkę. Może powinnam zadzwonić do mamy. Błagać, żeby mi pozwoliła jechać do domu. I nigdy nie wracać. A może lepiej wybrać numer doktora Hielera i powiedzieć, że po raz pierwszy się pomylił. Nie wytrzymam nawet osiemdziesięciu trzech minut, nie mówiąc już o dniach.

Po chwili pani Tennille zdołała opanować chaos i wszyscy usiedli na miejscach. Napięcie wisiało nad nami jak chmura do końca lekcji.

Powoli ludzie zaczęli zapominać o mojej obecności, a ja dopuściłam możliwość, że zdołam wytrzymać w tej ławce, klasie, szkole. „Musisz znaleźć sposób, by zobaczyć prawdziwe oblicze spraw — poradził doktor Hieler. — Musisz znowu zaufać swojemu osądowi rzeczywistości”.

Otworzyłam zeszyt i wzięłam długopis. Ale zamiast notować słowa Tennille, rysowałam to, co widziałam. Otaczały mnie młode twarze i młode ciała w młodzieżowych ubraniach, młodzieżowych rozsznurowanych butach i młodzieżowych podartych dżinsach. Ale jakoś się zmieniły. Zamiast gniewnych grymasów i szyderczych uśmiezków zobaczyłam zagubienie. Oni wszyscy także nie wiedzieli, co robić.

Narysowałam ich z wielkimi pytajnikami zamiast głów. Ich unoszące się nad kołnierzykami bluz i podkoszulków kropki były rozdziawionymi, krzyczącymi ustami. Niektóre płakały. Niektóre skuliły się w kłębek.

Nie wiem, czy o to chodziło doktorowi Hielerowi, ale wiem, że narysowanie tych znaków zapytania uspokoiło mnie o wiele bardziej niż liczenie od pięćdziesięciu wstecz.

TLR

**2 MAJA 2008**

**godz. 7:37**

„Q Boże! Ludzie, ratunku!”

TLR

Weszłam z Nickiem do szkoły. Wiatr wyrwał mi z ręki skrzydło drzwi i głośno je za mną zatrzaskał. Jak zawsze na korytarzu roiło się od uczniów tłoczących się przy szafkach, rodzicach lub nauczycielach. Mnóstwo śmiechu, mnóstwo złośliwych prychnięć, łomot — poranne odgłosy, naturalna ścieżka dźwiękowa szkolnego życia.

Skęciliśmy do Sejmu, gdzie płynący korytarzem zdyscyplinowany strumień uczniów zwalniał i rozpadał się na plotkujące przed lekcjami grupy. Niektórzy kupowali pączki, a potem siadali na podłodze oparci o ściany. Cheerleaderki stały na krzesłach, rozwieszając plakaty. Kilka par całowało się w kącie. Szkolne wyrzutki — nasi przyjaciele — czekały na nas przy okrągłym stoliku koło wejścia do kuchni. Paru nauczycieli — tych odważnych, jak Kline i pani Flores od rysunku — chodziło w tłumie, usiłując zaprowadzić coś w rodzaju porządku, ale wszyscy wiedzieli, że to walka z wiatrakami. Porządek i Sejm to dwa wykluczające się pojęcia.

Nick i ja stanęliśmy w progu. Wspięłam się na palce i wyciągnęłam szyję. Nick wodził wzrokiem po pomieszczeniu, uśmiechając się lekko.

— Tam! — powiedziałam, wskazując. — Tam stoi!

Nick odnalazł Christy w tłumie.

— Wyduszę z niej nową empetrójkę — oznajmiłam.

Nick powoli rozpiął kurtkę, ale jej nic zdjął.

— Skończmy to — rzucił, a ja się uśmiechnęłam, zadowolona, że się za mną ujął. Cieszyło mnie też, że Christy Bruter dostanie w końcu, na co zasłużyła. Wreszcie odzyskałam dawnego Nicka — tego, w którym się zakochałam. Nicka, który bronił mnie przed Christy Bruter i wszystkimi innymi, który nie cofał się przed szkolnymi osiłkami. Nicka, który rozumiał, co się składa na moje życie — nędzna rodzina, nędzna pozycja w szkole, ludzie nieustannie mi przypominający, że do nich nie należę i jestem od nich mniej warta.

Nick szybkim krokiem ruszył przez tłum. Jego oczy przybrały dziwny, nieobecny wyraz. Nie patrzył pod nogi. Torował sobie drogę, brutalnie się rozpychając. Szłam za nim wśród rozgniewanych twarzy, ale nie zwracałam na nikogo uwagi.

Nick dotarł do Christy pierwszy. Musiałam wyciągnąć szyję, żeby dostrzec dziewczynę zza jego ramienia. Wyteżałam słuch, aby usłyszeć każde jego słowo, bo nie zamierzałam stracić ani sekundy z awantury. Dlatego wiem z całą pewnością, co powiedział. Słyszę to codziennie.

Chyba trącił Christy w ramię, tak jak ona mnie w autobusie. Nie widziałam tego, bo Nick nadal mi ją zasłaniał. Ale zobaczyłam, jak Christy wpada na swoją kumpelkę Willę. Odwróciła się z zaskoczeniem.

— Co ci odbiło?

Dogoniłam Nicka i przystanąłam tuż za nim. Na nagraniu z kamer przemysłowych wygląda to tak, jakbym znajdowała się obok niego. Trudno dostrzec granicę między naszymi ciałami. Ale stałam krok za nim i widziałam tylko głowę i ramiona Christy.

— Od dawna jesteś na liście — powiedział i natychmiast zrobiło mi się zimno, bo nie mogłam uwierzyć, że wyjawiał jej taką sprawę. Szczerze mówiąc, wkurzyłam się. Tę listę uważałam za naszą tajemnicę, za sprawę, która powinna pozostać między nami. A on wszystko wypaplał. I wiedziałam, że Christy Bruter to wykorzysta. Pewnie rozpowie o tym koleżankom i zrobi z nas pośmiewisko. Naskarzy rodzicom, którzy zadzwonią do moich rodziców i czeka mnie szlaban. Może nawet zawieszą nas w szkole. Egzaminy końcowe zmieniają się w koszmar.

— Na jakiej liście? — spytała Christy i spojrzała na coś, lekko spuszcając wzrok. Oczy się jej rozszerzyły. Zaczęła się śmiać, Willa też, a ja wspierałam się na palce, żeby zobaczyć, o co chodzi.

I wtedy huknęło.

Właściwie nie w moich uszach, tylko w mózgu. Jakby cały świat na mnie runął. Krzyknęłam. Wiem, że to zrobiłam, bo poczułam, jak usta mi się otwierają i wibrują struny głosowe, ale nic nie usłyszałam. Zamknęłam oczy, odruchowo osłoniłam głowę rękami i myślałam tylko o jednym: „Dzieje się coś złego, dzieje się coś złego, dzieje się coś złego”. Prawdopodobnie moje ciało włączyło autopilota. Instynkt przetrwania. Czułam, że to informacja, którą przesyła moim nogom podświadomość: „Niebezpieczeństwo, uciekać!”.

Otworzyłam oczy i chciałam chwycić Nicka, ale już się odsunął i ujrzałam Christy, stojącą z kompletnie zaskoczoną miną. Usta miała otwarte i wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć. Obiema rękami trzymała się za brzuch. Spośród jej palców ciekła krew.



Zachwiała się i zaczęła przechylać do przodu. Odskoczyłam; runęła na podłogę między mną a Nickiem. Spojrzałam na Christy — miałam wrażenie, że wszystko rozgrywa się w zwolnionym tempie. Na jej podkoszulku szybko rosła plama krwi z dziurą w środku.

— Załatwiłem ją — odezwał się Nick, także patrząc na Christy. W drżącej ręce trzymał broń. — Załatwiłem ją — powtórzył. Z gardła wyrwał mu się chichot, wysoki i przenikliwy. Nadal uważam, że to z zaskoczenia. Muszę w to wierzyć. Że gdzieś za prochami i obsesją na punkcie Jeremy'ego krył się prawdziwy Nick, który tak jak ja sądził, że to żart, udawanie.

A potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Ludzie krzyczeli i uciekali, tłoczyli się w drzwiach i wpadali na siebie. Parę osób stało z rozbawionymi minami, jakby ktoś wyciął niezły numer, którego niestety nie zdążyli zobaczyć. Pan Kline torował sobie drogę, pani Flores wykrzykiwała polecenia.

Nick też pobiegł w tłum, zostawiając mnie przy zakrwawionej Christy. Odwróciłam głowę i napotkałam spojrzenie Willi.

— O Boże! — krzyknął ktoś. — Ludzie, ratunku! Wydaje mi się, że to ja wołałam, ale nawet dziś nie mam pewności.

[„Sun-Tribune”, 3 maja 2008, tekst: Angela Dash]

Wzorowa uczennica Ginny Baker (16 lat), w chwili gdy padł pierwszy strzał, właśnie żegnała się przed lekcją z przyjaciółmi. Zgodnie z zeznaniami świadków, wyglądało na to, że napastnik z premedytacją wybrał sobie ofiarę. Levil pochylił się, by do niej strzelić, kiedy dziewczyna schowała się pod stołem.

— Krzyczała: „Pomóż mi, Meg!”, a on się pochylił i wycelował w nią broń — relacjonuje trzecioklasistka Meghan Norris. — Ale nie wiedziałam, co robić. Nie wiedziałam, co się dzieje, nie usłyszałam nawet pierwszego strzału. I wszystko wydarzyło się tak szybko... Słyszałam tylko, że pani Flores woła, żebyśmy się schowali pod stołami i osłonili głowy. A ja skoczyłam pod ten sam stół co Ginny. Nick do niej strzelił. Nic nie powiedział, tylko zajrzał pod stół, wycelował pistolet w jej twarz, strzelił i odszedł. Ginny uciechła. Nie prosiła mnie już o pomoc i myślałam, że umarła. Wyglądała jak trup.

Matka Baker nie skomentowała tego wydarzenia. Ojciec, który mieszka na Florydzie, opisuje incydent jako „najgorszy koszmar każdego rodzi-

ca". Dodaje, że pomoże córce przejść przez czekające ją poważne operacje plastyczne, mające zrekonstruować jej twarz.

— To co, twoja mama wróciła dziś do pracy? — spytała Stacey. Stałyśmy w stołówce w kolejce do okienka, po drodze stawiając jedzenie na tacach. Miałyśmy razem angielski. W klasie czuło się napięcie, choć niezbyt wielkie. Kilka dziewczyn wymieniło się liścikami, a miejsce Ginny świeciło pustką. Poza tym nie wydarzyło się nic złego. Pani Long, nauczycielka angielskiego, znalazła się wśród tych, którzy podpisali list od rady szkolnej. Na mój widok oczy jej zwiłgotniały, ale nic nie powiedziała. Uśmiechnęła się tylko i skinęła mi głową. Potem zaczęła lekcję. Bogu dzięki.

— No.

— Moja mama mówiła, że twoja zadzwoniła do niej wczoraj, żeby pogadać.

Znieruchomiałam ze szczypcami pełnymi sałatki.

— Naprawdę? I co?

Stacey nie spojrzała na mnie. Szła ze wzrokiem wbitym w tacę. Patrząc na nas, nikt nie potrafiłby zgadnąć, czy ze sobą rozmawiamy, czy też Stacey po prostu miała pecha znaleźć się obok mnie. Ona prawdopodobnie tak wolała. Tak było bezpieczniej.

Stacey wzięła miseczkę tęczowej galaretki i postawiła ją na tacy. Zrobiłam to samo.

— Znasz moją mamę — powiedziała. — Oznajmiła, że nie chce, by nasze rodziny się przyjaźniły. Uważa, że twoja mama cię nie dopilnowała.

— Rany — mruknełam. Żołądek mi się ścisnął. Prawie zrobiło mi się żal mamy, której niczego nie ułatwiałam. Poczułam się głupio. Wolałam myśleć, że mama uważa mnie za najgorszą córkę świata, która zrujnowała jej życie. — Auć.

Stacey wzruszyła ramionami. : — Twoja mama powiedziała mojej: „Zabieraj dupę z mojego życia”.

Cała mama. Choć pewnie potem poszła do pokoju i się popłakała. Przyjaźniła się z panią Brinks od piętnastu lat. Obie zamilkłyśmy. Nie wiem jak Stacey, ale mnie w gardle utkwiał bolesny gruzeł, który odebrał mi mowę.

Wzięłyśmy tace, zapłaciłyśmy i ruszyłyśmy w stronę stolików.

Normalnie nie miałabym się nad czym zastanawiać. W zeszłym roku skierowałybyśmy się w głąb sali, do trzeciego stolika od końca. Pocałowałabym Nicka i usiadła między nim a Masonem. Jedlibyśmy, śmiejąc się, kuksając, rzucając w siebie serwetkami i tak dalej.

Stacey szła przede mną. Przystanęła przy stojaku z przyprawami. Ja też nałamałam sobie malutki kubeczek keczupu, choć nie kupiłam nic, co można by nim doprawić. Usiłowałam się czymś zająć, żeby się nie rozglądać po stołówce.

Czułam na sobie wzrok wielu osób. Stacey znowu ruszyła, jakby nie zdawała sobie sprawy, że idę za nią. A ja szłam, może z nawyku, a może dlatego, że nie miałam pomysłu, co innego mogłabym zrobić.

Oczywiście przy stoliku w głębi siedziała nasza paczka. David. Mason. Duce. Bridget. Jej przyrodni brat Joey. David podniósł głowę, pomachał Stacey, a potem jakby oklapł, gdy jego spojrzenie spoczęło na mnie. Podniósł rękę bez przekonania i natychmiast ją opuścił. Wyglądał, jakby chciał się zapaść pod ziemię.

Stacey postawiła tacę przed jedynym wolnym krzesłem przy stole, między Duce'em i Davidem. Duce natychmiast zaczął z nią rozmawiać — chodziło o YouTube — a ona pisnęła ze śmiechu: „No! Widziałam, ale czad!”. Stałam parę kroków od nich, nie wiedząc, co z sobą począć.

— A, tak — powiedziała Stacey, podnosząc głowę. Spojrzała na mnie niemal ze zdziwieniem, jakby do tej pory nie uświadamiała sobie, że za nią idę. Jakbyśmy nie stały obok siebie w kolejce. Jakby ze mną nie rozmawiała. Zerknęła na Duce'a, a potem znowu na mnie. — Tak... Eee... — Zacisnęła usta. — Val... skończyły nam się krzesła.

Duce objął ją, a ona znowu uśmiechnęła się w ten podstępny, pełen wyższości sposób.

David zrobił ruch, jakby chciał wstać, żeby mi ustąpić miejsca albo przynieść krzesło. Nie jadł. Jak niemal zawsze.

Duce kopnął nogę jego krzesła. Nie spojrzał na niego, ale David usiadł. Nieśmiało wzruszył ramionami i wbił wzrok w stół, odwracając ode mnie głowę. Duce znowu zaczął mówić do Stacey, prawie szepcząc jej do ucha. Zachichotała. Nawet David skupił się na słowach Bridget. Całkiem jakby po śmierci Nicka „rodzina” się mnie wyparła. A może to ja się siebie wyparłam, nie wiem.

— Nie ma sprawy — rzuciłam, choć nikt mnie nie słuchał. — Mogę usiąść gdzie indziej. Żaden problem.

Ale tak naprawdę postanowiłam się wymknąć i usiąść tam, gdzie nikt mi nie będzie przeszkadzać i — co ważniejsze — gdzie ja nie będę nikomu przeszkadzać. Tak było najlepiej. Zresztą co miałabym im powiedzieć? Przez te wakacje korzystali z życia. Tymczasem ja rozpaczliwie starałam się zacząć je od nowa.

Odwróciłam się i powiodłam wzrokiem po Sejmie. Dziwne — wszystko wyglądało tak samo jak przedtem. Te same twarze przy tych samych stolikach. Te same chude dziewczyny jedzące te same sałatki. Ci sami sportowcy ładujący w siebie proteiny. Te same kujony kulące się w kącie. Hałas ogłuszał. Wśród stolików przechadzał się pan Cavitt, komenderując:

— Ręce na stół, dzieci. Ręce na stół!

Tylko ja się zmieniłam.

Odetchnęłam głęboko i ruszyłam przed siebie, starając się nie zwracać uwagi na śmiech i piski Stacey. „Tego chciałaś — powiedziałam sobie. — Chciałaś odsunąć od siebie Stacey. Chciałaś wrócić do Garvin. Chciałaś udowodnić, że nie masz powodu się ukrywać. Chciałaś, to masz. To tylko obiad.

Zaciśnij zęby i wytrzymaj". Wyszłam na korytarz, nie odrywając wzroku od tacy i podłogi.

Tuż za drzwiami stołówki oparłam się o ścianę, odchyliłam głowę i zamknęłam oczy. Odetchnęłam głęboko. Pociłam się, a ręce mi zlodowaciały. Nie czułam głodu i marzyłam tylko o tym, żeby ten dzień już się skończył. Powoli osunęłam się na podłogę i postawiłam przed sobą tacę. Oparłam łokcie na kolanach i schowałam twarz w dłoniach.

Wróciłam myślami do jedyne go znanego mi bezpiecznego miejsca: pokoju Nicka. Przypomniałam sobie, jak siedziałam na podłodze z padem od Playstation, wrzeszcząc:

— Nie pozwalaj mi wygrać! Cholera, Nick, dajesz mi fory! Przestań!

A on miał tę swoją przekorną minę — z koniuszkiem języka wystającym w kąciu lekko uśmiechniętych ust. Co chwila cicho chichotał.

— No weź, przestań! Serio! Nienawidzę, kiedy dajesz mi fory. To obraźliwe!

Znowu chichot co parę sekund, a potem ognisty wybuch, celowo kończący grę.

— Nick, cholera! — krzyknęłam, uderzając go w ramię padem. Moja postać migiała na ekranie telewizora, preżąc się w zwycięskiej pozie. — Przecież prosiłam. Boże!

Założyłam ręce na piersi i odwróciłam od niego wzrok.

Nick śmiał się już otwarcie. Trącił mnie ramieniem.

— No co? No co? Wygrałaś w uczciwej walce. Poza tym jesteś tylko dziewczyną. Trzeba ci pomagać.

— Oooo, świństwo! Ja ci pokażę! — wrzasnęłam, rzuciłam pada i starałam się walczyć z Nickiem, który rozchichotał się jeszcze bardziej.

Zabębniłam żartobliwie pięściami w jego ramiona i piersi. Nie mogłam się dłużej gniewać. Nick nieczęsto wpadał w taki psotny nastrój, ale kiedy już mu się to zdarzało, zarażał nim wszystkich.

— O, nie! O, nie, ty wielka silna kobieto! — powtarzał piskliwie i kpiąco, co chwila wybuchając śmiechem. — Auć, robisz mi krzywdę!

Rzuciłam się na niego jeszcze raz. Upadliśmy na podłogę i nagle znalazłam się pod nim. Przygniatał moje nadgarstki do podłogi, oboje ciężko dyszeliśmy. Pochylił się nade mną i zajrzał mi w oczy.

— Wiesz co, to nic złego, że ktoś ci czasem da fory — powiedział, nagle poważniejąc. — Nie zawsze musimy przegrywać. Inni mogą chcieć, żebyśmy się tak czuli, ale nie jesteśmy ofiarami. Czasem i nam zdarza się wygrać.

— Jasne — potwierdziłam. Zastanowiłam się, czy Nick wie, że już czuję się wygrana — tylko dlatego, że trzyma mnie w ramionach.

— Możesz usiąść ze mną — powiedział ktoś, wrywając mnie z zamyślenia. Otworzyłam oczy, przygotowując się na następną część tego kawału. Możesz usiąść ze mną... na święty Nigdy. Albo: możesz usiąść ze mną... jak świnię zacząć latać! Ale to, co zobaczyłam, zaparło mi dech w piersiach.



Jessica Campbell stała nade mną z kamienną miną. Miała na sobie strój do siatkówki. Włosy ściągnęła w koński ogon.

Jessica właściwie rządziła w naszym liceum. Najbardziej popularna, bez trudu mogła się także stać najbardziej okrutna, bo ludzie ją podziwiali i zrobiliby wszystko, żeby się jej przypodobać. Christy Bruter wymyśliła przezwisko Siostra Śmierć, ale to Jessica wypowiadała je głosem tak zimnym i lekceważącym, że czułam się nieważna i głupia. To ona namówiła Jacoba Kinneya, żeby popychał Nicka na korytarzu, i to ona naskarżyła panu Angersonowi, że rano palimy trawkę w moim samochodzie na parkingu przed szkołą, co było bezczelnym kłamstwem, ale i tak zostaliśmy zatrzymani po lekcjach. To ona wyśmiewała się z nas za plecami. I w twarz. Nie raz znalazła się na liście Do odstrzału. Z podkreślonym nazwiskiem. I wykrzyknikami.

To ona powinna mieć w udzie wielką wyrwę po kuli. To jej życie uratowałam. Do maja szczerze jej nienawidziłam. Teraz nie miałam pojęcia, co powinnam do niej czuć.

Kiedy ostatnio ją widziałam, kulila się przed Nickiem, zasłaniając twarz rękami. Krzyczała. Na całe gardło. Prawie oszalała ze strachu. Ale przecież wszyscy wtedy wrzeszczeli. Pamiętam strugę krwi na nogawce jej džinsów i włosy usmarowane jedzeniem. Potem wiele razy myślałam, jakie to śmieszne: nigdy w życiu nie widziałam nikogo tak bardzo upokorzonego, ale nie poczułam żadnej satysfakcji. Powinnam się cieszyć, że zobaczyłam ją w takim stanie, ale nie potrafiłam, bo sytuacja zmięknęła się w koszmar.

— Co? — wychrypiałam.

Wskazała drzwi Sejmu.

— Jeśli chcesz, możesz jeść przy moim stole.

Nadal zero uśmiechu, zero grymasu, żadnej emocji. Podejrzewałam, że to pułapka. Jessica Campbell po prostu nie mogła mnie zapraszać do własnego stolika. Pewnie coś knuła.

Powoli pokręciłam głową.

— Lepiej nie. Ale dziękuję.

Patrzyła na mnie przez parę minut, lekko przechylając głowę i przygryzając wargę. Dziwne, ale nie pamiętałam, żeby tak wcześniej robiła. Wyglądała... ja-koś krucho. Łagodnie. Może nawet trochę się bała. Nie kojarzyłam jej z takimi uczuciami.

— Na pewno? Bo siedzę tylko z Sarą, a ona i tak pracuje nad jakimś referatem z psychologii. Nawet nie zauważy, że ktoś z nami usiadł.

Spojrzałam na jej zwykłe miejsce. Rzeczywiście Sara pochylała się nad zeszytem, ale obok zauważyłam z dziesięć innych osób. Paczkę Jessiki. Poważnie wątpiłam, żeby nie zauważyli mojej obecności. Jeszcze nie zgłupiałam. I nie byłam aż tak zdesperowana.

— Nie. Serio. To bardzo miłe i w ogóle, ale dziękuję.

Wzruszyła ramionami.

— Jak wolisz. Ale jeśli zechcesz, zawsze możesz się przysiąc.

Skinęłam głową.

— Zapamiętam.

Odwróciła się, ale jakoś niepewnie.

— Ee... Czy mogę cię o coś spytać?

-No.

— Wiele osób zastanawia się, dlaczego wróciłaś.

„A, no to się stało — pomyślałam. — Teraz zaczniesz mnie wyzywać, powiesz, że nie chcę tu być, wyśmiesz mnie”. Znowu poczułam, że rośnie we mnie dawna ściana.

— Bo to moja szkoła — wymamrotałam trochę zbyt opryskliwie. — Nie powinnam z niej odchodzić. Dyrekcja się zgodziła.

Znowu zagryzła wargę.

— Masz rację — powiedziała. — Nikogo nie zastrzeliłaś.

Znikła w stołówce, a ja odchyliłam się, odprowadzając ją wzrokiem. „Musisz dostrzec prawdziwy obraz sytuacji” — usłyszałam głos doktora Hielera. Sięgnęłam do plecaka i wyjęłam zeszyt i ołówek. Spojrzałam na ludzi we wnętrzu sali. Przyglądałam się temu, co robią, i takich ich narysowałam — zgraja wilków nachylonych nad talerzami, długie pyski odsłaniające kły w warkocie i kpiących uśmiechach. Z wyjątkiem Jessiki. Jej ślepie spoglądały na mnie łagodnie. Z zaskoczeniem przyjrzałam się swojemu rysunkowi. Ten wilczy pysk wyglądał bardziej jak mordka szczeniaka.

**2 MAJA 2008**

**godz. 7:41**

„Nie pamiętasz naszego planu?”

Kiedy Christy Bruter upadła na podłogę u moich stóp, a wokół wybuchły wrzask, panika i chaos, ogarnęło mnie dziwne przeświadczenie, że to wytwór mojej wyobraźni. Że leżę w łóżku i wszystko mi się śni. Za chwilę zadzwoni moja komórka i Nick powie, że jedzie gdzieś z Jeremym na cały dzień i nie przyjdzie do szkoły.

Ale potem Nick ruszył przed siebie biegiem, a Willa rzuciła się na kolana przy Christy i odwróciła ją na plecy. Wszędzie była krew. Mnóstwo krwi. Christy nadal oddychała, ale tak dziwnie, jakby w gardle miała kisiel czy coś w tym stylu. Willa robiła jej sztuczne oddychanie, przyciągając i odwodząc jej rękę. Powtarzała w kółko, że Christy z tego wyjdzie.

Uklękłam obok niej i ucisnęłam ranę.

— Masz komórkę?! — wrzasnęłam. Willa pokręciła głową. Swoją zostawiłam w plecaku, ale w tym chaosie gdzieś zniknął. Na nagraniach \*z kamer przemysłowych zobaczyłam później, że leżał na podłodze za mną, nasiąkając krwią. To dziwne — patrzyłam na niego, ale w tym przerażeniu i zamieszaniu go nie zauważyłam. Całkiem jakby nie mieściło mi się w głowie, że „krew” i „plecak” mogą się znaleźć w tym samym zdaniu.

— Ja mam! — odezwała się Rachel Tarvin. Stała tuż za Willą i zachowywała się niewiarygodnie spokojnie, jakby codziennie brała udział w strzelaninie.

Wyjęła komórkę z kieszeni dzinsów i ją otworzyła. Zaczęła wybierać numer. W tej samej chwili rozległ się kolejny huk i krzyk. I znowu dwa głośne wystrzały. I trzy następne. I krzyki.

Tłum rzucił się w naszym kierunku. Poderwałam się, żeby uniknąć stratomania.

— Nie zostawiaj nas! — krzyknęła Willa. — Ona umrze. Nie możesz odejść. Pomóż mi! Ratunku!

Ale tłum porwał mnie ze sobą i zanim się zorientowałam, już ślizgałam się we krwi Christy, otoczona osobami, które uciekały z Sejmu. Ktoś uderzył mnie łokciem w usta; poczułam smak krwi. Ktoś mocno przydepnął mi stopę. Prawie tego nie zauważyłam, tak gwałtownie oglądałam się na Christy. Zniknęła mi z oczu. A wtedy zobaczyłam coś strasznego.

W okolicy stołu z pączkami widniała kałuża krwi. Pod stołem leżały dwa nieruchome ciała. Nick przewracał kolejne stoliki i krzesła. Od czasu do czasu przykuczał i zaglądał pod blat, wywlekał kogoś i mówił do niego, celując mu w twarz. Potem rozlegał się kolejny huk i krzyk.

Zaczęłam powoli to wszystko do siebie dodawać. Nick. Broń. Huk. Krzyki. Mózg nadal działał mi na zwolnionych obrotach, ale powoli zaczęłam kojarzyć fakty. To wszystko nie miało sensu. „A może? Przecież o tym rozmawialiśmy”.

— Słyszałaś o tej strzelaninie w szkole w Wyoming? — spytał Nick przez telefon pewnego wieczoru przed paroma tygodniami. Siedziałam na łóżku, malując paznokcie u stóp. Przełączyłam aparat na głośnik. Rozmawiałam z Nickiem milion razy i ten temat nie wydał mi się dziwniejszy od innych.

— Aha — mruknęłam, wycierając umazany lakierem opuszek. — Odjazd, nie?

— Słyszałaś, jakie głupoty pierniczą o sprawcach? Ze nikt nie zauważył znaków ostrzegawczych?

— No. Mniej więcej. Nie skupiałam się za bardzo.

— Ciągłe powtarzają, jacy ci faceci byli lubiani, że wszyscy za nimi przepadali i tak dalej. Głaby.

Przez chwilę milczeliśmy. Włożyłam empetrójkę do gniazda w komputerze.

— No tak. Telewizja jest do dupy. Wiesz.

— Wiem.

Znowu milczenie. Przekartkowałam gazetę.

— I co sądzisz? Dałabyś radę to zrobić?

- Co?

— Zastrzelić ich. Christy, Jessicę, Tennille i innych.

Skubnęłam zębami paznokieć, czytając podpis pod zdjęciem Cameron Diaz i coś o jej torebce.

— Chyba — mruknęłam i przewróciłam stronę. — Ale nie jestem lubiana i tak dalej, więc to nie to samo.

Westchnął. Ten dźwięk zabrzmiał w głośniku jak eksplozja.

— No. Masz rację. Ale ja mógłbym. Na sto procent mógłbym ich rozwalić. Tylko że nikt by się nie zdziwił.

Oboje się roześmialiśmy.

Nick nie miał racji. Wszyscy się bardzo zdziwili. Zwłaszcza ja. Tak się zdziwiłam, że uznałam to za jakieś nieporozumienie. Nieporozumienie, któremu muszę położyć kres.

Przepchnęłam się obok dwóch trzymających się w objęciach dziewczyn. Później przez tłum przy drzwiach. Szłam pod prąd — dokładnie tam, skąd wszyscy uciekali. Z każdym krokiem czułam się silniejsza, bardziej zdecydowana. Odpychałam tych, którzy stanęli mi na drodze. Niektórzy padali na podłogę, ślizgając się we krwi, padali z plaskiem na kafelki. W końcu zaczęłam biec. Z mojego gardła wydobywały się ochryple dźwięki.

— Nie... — mamrotałam, potracając mijanych uczniów. — Nie. Zaczekaj...

W końcu znalazłam niewielki fragment wolnej przestrzeni i pospieszyłam w jego stronę. Na podłodze jakieś dwa kroki ode mnie leżał na brzuchu ktoś mi nieznany. Jego potylica lśniła od krwi.

Znowu usłyszałam trzy czy cztery strzały. To oderwało moją uwagę od martwego chłopaka.



— Nick! — wrzasnęłam.

Stałam na środku stołówki, ale nigdzie go nie widziałam. Zbyt wiele osób uciekało w zbyt wielu kierunkach. Zatrzymałam się i rozejrzałam gorączkowo.

Nagle dostrzegłam po lewej jakiś znajomy kształt. Nick zbliżał się do pana Kline'a, nauczyciela chemii. Pan Kline trwał odważnie, osłaniając rękami małą grupkę uczniów. Miał czerwoną twarz, lśniącą od potu, a może od łez. Pobiegłam do nich.

— Gdzie ona jest?! — ryczał Nick. Kilku uczniów pisnęło z przerażeniem i przytuliło się do siebie.

— Stary, odłóż tę broń — poprosił pan Kline. Wydawało mi się, że usiłuje nad sobą panować, choć głos mu drżał. — Odłóż ją i pogadamy.

Nick zaklął i kopnął krzesło, które uderzyło nauczyciela w nogi. Ale pan Kline się nie cofnął. Nawet nie drgnął.

— Gdzie ona jest?!

Pan Kline powoli pokręcił głową.

— Nie wiem, o kim mówisz. Odłóż broń, a przedyskutujemy...

— Milcz! Zamknij mordę! Mów, gdzie ta suka Tennille, bo ci łeb odstrzelę!

Usiłowałam przyspieszyć, ale nogi się przede mną uginały.

— Nie wiem, stary. Nie słyszysz syren? Policja już przyjechała. To koniec. Odłóż broń i oszczędź sobie...

Znowu huk. Odruchowo zamknęłam oczy. A kiedy je otworzyłam, pan Kline z rozłożonymi rękami padał na podłogę. Runął jak długi. Nie widziałam rany, ale jego oczy znieruchomiały.

Stałam jak skamieniała, w uszach mi dzwoniło od wystrzału, oczy mnie paliły, gardło się zacisnęło. Nie powiedziałam nic, nic nie zrobiłam. Stałam wpatrzona w leżącego na boku pana Kline'a.

Sześć czy siedem osób, które kryły się za plecami pana Kline'a, utknęło między Nickiem a ścianą. Nadal tuliły się do siebie i popiskiwały jak szczenięta. Na końcu grupki stała Jessica Campbell. Pochyliła się dziwnie, jakby przykucnęła z tyłkiem opartym o ścianę. Włosy miała związane w koński ogon, ale ich pasma wymknęły się spod gumki i otuliły jej twarz. Trzęsła się tak bardzo, że zaczęła szczekać zębami.

Wystrzał rozległ się za blisko mnie i na chwilę straciłam słuch. Nie rozumiałam słów Nicka. Niektóre brzmiały podobnie do „spadać” albo „uciekać”. Uczniowie początkowo się sprzeciwili, ale wtedy trafił Lin Young w ramię i wszyscy się rozbiegli, pociągając Lin ze sobą. Została tylko przyciśnięta do ściany Jessica.

Wtedy zrozumiałam. Właśnie w tej chwili dotarło do mnie, co zamierza Nick. Nadal miałam zatkane uszy, ale nie aż tak, żeby nie słyszeć, jak on na nią wrzeszczy, a ona po prostu krzyczy. Stała z otwartymi ustami i zamkniętymi oczami.

„Boże — pomyślałam. — Lista. On odszukuje ludzi, których wpisaliśmy na listę Do odstrzału”. Ruszyłam przed siebie, lecz tym razem miałam wrażenie, że

brnę w głębokim piasku. Stopy miałam ciężkie i zmęczone, coś opasywało mi pierś, odbierając oddech i ciągnąc do tyłu.

Nick znowu podniósł broń. Jessica zakryła twarz rękami i skuliła się jeszcze bardziej. Dotarło do mnie, że nie zdążę.

— Nick! — wrzasnęłam.

Odwrócił się do mnie, nadal trzymając broń w górze. Uśmiechał się. Bez względu na wszystkie moje wspomnienia o nim, do końca życia nie zapomnę, że odwrócił się do mnie z uśmiechem. To był nieludzki uśmiech. Ale gdzieś w jego oczach dostrzegłam prawdziwe uczucie. Jakby Nick, którego znałam, tkwił uwięziony w tym obcym i błagał, by go wypuścić.

— Nie! — krzyknęłam, podbiegając. — Przestań! Nie!

Miał bardzo dziwną minę. Nie przestawał się uśmiechać, ale wyglądał, jakby nie rozumiał, czego od niego chce. Jakbym to ja miała jakiś problem. Spojrzał na mnie, uśmiechając się z zaskoczeniem, i powiedział coś w stylu: „Nie pamiętasz naszego planu?”. Wtedy zwolniłam, bo nie zrozumiałam, o co mu chodzi. Mówiąc to, miał ten upiorny nieobecny wyraz oczu, jakby nie brał udziału w wydarzeniach. W ogóle nie przypominał siebie.

Lekko potrząsnął głową, jakby z politowaniem, że ten jakiś plan wypadł mi z pamięci. Uśmiechnął się szerzej, odwrócił się do Jessiki i znowu podniósł broń. Tym razem wyciągnęłam do niego ręce. W głowie miałam tylko jedną myśl: „Nie mogę patrzeć, jak Jessica Campbell umiera na moich oczach”.

Chyba potknęłam się o pana Kline'a. Nie „chyba”, bo widziałam to później na nagraniu kamer przemysłowych. No więc potknęłam się o pana Kline'a i po-

trącałam Nicka. Oboje zatoczyliśmy się parę kroków, a potem znowu usłyszałam huk i podłoga ustąpiła mi spod stóp.

Wiedziałam tylko, że leżę pod stołem jakiś metr od pana Kline'a, a Nick patrzy na broń w swoich rękach, zaskoczony i poważny. Znajdował się tak daleko ode mnie, że nie rozumiałam, jak to możliwe. Ale Jessica Campbell nie stała już pod ścianą. Wydawało mi się, że widzę, jak ucieka w ślad za innymi.

Bardziej poczułam, niż zobaczyłam — choć oczywiście także widziałam — tryskający mi z uda strumień krwi, gęstej i czerwonej. Usiłowałam powiedzieć coś do Nicka — nie pamiętam co — i chyba podniosłam głowę, jakbym zamierzała wstać. Nick przeniósł spojrzenie z broni na mnie i oczy nagle mu się zaszklily. A potem przed moimi oczami zawirowały szare paprochy i stałam się bardzo lekka, a może bardzo ciężka, i wszystko zgasło.

## 5

[„Sun-Tribune”, 3 maja 2008, tekst: Angela Dash]

Morris Kline (47 lat), nauczyciel chemii i trener męskiej drużyny lekkoatletycznej, w latach 2004 i 2005 otrzymał tytuł Nauczyciela Roku.

— Pan Kline zrobiłby dla człowieka wszystko — twierdzi pierwszoklasistka Dakota Ellis. — Kiedyś zatrzymał się na autostradzie, bo zauważył, że mama i ja złapałyśmy gumę. Pomógł nam zmienić koło, choć był wystrojony, bo wybierał się na jakąś uroczystość. Nie wiem jaką, ale nie zawahał się ubrudzić. Taki już był.

Choć uczniowie ciężko przeżyli stratę Kline'a, niewielu zdziwiła jego bohaterska postawa. Otrzymał strzał w pierś, gdy osłaniał sobą dzieci i usiłował namówić Levila do odłożenia broni. Sanitariusze twierdzili, że „ledwie się trzymał”. W szpitalu stwierdzono jego zgon. Wydaje się, że Levil nie planował zabójstwa Klftie'a, lecz strzelił do niego w gorączce chwili.

Pan Kline pozostawił żonę Renee i troje dzieci. Pani Kline powiedziała dziennikarzom:

— Nick Levil okradł moje dzieci z przyszłości z ojcem.

**Cieszę się, że się zabił. Nie zasługiwał na życie po tym, co zrobił tym wszystkim rodzinom.**

Mama siedziała w pierwszym samochodzie w kolejce pod szkołą. Nigdy w życiu nie ucieszyłam się bardziej niż na widok tego brązowego buicka. Dosłownie rzuciłam się do niego biegiem, całkiem zapominając o zostawionej w szafce pracy domowej.

Wskoczyłam do auta i po raz pierwszy tego dnia naprawdę odetchnęłam. Mama spojrzała na mnie, marszcząc z troską czoło. Jej zmarszczki wydawały się całkiem głębokie, jakby od dawna nad nimi pracowała.

— Jak poszło? — spytała. Widziałam, że sili się na wesoły, optymistyczny ton, ale przebijała przez niego nutka niepokoju. Nad nią też chyba pracowała od dawna.

— W porządku — powiedziałam. — W zasadzie okropnie. Ale w porządku.

Wrzuciła bieg i ruszyła.

— Spotkałaś się ze Stacey?

— Mhm.

— Dobrze. Pewnie miło jest spotkać dawną koleżankę?

— Mamo. Daj już spokój.

Zerknęła na mnie. Jej zmarszczki się pogłębiły. Zaciśnęła mocno usta i prawie pożałowałam, że nie skłamałam. Chciała usłyszeć, że wróciłam do przyjaciół, poznałam nowych, wszyscy zrozumieli, że nie miałam nic wspólnego ze strzelaniną i że jesteśmy teraz wielką szczęśliwą rodziną, o której ciągle słyszemy w telewizji. Ale to spojrzenie trwało sekundę.

— Mamo, naprawdę, nic się nie stało.

— Powiedziałam jej matce. Powiedziałam, że temu nie zawiniłaś. Można by pomyśleć, że zrozumie. Jak Boga kocham, przecież była twoją drużynową w skautach.

— Mamo, przestań. Wiesz, co mówił doktor Hieler o tym, jak ludzie mogą na mnie reagować.

— Tak, ale Brinksowie powinni się zachowywać inaczej. Powinni wiedzieć. Dlaczego musimy ich przekonywać? Razem dorastałyście. Razem was wychowywaliśmy.

Milczaliśmy przez resztę drogi do domu. Mama wjechała do garażu i wyłączyła silnik. Potem oparła czoło o kierownicę i zamknęła oczy. Nie wiedziałam, co robić. Nie mogłam tak po prostu wysiąść z samochodu. Ale czułam, że nie ma ochoty rozmawiać. Wyglądała, jakby ten dzień dał się jej we znaki.

W końcu przerwałam milczenie.

— Stacey powiedziała, że rozmawiałaś z jej mamą. — Cisza. — I że kazałaś jej zabierać dupę z twojego życia.

Mama zachichotała.

— Znasz Lorraine. Strasznie się wywyższa. Od dawna chciałam jej to powiedzieć. — Znowu zachichotała, a potem zaczęła się śmiać, nadal z głową na kierownicy. — Wreszcie nadarzyła się okazja. Fajne uczucie.

Zerknęła na mnie jednym okiem i parsknęła jeszcze głośniejszym. Nie zdołałam się opanować i wkrótce ja też zaczęłam chichotać. Zanim się opamiętałam, wyłyśmy w tym samochodzie w zamkniętym garażu.

— Tak naprawdę powiedziałam jej: „Zabieraj swoją zarozumiałą tłustą dupę”. — Obie ryknęłyśmy na całe gardło. — I jeszcze dodałam... — wykrztusiła, łapiąc oddech — że Howard podrywał mnie na ostatniej imprezie.

— Przestań! — rzuciłam. — Tata Stacey? Ohyda! Cały włochaty, obrzydliwy i stary.

Mama pokręciła głową, z trudem odzyskując głos.

— Zmyśliłam to. Boże... żałuję... że nie mogę zobaczyć jego miny, kiedy Lorraine go o to oskarży!

Zarykiwałyśmy się w nieskończoność. Nie pamiętam, kiedy ostatnio mi się to przydarzyło. Śmiech zostawiał w ustach dziwne wrażenie. Niemal smak.

— Jesteś podła — wykrztusiłam wreszcie, kiedy wrócił nam oddech. — Kocham cię, ale jesteś podła.

Mama znowu pokręciła głową, wycierając oczy małymi palcami.

— Nie. Podły człowiek to taki, który nie daje drugiej szansy.

Spuściłam wzrok na plecak i wzruszyłam ramionami.



— Właściwie nie mam do nich pretensji. Wyglądałam podejrzanie. Nie musisz stawać w mojej obronie. Dam sobie radę.

Mama wycierała oczy mankietem.

— Ale oni muszą zrozumieć, że to Nick zawinił. To on. Powtarzam ci to od lat. Jesteś taka ładna, powinnaś mieć miłego chłopca. Nie takiego jak Nick. Nigdy do niego nie pasowałaś.

Przewróciłam oczami. No nie, znowu. Mama mówi, że Nick źle na mnie wpływał. Że nie powinnam się zadawać z takimi facetami. Że Nick miał jakąś usterkę — poznawała to po jego oczach. Najwyraźniej zapomniała, że Nick nie żyje i że nie musi się już wysilać, bo wszystko straciło sens.

Sięgnęłam do klamki.

— Mamo, przestań. Naprawdę. On umarł. Możemy się z tego otrząsnąć?

Otworzyłam drzwi i wysiadłam, ciągnąc za sobą plecak. Stałam na okaleczonej nodze i mimowolnie się skrzywiłam.

Mama wyplątała się z pasa i także wysiadła.

— Nie kłóć się z tobą, ale chcę, żebyś była szczęśliwa. A nie wyglądasz na szczęśliwą. Doktor Hieler zaproponował...

Instynkt kazał mi na nią łypnąć spode łba. Powiedzieć, co wiem o szczęściu — a mianowicie, że nigdy nie wiadomo, kiedy zmieni się w horror. Że to nie-trwała rzecz. Że zanim w moim życiu pojawił się Nick, od dawna nie czułam się szczęśliwa, o co zatroszczyła się razem z tatą. A w ogóle to ona także nie jest szczęśliwa, jeśli nie zauważyła. Ale gdy zobaczyłam, jak stoi w tym pomiętym

kostiumie z oczami pełnymi łez i twarzą jeszcze zaróżowioną od śmiechu, poczułam, że te słowa zabrzmiały okrutnie. Nawet jeśli to sama prawda.

— Mamo, poradzę sobie. Naprawdę — oznajmiłam. — Nawet już nie myślę o Nicku.

Odwróciłam się i poszłam do domu.

Frankie jadł w kuchni kanapkę. Włosy miał nieco oklapnięte. Drugą ręką pisał SMS-a.

— Co tam? — zagadnął, kiedy weszłam.

— Mama — mruknęłam. — Nie pytaj.

Otworzyłam lodówkę i wyjęłam colę. Oparłam się o blat koło Frankiego i otworzyłam puszkę.

— Dlaczego do niej nie dociera, że Nick nie żyje? Czemu ciągle mnie o niego dręczy? Dlaczego sobie nie daruje tego gadania?

Frankie przyjrzał mi się, nie przestając przeżuwać.

— Pewnie się boi, że skończysz jak ona i wyjdiesz za jakiegoś beznadziejnego gościa.

Chciałam odpowiedzieć, ale usłyszałam szcęk garażowych drzwi. Mama wracała do domu. Pobiełam do siebie.

Frankie pewnie miał rację. Rodziców trudno było nazwać szczęśliwymi. Przed majem chcieli się rozwieść, co pewnie stanowiłoby najlepsze wyjście. Frankie i ja szaleliśmy z radości na myśl, że te awantury się skończą.

Jednak strzelanina — choć wiele rodzin pewnie by się przez nią rozpadło — moją, jak na ironię, ocaliła. Rodzice twierdzili, że „nie chcą potęgować stresu”, ale ja wiedziałam, o co chodzi naprawdę.

1. Tata odnosił sukcesy jako adwokat i wolał uniknąć kolejnych artykułów sugerujących, że u podstaw masakry w liceum w Garvin leżą jego problemy małżeńskie.

2. Mama miała pracę, ale nie taką jak tata. Zarabiała, lecz nie aż tyle, ile on. I wszyscy wiedzieliśmy, że trzeba będzie płacić gigantyczne rachunki za opiekę psychiatryczną.

Frankie i ja musieliśmy się pogodzić z manifestacjami ich uczuć — na ogół cywilizowanej pogardy, ale czasami wybuchów wrogości, na widok których mieliśmy ochotę wyrzucić ich rzeczy przez okno, a im kupić bilety na samolot dokądkolwiek, byle dalej od nas.

Weszłam do sypialni, która robiła wrażenie o wiele bardziej zabałaganionej i dusznej niż rano. Stałam w progu i rozejrzałam się, trochę zdziwiona, że w zasadzie nie wychodziłam z tego pokoju od maja i nie zauważyłam, kiedy tu się zrobiło wstrętne. Wręcz dołująco. Nie żebym wcześniej pucowała wszystko na wysoki połysk. Ale oprócz Wielkiej Nickowej Czystki, którą mama przeprowadziła po strzelaninie, ani razu tu nie sprzątnięto.

Sięgnęłam po szklankę, która stała obok mojego łóżka mniej więcej sto lat, i postawiłam ją na talerzu. Zgniotłam w kulkę porzucony nieopodal papierowy ręcznik i wcisnęłam go do szklanki.

Naszło mnie przelotne uczucie, że powinnam tu posprzątać. Zacząć od nowa. Zrobić własną Wielką Czystkę. Ale spojrzałam na ubrania rzucone na podłogę, książki piętrzące się przy łóżku, telewizor z upačkanym ekranem — i dałam sobie spokój. Uprzątnię mojej rozpaczki zapowiadało się zbyt wyczerpująco.

Z kuchni dobiegały głosy mamy i Frankiego. Mama mówiła z rozdrażnieniem, trochę jak wtedy, gdy za długo przebywała w jednym pomieszczeniu z tatą. Zrobiło mi się głupio, że zostawiłam brata na pastwę złego humoru, który sama spowodowałam. Ale jego nigdy się tak nie czepiąła. Właściwie od strzelaniny jakby nie istniał. Żadnych wymagań, obowiązków, zakazów. Rodzice za bardzo skupiali się na kłótniach i martwieniu się o mnie, żeby sobie przypomnieć, że mają jeszcze jedno dziecko. Nie wiedziałam, czy powinnam tego zażdrościć bratu, czy mu współczuć. Może i to, i to.

Wróciło zmęczenie. Wrzuciłam szklankę i talerz do kosza i runęłam na wznak na łóżko. Sięgnęłam do plecaka. Wyjęłam zeszyt i go otworzyłam. Przejrzałam rysunki, zagryzając wargę.

Przewróciłam się na brzuch, włączyłam stereo i odkręciłam dźwięk na maksa. Za parę minut przybiegł mama, wrzeszcząc, że bym to ściszyła. Już skonfiskowała moją „niepokojącą” muzykę — czyli taką, która według niej, taty i pewnie doktora Hielera oraz każdego starego pryka na świecie mogła mnie prowokować do podcięcia sobie żył w gorącej kąpieli. Wciąż byłam na nią

wściekła, bo większość płyt kupiłam za własne pieniądze. Zrobiłam jeszcze głośniej, żeby nie usłyszeć mamy. Dobijanie do drzwi znudzi jej się, na długo zanim mnie znudzi się go słuchać. No to niech się dobija.

Znowu sięgnęłam do plecaka i wyjęłam ołówek. Przez chwilę gryzłam gumkę, spoglądając na zaczęty szkic pani Tennille. Wyglądała bardzo smutno. Czy to nie śmieszne, że jeszcze niedawno nie miałabym nic przeciwko temu? Nie znosiłam jej. Ale dziś na widok jej smutku poczułam się okropnie. Miałam wyrzuty sumienia. Chciałam, żeby się uśmiechnęła. Zastanowiłam się, czy się uśmiecha, kiedy wraca do domu i przytula dzieci. A może siada w fotelu i pije, aż przestanie słyszeć strzały?

Spuściłam głowę i zaczęłam ją rysować — osłaniała swoim ciałem małego chłopca, a ręką — butelkę wódki.

## **Część druga**

TLR

**2 MAJA 2008**

**godz. 18:36**

„Co ty zrobiłaś?”

TLR

## 6

Gdy znowu otworzyłam oczy, z zaskoczeniem przekonałam się, że leżę we własnym łóżku, gotowa do rozpoczęcia nowego dnia nauki. Czyli wszystko się zgadza. Nick zaraz zadzwoni, a ja pójdę do szkoły, ani na chwilę nie przestając cierpieć i martwić się, że mój chłopak robi nie wiadomo co z Jeremym, że pewnie ze mną zerwie. Obudzę się, a te strzępki wspomnień o Nicku strzelającym w stołówce okażą się sennymi majakami, które znikną, zanim zdolałam je sobie w pełni przypomnieć.

Obudziłam się w szpitalu. W moim pokoju stali odwróceny tyłem policjanci, wpatrzeni we włączony telewizor. Przez ekran przemykały kojarzące mi się z czymś obrazki: parking, ceglany budynek, boisko. Znowu zamknęłam oczy. W głowie mi się kręciło. Dokuczała mi suchość oczu, w nodze pulsował ból i wróciły do mnie nie tyle wspomnienia, ile świadomość, że stało się coś bardzo złego.

— Budzi się — usłyszałam. Ten głos należał do Frankiego, ale jego samego nie widziałam. Łatwiej było mi sobie wyobrazić, że stoi przy łóżku, niż starać się go zobaczyć. Dlatego odpłynęłam w wyobrażony świat, w którym mój brat



stał nieopodal, mówiąc: „Budzi się”, ale to nie był szpital, a moja noga nie bolała.

— Pójdę po pielęgniarkę — odezwał się ktoś inny. Tata. To odgadłam od razu. W jego głosie brzmiało napięcie, zdenerwowanie, rozdrażnienie. Cały ojciec. On także wpasował się w moją wyobrażoną scenę, gdzieś w tle, poza zasięgiem wzroku. Pisał coś na palmtopie, przytrzymując komórkę między uchem i ramieniem. Zniknął i znowu zobaczyłam Frankiego.

— Val — powiedział mój brat. — Hej, Val. Nie śpisz?

Zobaczyłam moją sypialnię. Frankie chciał, żebym wstała i zrobiła z nim coś fajnego, jak w dawnych czasach, kiedy rodzice się lubili, a my byliśmy po prostu dziećmi. Może chodziło o szukanie wielkanocnych jajek albo o gwiazdkowe prezenty, albo o naleśniki. Spodobało mi się w tym miejscu. Bardzo. I nie mam pojęcia, dlaczego powieki mi się uniosły. Zrobiły to bez mojej zgody.

Otworzyłam oczy i ujrzałam Frankiego stojącego w nogach mojego łóżka. Nie, nie mojego, jakiegoś nieznanego, ze sztywną, drapiącą pościelą i brązowym kocem pachnącym owsianką. Brat miał przylizane włosy i musiałam się nad tym poważnie zastanowić. Z trudem skojarzyłam twarz czternastoletniego Frankiego z fryzurą, jaką miał jako jedenastolatek. Parę razy mrugnęłam, zanim w końcu mnie olśniło.

— Frankie — szepnęłam, ale zanim zdołałam powiedzieć coś jeszcze, moją uwagę zwróciło pochlipywanie po prawej. Powoli odwróciłam głowę. Mama siedziała na różowym tapicerowanym krześle. Założyła nogę na nogę i oparła łokieć na kolanie. W dłoni trzymała zmiętą chusteczkę, którą wycierała nos.

Przyjrzałam się jej, mrużąc oczy. Nie zdziwiły mnie jej łzy, bo czułam, że brałam udział w jakichś złych wydarzeniach — choć jeszcze nie całkiem się po-  
łapałam, dlaczego leżę w łóżku wyglądającym mi coraz bardziej na szpitalne.

Położyłam dłoń na przegubie mamy (tej ręki, w której trzymała moką  
chusteczkę).

— Mamo — szepnęłam. Gardło mnie zabolęło. — Mamo — powtórzyłam.

Ale ona się odsunęła. Nie gwałtownie — tego subtelnego ruchu nie można  
by tak nazwać. Tak jakby się odchyliła... poza zasięg mojej ręki. Jakby fizycznie  
się ode mnie oddalała. Nie bała się mnie, po prostu nie chciała mieć ze mną nic  
wspólnego.

— Obudziłaś się — powiedziała. — Jak się czujesz?

Spojrzałam na siebie i zastanowiłam się, dlaczego miałabym się nie czuć  
dobrze. Sprawdziłam i wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Dostrzegłam  
także parę drutów, które normalnie nie stanowiły części mojego ciała. Nadal nie  
rozumiałam, co tu robię, ale wiedziałam, że to mnie zmieni. Odniosłam jakąś  
ranę — tyle wywnioskowałam z tego tępego pulsowania pod kołdrą. A jednak  
nie straciłam chyba nogi, więc nie miałam się o co martwić.

— Mamo — odezwałam się, żałując, że nie przychodzi mi do głowy nic, co  
mogłabym powiedzieć. Coś o wiele ważniejszego. Gardło mnie bolęło i wyda-  
wało się spuchnięte.

Usiłowałam odkaszląć, ale okazało się, że jest także wyschnięte, i wyrwał  
mi się tylko charkot. — Co się stało?

Pielęgniarka w różowym stroju, krzątająca się za plecami mamy, podeszła do stolika i wzięła plastikowy kubek ze słomką. Podała go mamie, która spojrzała na niego, jakby pierwszy raz w życiu widziała taki wynalazek. Zerknęła przez ramię na policjanta. Już się odwrócił od telewizora i patrzył na mnie z palcami założonymi za pasek.

— Zostałaś postrzelona — oznajmił bez ogródek. Zauważyłam, że mama lekko się skrzywiła, choć nadal zwracała się w jego stronę i nie widziałam dobrze jej twarzy. — Przez Nicka Levila.

Zmarszczyłam brwi. „Postrzelona przez Nicka Levila”.

— Przecież tak się nazywa mój chłopak — powiedziałam. Później uświadomiłam sobie, jak głupio to zabrzmiało, i trochę się zawstydziłam. Ale wtedy nic z tego nie rozumiałam, głównie dlatego, że jeszcze sobie tego nie poskładałam, no i nie oprzytomniałam po narkozie. Może także mój mózg nie chciał sobie przypomnieć wszystkiego naraz. Kiedyś oglądałam film o tym, w jaki sposób umysł się broni. Na przykład wykorzystywane seksualnie dziecko wykształca osobowość mnogą i tak dalej. Zdaje się, że mój mózg właśnie to robił — bronił mnie — ale nie wytrzymał długo. W każdym razie nie tyle, ile bym chciała.

Policjant pokiwał głową, jakby już to wiedział, a mama się odwróciła i spuściła głowę. Powiodłam wzrokiem po twarzach zebranych — mamy, policjanta, pielęgniarki, Frankiego, nawet taty (nie widziałam, kiedy wrócił, ale stał przy oknie z rękami założonymi na piersi). Nikt nie patrzył mi w oczy. Zły znak.

— Co się dzieje? — spytałam. — Frankie?

Nie odpowiedział. Zacisnął zęby jak zawsze, kiedy się na coś wkurzał, i pokręcił głową. Twarz mu spurpurowiała.

— Valerie, czy pamiętasz, co się działo dziś w szkole? — odezwała się cicho mama. Nie twierdzę, że zadała to pytanie łagodnie, czule czy w jakiś inny matczyzny sposób, bo to nieprawda. Patrzyła na kołdrę i mówiła cichym, suchym głosem, który ledwie rozpoznawałam.

— W szkole?

I raptem wszystko wróciło. Śmieszne, bo kiedy zaczęłam przytomnieć, wydarzenia w szkole wydały mi się snem. Pomyślałam: „Przecież nie chodzi jej o to, bo to jakiś głupi koszmar”. Ale po paru sekundach dotarło do mnie, że to nie sen, i te obrazy przygniotły mnie niemal fizycznie.

— W szkole wydarzyło się dziś coś okropnego. Pamiętasz? — nalegała mama.

Nie mogłam odpowiedzieć. Ani jej, ani nikomu. Mogłam tylko wpatrywać się w ekran telewizora, patrzeć na widok liceum z lotu ptaka, na wszystkie otaczające je karetki i radiowozy. Gapiłam się tak intensywnie, że, przysięgam, rozróżniałam poszczególne piksele. Głos mamy docierał z daleka; słyszałam ją, ale tak, jakby nie zwracała się do mnie. Nie w moim świecie. Nie pod tą lawiną okropności. W moim świecie byłam sama.

— Valerie, mówię do ciebie. Co się z nią dzieje? Valerie? Słyszysz mnie? O Jezu, Ted, zrób coś!

I głos taty:

— Na przykład co? Masz jakiś pomysł?

— No nie stój tak! To twoja rodzina, na litość boską, twoja córka! Valerie, odpowiedz! Val!

Ale nie mogłam oderwać spojrzenia od ekranu telewizora, który jednocześnie widziałam i którego nie widziałam.

Nick. Strzelał do ludzi. Strzelił do Christy Bruter. Strzelił do pana Kline'a. Boże, on ich zastrzelił. Naprawdę. Ja to widziałam, a on ich zastrzelił. Zastrzelił...

Wyciągnęłam rękę, dotknęłam obandażowanego uda. I zaczęłam ryczeć. Nie płakać, zanosić się szlochem czy coś w tym stylu. Ramiona mi drgały, wyszczerzyłam zęby w grymasie — kiedyś słyszałam, jak Oprah nazywa to Brzydkim Płaczem.

Mama poderwała się z krzesła, pochyliła nade mną, ale nie zwróciła się do mnie.

— Ona cierpi. Proszę jej dać coś na ból. Ted, niech jej dadzą jakiś środek! — Zauważyłam — mgliście, przez zasłonę oszołomienia — że mama także płacze. Tak bardzo, że w jej urywanych, rozpaczliwych poleceniach zabrzmiała jakaś histeryczna szorstkość.

Kątem oka dostrzegłam, że tata staje za mamą, chwyta ją za ramiona i odciąga od łóżka. Pozwoliła mu na to, choć niechętnie, wtuliła twarz w jego pierś i oboje wyszli z pokoju. Słyszałam oddalający się szloch.

Pielęgniarka wciskała jakieś guziki na monitorze koło mnie, a policjant odwrócił się i znowu spojrzął na telewizor. Frankie wpatrywał się bez ruchu w moją kołdrę. Płakałam, aż rozbolał mnie żołądek i myślałam, że zwymiotuję. Oczy mnie paliły, a nos całkiem się zatkał. Mimo to popłakałam jeszcze trochę. Nie potrafię powiedzieć, co mi wtedy chodziło po głowie — ale były to ponure, mroczne, nienawistne i żalosne myśli. Tęskniłam za Nickiem i jednocześnie nie chciałam go nigdy więcej widzieć. Chciałam i nie chciałam do mamy. Tylko gdzieś w zakamarkach, które mój mózg ukrywał przed samym sobą, czaiła się świadomość, że w pewnym sensie ja także odpowiadam za to, co się wydarzyło. Że mimowolnie brałam w tym udział. I że nie wiem na pewno, czy gdyby czas się cofnął, nie postąpiłabym tak samo. Choć nie wiedziałam też, czybym tak postąpiła.

W końcu płacz ustał na tyle, że zdołałam znowu odetchnąć, co nie wyszło mi na dobre.

— Zwymiotuję — ostrzegłam.

Pielęgniarka wyjęła skądś kaczkę i podstawiła mi pod brodę. Z ust mi chlusnęło.

— Proszę na chwilę wyjść — zwróciła się do policjantów. Skinęli głowami i w milczeniu ruszyli ku drzwiom. Kiedy je otworzyli, usłyszałam stłumione głosy rodziców. Frankie trwał przy moim łóżku.

Zwymiotowałam jeszcze raz, wydając brzydkie dźwięki. Z nosa ciekły mi strugi smarków. Odetchnęłam, a pielęgniarka wytarła mi twarz mokrą szmatką.

To przyniosło ulgę — chłód, ukojenie. Zamknęłam oczy i oparłam głowę na poduszce.

— Mdłości to normalny objaw po narkozie — powiedziała kobieta tonem, który opisałabym jako urzędowy. — Z czasem miną. Na razie miej to pod ręką. — Podała mi czystą kaczkę, złożyła szmatkę i położyła mi ją na czole, a potem bezszelestnie wyszła.

Usiłowałam oczyścić umysł. Zastąpić te obrazy w głowie czernią. Ale nie potrafiłam. Pchały się przemocą, jeden straszniejszy od drugiego.

— Jest w więzieniu? — spytałam Frankiego. Głupie pytanie. Oczywiście, po czymś takim Nick musiał się tam znaleźć.

Mój brat podniósł głowę z zaskoczeniem, jakby zdążył już zapomnieć o mojej obecności.

— Valerie... — wykrztusił, mrugając gwałtownie i kręcąc głową. — Co... co ty zrobiłaś?

— Czy Nick jest w więzieniu? — powtórzyłam.

Frankie pokręcił głową.

— Uciekł?

Znowu zaprzeczenie.

Pozostała mi tylko jedna możliwa opcja.

— Zastrzelili go. — Właściwie nie pytałam, tylko stwierdzałam fakt. Zdziwiłam się, kiedy Frankie jeszcze raz pokręcił głową.

— Sam się zastrzelił — powiedział. — Nie żyje.

TLR



**MAJ 2008**

„Ja tego nie zrobiłam”.

TLR

# 7

Zabawne, że o nazwisku, które rozślawiło moją klasę — Nick Levil — nikt nie słyszał aż do naszego pierwszego roku w szkole.

Nick akurat wprowadził się do Garvin i nie znalazł sobie towarzystwa w tym niedużym spokojnym mieście z mnóstwem wielkich domów i bogatych gnojków. Mieszkał na uboższej ulicy, jednej z tych, które opasywały centrum jak linia graniczna. Ubierał się w byle jakie, czasem za duże ciuchy, nigdy modne. Był chudy, chodził zamyślony i wyglądał, jakby olewał to wszystko, co ludzie zwykle brali do siebie.

Od razu się nim zainteresowałam. Miał takie błyszczące ciemne oczy i asymetryczny uśmiech, uroczo nieśmiały i nigdy nieodslaniający zębów. Nick podobnie jak ja nie pasował do ogółu — i, tak jak ja, wcale tego nie chciał.

Choć kiedyś nie odstawałam od reszty. W podstawówce człowiek prawie nigdy się nie wyróżnia. Lubiłam wtedy to, co inni — ubrania, zabawki, chłopców, piosenki, za którymi wszyscy szaleli. Ale gdzieś w szóstej klasie to się nagle zmieniło. Zaczęłam się rozglądać i doszłam do wniosku, że chyba nie mam aż tak wiele wspólnego z kolegami. Ich rodziny się nie rozpadały. Nie wyobrażałam sobie, żeby oni także czuli się w domu jak zmrożeni, jakby po przekro-

czeniu progę otaczała ich śnieżna burza. Na szkolnych spotkaniach rodzice mówili do nich „pączuszkę” albo „córeczko”, a moi nawet się nie zjawiali. Zaczęłam się zastanawiać, gdzie znaleźć sobie miejsce. Christy Bruter, moja „ta jedna osoba”, zyskała popularność i nagle podejrzenia zmieniły się w pewność: nie pasowałam do nich.

Dlatego Nick mi się spodobał. Przybrałam podobny wyraz lekceważenia i zaczęłam wycinać dziury w moich uroczych ubrankach, żeby wyglądały na spoiniewierane i straciły ten nieskazitelny wygląd, za którym szaleli rodzice i do którego mnie tak gwałtownie przekonywali. Pomógł mi fakt, że mama i tato padliby trupem, gdyby zobaczyli mnie z Nickiem. Sądziło, że w szkole wszyscy za mną przepadają, co dowodzi, jak bardzo stracili kontakt z rzeczywistością. Szósta klasa już dawno odeszła do historii.

Nick i ja chodziliśmy razem na matematykę. Tak się poznaliśmy. Jemu spodobały się moje buty, oklejone na czubkach taśmą — nie dlatego, że się rozlatywały, ale ponieważ chciałam im nadać taki wygląd. Tak to się zaczęło, od jego słów: „Podobają mi się twoje buty” i mojej odpowiedzi: „Dzięki. Nienawidzę matmy”, na co oznajmił: „Ja też”.

— Hej — szepnął później, kiedy pani Parr rozdawała nam odbitki. — Znasz Stacey?

Skinęłam głową, podając plik kartek jakiemuś kujonowi za mną.

-A ty?

— Jeździmy razem autobusem. Chyba jest w porządku.

— Aha. Znamy się od przedszkola.

— Ekstra.

Pani Parr kazała nam siedzieć cicho i pracować, ale rozmawialiśmy codziennie przed lekcją i po niej. Poznałam Nicka ze Stacey, Duce'em i resztą paczki, ale od samego początku widziałam, że ja pasuję do niego najbardziej.

Wkrótce zaczęliśmy razem chodzić na zajęcia, spotykać się przy jego szafce i razem wychodzić z klasy. Czasami rano spotykaliśmy się na trybunach ze Stacey, Duce'em i Masonem.

A potem zdarzył mi się wyjątkowo ciężki dzień i miałam ochotę się odegrać na wszystkich, którzy się do tego przyczynili. Dlatego wpadłam na pomysł, żeby spisać ich w zeszycie — jakbym w ten sposób rzucała na nich zaklęcie czy coś w tym stylu. Chyba podświadomie sądziłam, że w ten sposób udowodnię, że oni to dranie, a ja jestem tą niewinną.

Dlatego otworzyłam mój zaufany czerwony zeszyt, ponumerowałam linie aż do końca strony i zaczęłam notować nazwiska kolegów i gwiazd oraz różne zjawiska — wszystko, czego nienawidziłam. Do końca trzeciej lekcji zapisałam połowę strony. Na liście znalazły się takie punkty jak „Christy Bruter” i „algebra — nie można dodawać liter do cyfr!!!”, a także „lakier do włosów”. I nadal miałam wrażenie — nie, że to nie koniec, więc zabrałam zeszyt na matkę. Nick zastał mnie pogrążoną w pracy.

— Cześć — rzucił, osuwając się na krzesło. — Nie widziałem cię przy szafkach.

— Bo mnie tam nie było — mruknęłam, nie podnosząc głowy. Notowałam właśnie: „problemy małżeńskie rodziców”. Ważny punkt. Napisałam te słowa jeszcze cztery razy.

— Aha... — Nick zamilkł, ale czułam na sobie jego spojrzenie. — Co to? — spytał w końcu z cichym śmiechem.

— Moja lista *Do odstrzału* — palnęłam bez namysłu.

Po zajęciach Nick stanął za mną i rzucił od niechcenia:

— Możesz dodać do listy dzisiejszą pracę domową. Jest do luzu.

Zerknęłam na niego. Uśmiechał się. Odwzajemniłam się tym samym. Miał rację. I jakoś zrobiło mi się lepiej, że ktoś mnie rozumie.

— Dobrze — powiedziałam. — Dopiszę na następnej lekcji.

I tak powstała niesławna lista *Do odstrzału*. Zaczęło się od żartu. Sposobu na rozładowanie frustracji. A zmieniło się w coś, czego nie przewidziałam.

Codziennie na matmie siadywaliśmy obok siebie w ostatnim rzędzie i spisywaliśmy nazwiska wszystkich kolegów, których potajemnie nienawidziliśmy. Tych, którzy nas wkurzali. Tych, którzy nas męczyli. A zwłaszcza tych, którzy prześladowali nas i innych.

Może na pewnym etapie wyobrażaliśmy sobie, że ta lista zostanie opublikowana i dzięki temu cały świat dowie się, na co niektórych stać. Że będziemy mogli wyśmiać wszystkich dręczycieli, cheerleaderki, które nazywały mnie Siostrą Śmierć, sportowców, którzy kuksali Nicka na korytarzach, gdy nikt nie patrzył, te wcielone ideały, które tak naprawdę niczym się nie różniły od łobuzów.

Rozmawialiśmy, o ile lepszy stałby się świat, gdyby wszyscy zrobili takie listy i gdyby ludzie musieli odpowiedzieć za swoje postęпки.

Tę listę wymyśliłam ja, to ja ją stworzyłam i ja dbałam o to, żeby się wydłużała. Dzięki niej zaczęła się moja przyjaźń z Nickiem. Ona nas połączyła.

W dniu, w którym po raz pierwszy odwiedziłam Nicka, oficjalnie się w nim zakochałam. Zajrzeliśmy do jego kuchni, brudnej i zabałaganionej. W oddali słyszałam telewizor i paskudny kaszel palacza. Nick otworzył drzwi za kuchnią i dał mi znak, żebym zeszła za nim drewnianymi schodami do piwnicy.

Betonową podłogę pomieszczenia przykryto małym pomarańczowym dywanem. Jego krawędź dotykała nieposłanego materaca, na który Nick rzucił plecak. Potem sam na niego wskoczył. Odetchnął głęboko, przesuując dłońmi po oczach.

— Długi dzień — mruknął. — Nie mogę się doczekać lata.

Obróciłam się wokół własnej osi. Pod ścianą stały pralka i suszarka, na których piętrzyły się stosy koszul. W kącie dostrzegłam pułapkę na myszy. Obok pudeł po przewodach znajdowała się ciężka komoda z szufladami, z których wystawały ubrania. Jej wierzch zaśmiecały najróżniejsze drobiazgi.

— To twój pokój? — spytałam.

— Aha. Chcesz pooglądać telewizję? Mam też Playstation.

Rzucił się na brzuch i zaczął majstrować przy małym telewizorze, stojącym na skrzynce przy materacu.

— Dobra — powiedziałam. — Playstation.

Usiadłam na materacu obok niego i zauważyłam pełną książkę plastikową skrzynkę między posłaniem a ścianą. Przeszłam do niej na czworakach.

— *Otello* — odczytałam napis na okładce. — Szekspir?

Nick zerknął na mnie nieufnie. Milczał.

Wzięłam następną.

— *Makbet*. — I dwie inne. — *Sonety. W poszukiwaniu Szekspira*. Co to?

— Nic takiego. Masz. — Wcisnął mi w ręce pada.

Dalej szperałam w skrzynce.

— *Sen nocy letniej. Romeo i Julia. Hamlet*. Wszystko Szekspira.

— To moja ulubiona — przyznał cicho, wskazując książkę w mojej ręce. — Hamlet.

Obejrzałam okładkę, potem otworzyłam tom na chybił trafił i przeczytałam na głos:

*To okropne!*

*Gdybym to ja tam stał, byłby mnie zabił.*

*Tak, jego wolność zagraża nam wszystkim -*

*Tobie, mnie, wszystkim wokół.*

— „*Dobry Boże, jak potraktować taką krwawą zbrodnię?*” — odpowiedział Nick, zanim zdążyłam przejść do następnych linijek.

Spojrzałam na niego znad książki.

— Ty to czytasz?

Wzruszył ramionami.

— To nic takiego.

— Żartujesz? Super! Znasz wszystko na pamięć. Ja nawet nie rozumiem, co to znaczy.

— No wiesz, bo trzeba znać akcję.

— To mi opowiedz.

Zerknął na mnie niepewnie, nabrał powietrza w płuca i zaczął mówić. Z coraz większym ożywieniem opowiadał o Hamlecie, Klaudiuszu, Ofelii, morderstwie i zdradzie.

O fatalnej wadzie Hamleta — niezdecydowaniu. O tym, jak Hamlet doprowadził do zguby ukochaną kobietę. Nick cytował fragmenty tekstu, jakby sam go napisał, i wtedy zrozumiałam. Zrozumiałam, że się zakochuję w tym naburmuszonym obdartusie, który uśmiechał się tak nieśmiało i cytował Szekspira.

— Jak się tym zainteresowałaś? — spytałam. — Masz tu masę książek.

Nick spuścił głowę. Potem wyjaśnił, że odkrył czytanie, kiedy mama rozwiodła się z ojcem numer dwa, że przez długie wieczory przesiadywał w domu



sam i nie miał nic do roboty, a mama włóczyła się po barach, szukając facetów. Czasami nie chciało się jej nawet zapłacić rachunku za elektryczność, a wtedy musiał czytać, żeby się jakoś rozerwać. Babcia dawała mu książki, a on pochłaniał je tego samego dnia. Czytał wszystko — *Gwiezdne wojny*, *Władcę pierścieni*, *Artemisa Fowla*, *Grę Endera*.

— I pewnego dnia Louis, ojciec numer trzy, przyniósł do domu książkę, którą znalazł na garażowej wyprzedaży. W ramach strasznie śmiesznego żartu. — Nick odebrał mi *Hamleta* i machnął nim w powietrzu. — „Chciałbym zobaczyć, jak to czytasz, mądralo” — przedrzeźnił chrypiący głos. — I się roześmiał. Wydawało mu się, że to strasznie śmieszne. Mamie też.

— I przeczytałeś, żeby im kopara opadła — dodałam, przerzucając kartki *Otella*.

— Początkowo tak. Ale potem... — Nick usiadł obok mnie, oparł się o ścianę tak jak ja i zerknął na strony, które przewracałam. Z jego ramienia było przyjemne ciepło. — Zaczęło mi się podobać. To jak układanka czy coś w tym stylu. Poza tym bawiło mnie to, że Louis w swojej głupocie nie pojmował, że dał mi książkę, w której czarnym charakterem jest ojczym. — Pokręcił głową. — Debil.

— To babcia kupowała ci książki?

Wzruszył ramionami.

— Niektóre. Inne kupiłem sam. Większość od jednej bibliotekarki, która bardzo mi wtedy pomogła. Wiedziała, że lubię Szekspira. Chyba się nade mną litowała czy coś.

Odłożyłam *Otella* do skrzynki i wyjęłam *Makbeta*.

— Opowiedz mi o tej — poprosiłam. Konsola leżała zapomniana na podłodze.

Przez pierwsze dni w szpitalu wspominałam ten dzień. Wycisnęłam z pamięci każdy szczegół. Nick miał czerwoną pościel, poduszkę bez poszewki. Na skraju komody stała fotografia jasnowłosej kobiety, jego mamy. Kiedy rozmawialiśmy o *Królu Learze*, w toalecie na górze zaszumiała spuszczana woda. Nad naszymi głowami zaskrzypiały deski — mama Nicka przeszła z sypialni przez łazienkę do kuchni. Każdy szczegół. Im dłużej przypominałam je sobie, tym trudniej było mi uwierzyć w to, co mówili o Nicku w telewizorze, który włączałam ukradkiem, niemal z poczuciem winy, kiedy wszyscy wracali na noc do domu i zostawałam sama.

Gdy nie wspominałam tego dnia w pokoju Nicka, usiłowałam jakoś uporządkować wydarzenia w stołówce, co z różnych powodów sprawiało mi trudności.

Przede wszystkim przez te pierwsze dwa dni w szpitalu spędziłam mnóstwo czasu w jakimś medycznym świecie równoległym. Zabawne, człowiek myśli, że najbardziej powinno go boleć w chwili, gdy kula przeszywa ciało, ale to nieprawda. Nawet nie pamiętam, kiedy to się stało. Poczułam wtedy najwyżej strach. I jakiś dziwny ciężar. Ale nie ból. Prawdziwy ból zaczął się dopiero następnego dnia po operacji, gdy moja skóra, nerwy i mięśnie przywykły do świadomości, że coś się zmieniło na zawsze.

Dużo wtedy płakałam, przeważnie dlatego, że chciałam przestać cierpieć. Bolało jak diabli.

Dlatego pielęgniarka — nie lubiła mnie, widziałam to — wchodziła co chwilę i dawała mi zastrzyk albo pigułkę i zaraz potem pokój nabierał dziwnie ziarnistego wyglądu, dźwięki się zmieniały i działy się jeszcze inne rzeczy. Nie wiem, ile czasu przespałam, ale z całą pewnością po tych pierwszych dniach, gdy przestałam brać ogłupiające leki przeciwbólowe i przeszedłam na normalne, pożałowałam, że nie spędziłam więcej czasu nieprzytomna.

Jednak najważniejszą przyczyną, dla której nie mogłam poskładać do kupy tych wydarzeń, było to, że nic do siebie nie pasowało. Jakby mój mózg nie dostrzegał w nich żadnego sensu. Miałam wrażenie, jakby coś pękło mi w głowie. Raz nawet spytałam pielęgniarkę, czy to możliwe, by huk wystrzału uszkodził mi mózg tak, że teraz nie potrafię trzeźwo myśleć. Umiałam się zdobyć na tylko jeden wniosek: że chcę spać. Że chcę się znaleźć w innym świecie niż ten.

Pielęgniarka oznajmiła:

— Ciało zna wiele sposobów na chronienie się przed traumą.

Pomyślałam, że moje zna ich za mało.

Co noc, kiedy włączałam telewizor na ścianie nad łóżkiem, patrzyłam na zdjęcia mojego liceum — z lotu ptaka budynek wyglądał na tak odległy, jak się czułam, zimny i groźny, a nie jak miejsce, w którym spędziłam trzy lata życia. Nachodziło mnie dziwne wrażenie, że oglądam jakiś film. Ale mdłości przypominały, że to wszystko się dzieje naprawdę, a ja biorę w tym udział.

Przez pierwsze dwa dni mama nie odstępowała od mojego łóżka i bez przerwy bombardowała mnie emocjami. To cicho płakała w chusteczkę, kręcąc głową ze smutkiem i nazywając mnie dziecinką, to nagle wpadała w gniew, oskarżała mnie o wszystko i mówiła, że urodziła potwora.

Nie miałam na to odpowiedzi, dla niej ani dla nikogo. Kiedy Frankie zdradził mi, że Nick nie żyje, że się zastrzelił, zwinęłam się w sobie jak ślimak. Leżałam na boku, skulona pod kocem, z kolanami podciągniętymi na tyle, na ile pozwalały mi bandaże, ból w udzie i te wszystkie rurki i druciki przykuwające mnie do łóżka. Moja dusza też się skuliła w ścisły malutki kłębuszek.

Nie podjęłam decyzji, że zamilknę. Po prostu nie wiedziałam, co powiedzieć. Głównie dlatego, że kiedy otwierałam usta, miałam ochotę wyć z przerażenia. Widziałam tylko Nicka, który leży gdzieś martwy. Chciałam iść na jego pogrzeb. Chciałam pójść chociaż na grób. A najbardziej chciałam go pocałować i powiedzieć, że mu wybaczam, iż do mnie strzelił.

Ale chciałam także krzyczeć z przerażenia z powodu pana Kline'a i Abby Dempsey, i innych zabitych. Nawet Christy Bruter. Z powodu mamy. Frankiego. No i ze względu na mnie. Te wszystkie uczucia jakoś się ze sobą nie łączyły, jak wtedy kiedy układa się puzzle i tak cholernie mało brakuje, żeby dwa kawałki dopasowały się do siebie. Można je scalić przemocą, ale nawet wtedy nie wyglądają dobrze. Takie właśnie miałam wrażenie. Jakbym usiłowała połączyć dwa różne kawałki układanki.

Trzeciego dnia drzwi mojego pokoju otworzyły się z trzaskiem. Wpatrywałam się w sufit, wspominając, jak razem z Nickiem grałam w laserowego paintballa w Nitez. Wygrałam i Nick początkowo się wkurzył, ale potem, kiedy od-

wiedzieliśmy Masona, opowiedział wszystkim, jak fajnie się spisałam. Zachowywał się, jakby był ze mnie naprawdę dumny, i ja też się cieszyłam. Przez resztę wieczoru trzymaliśmy się za ręce i patrzyliśmy sobie w oczy. Najlepszy wieczór mojego życia.

Na dźwięk otwieranych drzwi szybko zacisnęłam powieki, bo chciałam, żeby przybysz sobie poszedł, bym mogła dalej myśleć o tym wieczorze. Dłoń mi się rozgrzała, jakbym trzymała Nicka za rękę.

Kroki zbliżyły się do łóżka i ucichły. Ale rurki kroplówki nie drgnęły, szuflady nie szczęknęły jak zwykle, kiedy zjawiała się pielęgniarka. Nie usłyszałam znaczącego chlipania mamy. Nie poczułam wody kolońskiej Frankiego. Ten ktoś tylko stał. Otworzyłam oko.

Koło łóżka czekał facet w brązowym garniturze. Miał pewnie koło czterdziestki i był zupełnie łysy. Nie tak jak wtedy, kiedy wypadają ci wszystkie włosy, ale kiedy stracisz ich tyle, że kapitulujesz i wolisz zgolić tę resztę. Facet żuł gumę. Nie uśmiechnął się.

Otworzyłam drugie oko, ale nie usiadłam. Nie odezwałam się. Patrzyłam na niego z łomoczącym sercem.

— Jak noga, Valerie? — spytał facet. — Mogę ci mówić po imieniu?

Nie odpowiedziałam. Odruchowo dotknęłam zabandażowanego uda. Zastanowiłam się, czy nie zacząć krzyczeć. Może to jakiś wariat jak z horroru, który chce mnie zgwałcić i zamordować? Przez głowę przemknęła mi myśl, że pewnie na to zasłużyłam, że mnóstwo osób ucieszyłoby się, gdyby stało się ze mną coś strasznego, ale ten wątek nie zdążył się rozwinąć, bo mężczyzna kontynuował:

— Mam nadzieję, że już ci lepiej. — Przyniósł sobie krzesło, na którym usiadł. — Jesteś młoda. Przynajmniej to działa na twoją korzyść. Dwa lata temu postrzelił mnie w stopę jakiś ćpun. Goiło się strasznie długo. Ale stary dziad ze mnie. — Roześmiał się z własnego żartu. Zamrugałam oczami. Nadał się nie ruszyłam. Nie zdjęłam ręki z bandażu.

Facet przestał się śmiać i zaczął zawzięcie żuć gumę, przyglądając mi się z przekrzywioną głową. Gapił się na mnie tak długo, że wreszcie przemówiłam.

— Mama zaraz wróci. — Nie wiem, dlaczego skłamałam. Nie miałam pojęcia, kiedy przyjdzie mama. Po prostu uznałam, że to odpowiednia reakcja — ostrzeżenie, że osoba dorosła wkrótce się pojawi, więc ten facet powinien zrezygnować z myśli o gwałcie.

— Spotkałem ją w holu. Już z nią rozmawiałem — odparł. — Przyjdzie później. Może po obiedzie. W tej chwili gawędzi sobie z moim kolegą. Może jej to zająć trochę czasu. Twój tata też tu jest. Chyba niespecjalnie cię w tej chwili lubi.

Otworzyłam oczy szerzej.

— No cóż — mruknęłam. Uznałam, że te słowa podsumowują wszystko. No cóż. No cóż, a kiedy lubił? No cóż, a kogo to obchodzi? No cóż, na pewno nie mnie. No cóż.

— Jestem detektyw Panzella — oznajmił facet w brązowym garniturze.

— W porządku.

— Mogę ci pokazać odznakę, jeśli chcesz.

Pokręciłam głową, głównie dlatego, że nadal nie całkiem ogarniałam, co on tu robi

— Musimy porozmawiać, Valerie.

Pewnie powinnam była się tego spodziewać. To miało sens, prawda? Ale dla mnie w tamtej chwili nic go nie miało. Na pewno nie strzelanina w szkole, więc tym bardziej obecność detektywa w brązowym garniturze.

Przeraziłam się na śmierć. Nie, nawet bardziej. Tak strasznie się bałam, że zrobiło mi się zimno i nie wiedziałam, czy zdołam z nim porozmawiać.

— Pamiętasz, co się stało w szkole? — spytał.

Pokręciłam głową.

— Nie bardzo. Trochę.

— Zginęło wiele osób. Zabił ich twój chłopak Nick. Wiesz dlaczego?

Zastanowiłam się nad tym. Podczas dopasowywania kawałków układanki ani razu nie spytałam siebie: „Dlaczego?”. Odpowiedź wydawała się oczywista — Nick ich nienawidził. A oni jego. Dlatego. Nienawiść. Trącanie na korytarzu. Przezywanie. Śmiechy. Złośliwe komentarze. Kuksańce przy szafkach, kiedy jakiś palant chciał odreagować. Nienawidzili go, a on ich i tak się skończyło — śmiercią tamtych.

Przypomniałam sobie wieczór w okolicach Bożego Narodzenia. Mama Nicka pożyczyła mu samochód, żebyśmy mogli dokądś razem pojechać. Taka sposobność rzadko nam się zdarzała i oboje z zachwytem czekaliśmy na okazję wyjazdu gdzieś dalej. Zdecydowaliśmy się na kino.

Nick przyjechał po mnie rozklekotanym gruchotem, na którego podłodze poniewierały się styropianowe, umaza— ne szminką kubki po kawie, a puste paczki papierosów po— wciskane były między fotele. Nic nam nie przeszkadzało. Za bardzo się cieszyliśmy na ten wypad. Przysunęłam się jak najbliżej Nicka, który prowadził powoli, z wahaniem, , jakby pierwszy raz siedział za kierownicą.

— No, to komedia czy horror? — spytał.

Zastanowiłam się.

— Coś romantycznego — odpowiedziałam z figlarnym uśmiechem.

Skrzywił się i zerknął na mnie.

— Serio? Nie wytrzymam na babskim filmie.

— Wytrzymałbyś, gdybym cię poprosiła — zażartowałam.

Przytaknął z uśmiechem.

— No. Na to wychodzi.

— Ale cię nie poproszę. Komedia. Mam ochotę się pośmiać.

— Ja też. — Położył rękę na moim kolanie. Uścisnął je lekko i nie zabrał z niego dłoni.

Oparłam się o Nicka, zamknęłam oczy i głęboko odetchnęłam.

— Czekałam na to przez cały dzień. Wczoraj rodzice zrobili się nieznośni. Omal nie oszalałam.



— Dziś jest super — potwierdził, znowu ściskając moje kolano.

Zaparkowaliśmy przed kinem. Na chodniku i trawnikach roiło się od ludzi, głównie nastolatków, przeważnie z naszej szkoły. Nick zdjął rękę z mojego kolana, położył ją na kierownicy i zaczął szukać miejsca do zaparkowania.

Nasz wolno sunący samochód wyprzedził Chris Summers z ogromnym kubkiem napoju w ręce. Towarzyszyli mu kumple. Wyglupiali się jak zawsze. Przeszli nam tuż przed maską; Nick musiał gwałtownie zahamować.

Chris spojrział na niego i wybuchnął śmiechem.

— Zawalista fura! — zawołał i nagle rzucił kubek w naszą przednią szybę. Tektura pękła, napój z lodem rozbryznął się na wszystkie strony, ściekając pianistymi strugami z karoserii.

Podskoczyłam z piskiem.

— Palant! — wrzasnęłam, choć Chris i jego kumple już nas minęli i właśnie otwierali drzwi kina. Parę osób na trawniku patrzyło na nas ze śmiechem. — Cholerny palant! Masz się za nie wiadomo co, ale jesteś głupim dupkiem! — Rzuciłam jeszcze parę obelg. Zapamiętałam sobie tych, którzy się śmieli, w tym Jessicę Campbell stojącą wśród swoich kumpelek. — Boże — jęknęłam, opadając na siedzenie. — Ciekawe, jak mu się udaje żyć bez mózgu?

Ale Nick nie odpowiedział. Siedział jak skamieniały, z rękami na kierownicy, zapatrzony w napój spływający po szybie. Pochyliłam się ku niemu. Twarz jeszcze przed chwilą uśmiechnięta zupełnie się zmieniła. Jakby zmartwiała. Na policzki wystąpiły mu czerwone plamy, dolna warga drżała. Niemal czułam bijące od Nicka upokorzenie i rozczarowanie, widziałam, jak upada pokonany.

Przestraszyłam się. Zwykle unosił się gniewem, odpowiadał agresją. Teraz wyglądał, jakby miał się rozplakać.

— Hej! — Lekko dotknęłam jego łokcia. — Zapomnij o tym. Summers to zwykły palant.

Ale Nick nie odpowiedział, nie drgnął, choć samochody za nami zaczęły trąbić.

Patrzyłam na niego i słyszałam jego głos: „Czasami i nam zdarza się wygrać”. „Ale nie dzisiaj — pomyślałam. — Dziś pozostaniemy ofiarami”.

— Wiesz — odezwałam się — w ogóle nie mam ochoty na film. Kupmy jakieś zarcie. Zjemy u ciebie. Możemy pooglądać telewizję.

Spojrzał na mnie błyszczącymi od łez oczami, mocno zaciskając usta. Powoli skinął głową, włączył wycieraczki, które strąciły kubek z maski i starły wilgoć. Zniknęła bez śladu, jakby nic się nie stało, jakby nikt nam nie zepsuł wieczoru.

— Przepraszam — mruknął Nick ledwie słyszalnym, ochrypłym głosem, wrzucił bieg i opuścił parking powoli, jak zbity pies.

Ale wydało mi się, że detektyw nie chce słuchać o takich sprawach. Nie interesował go Nick, tylko sprawca zbrodni.

— Nie wiem — oznajmiłam.

— A gdybyś miała zgadnąć?

Wzruszyłam ramionami.

— Nie potrafiłabym. Nick to wiedział. Ale nie może go pan spytać, bo nie żyje. Może Jeremy wie.

— Jeremy Watson? Z... hm... — Mężczyzna zerknął do notesu, który wyjął nie wiadomo skąd. — Lowcrest?

— Chyba. — Uświadomiłam sobie, że nie znam nazwiska Jeremy'ego i nie mam pojęcia, gdzie mieszka. Wiedziałam tylko, że przyjaźnił się z Nickiem i był ostatnią osobą, która z nim rozmawiała przed tym wszystkim. — Tak naprawdę go nie znam.

Detektyw lekko uniósł brwi, jakby z jakiegoś powodu spodziewał się ujrzeć we mnie najbliższą przyjaciółkę Jeremy'ego.

— Nigdy go nie spotkałam — dodałam. — Wiem tylko, że Nick u niego przesiadywał.

Detektyw lekko wydał wargi i zmarszczył brwi.

— Hm... To zabawne, bo rodzice Jeremy'ego znają cię bardzo dobrze. Wiedzą, jak się nazywasz i gdzie mieszkasz. Powiedzieli, żebym zwrócił się do ciebie, jeśli chcę poznać prawdę.

— Jak mogą coś o mnie wiedzieć? — Podniosłam się na łokciach. — Nie widziałam ich na oczy.

Detektyw wzruszył ramionami.

— Może Nick dużo o tobie mówił. Czy to zaplanowaliście? Czy wspólnie zaplanowaliście tę egzekucję?

— Nie... Nie zamierzałam... No co pan!

— Mamy około dziesięciu świadków, którzy potwierdzają, że na chwilę, zanim do ciebie strzelił, Nick powiedział: „Nie pamiętasz naszego planu?”. Nie wiesz, o jakim planie mówił?

— Nie.

— Sądzę, że kłamiesz.

— Nieprawda! — jęknęłam żałośnie. — Ja tego nie zaplanowałam. Nawet nie wiedziałam, że coś takiego chodzi mu po głowie. Policjant wstał i obciągnął marynarkę. Wyjął z teczki parę kartek i podał mi je. Spojrzałam na nie i, dając słowo, przestałam oddychać.

Do: [NicksVal@aol.com](mailto:NicksVal@aol.com)

Od: [Trup@qmail.com](mailto:Trup@qmail.com)

Temat: Inny sposób

Chyba wolałbym gaz. Wiesz, jak wtedy, kiedy się idzie do garażu, włącza samochód i spokojnie leży, jarając i czekając na śmierć. To by było super, gdyby moi rodzice weszli rano do garażu, żeby pojechać do pracy, i znaleźli mnie martwego z blantem w ręce. A, i wiesz, kogo chcę dodać do listy? Ginny Baker.

N

Do: [Trup@gmail.com](mailto:Trup@gmail.com)

Od: [NicksVal@aol.com](mailto:NicksVal@aol.com)

No nie wiem. Mnie się nadal podoba przedawkowanie. Czymś seksownym, jak piksy albo coś w tym stylu. Rodzice i ty w samochodzie — LOL. Ale beka. Pewnie by dopalili trawę, zanimby wezwali karetkę. Ty byś tak nie zrobił?

A dlaczego GB? Nadal mam listę, bo na WOS-ie ją poprawiałam. Mogę dopisać.

Val

Do: [NicksVal@aol.com](mailto:NicksVal@aol.com)

Od: [Trup@gmail.com](mailto:Trup@gmail.com)

Temat: RE:RE: Inny sposób

Dlaczego nie? To też CHBBS. Zapisz ją. Jaki ma numer? Pewnie koło 407. Szkoda. Zasluguje na wyższą pozycję.

N

Do: [Trup@amail.com](mailto:Trup@amail.com)

Od: [NicksVal@aol.com](mailto:NicksVal@aol.com)

Temat: RE.RE.RE: Inny sposób

Jak wszystkie CHBBS. Zapisałam ją. BTW, 411. Świetnie by było, gdyby nagle galeria wyleciała w powietrze i razem z nią klub CHBBS. Wszędzie by fruwały tipsy i blond kłaki. LOL.

Val

Policjant przyglądał mi się uważnie, kiedy przeglądałam resztę kartek — wszystko wydruki z mojego komputera, który — jak się dowiedziałam później — skonfiskowali parę godzin po strzelaninie.

— Co to CHBBS? — spytał.

— He? — mruknęłam.

— CHBBS. Wspominacie o nich. Piszecie, że Ginny Baker do nich należy.

— A... Chcę się napić wody. — Detektyw przyciągnął wózek ze szklanką. Chwyciłam ją i zaczęłam pić. — CHBBS — powtórzyłam. Pokręciłam głową.

— Nie pamiętasz? — Pochylił się, żeby spojrzeć mi w oczy. Zaczęłam się pocić. — Valerie — powiedział cichym, groźnym głosem. Zrozumiałam, że jeśli chce, potrafi się stać naprawdę niebezpieczny. — Ludzie domagają się sprawiedliwości. Chcą wyjaśnień. Bądź pewna, że dotrzemy do prawdy, tak czy inaczej. Możesz nie pamiętać, co się wydarzyło w stołówce, ale wiem, że nie zapomniawsz o CHBBS.

Odstawiłam szklankę na tacę. Miałam wrażenie, że wargi mi zamarzły.

— Sprawdziłem w szkole. To żadna organizacja. Dlatego wiem, że sami to wymyśliliście. — Wyprostował się i zamknął teczkę. — Proszę bardzo — dodał normalnym tonem. — Sam to odgadnę. Na razie przyjmę, że CHBBS to skrót, którym nazywaliście grupę swoich kolegów, z których co najmniej jeden zginął.

— Chude... — Zaczęłam, urwałam i zamknęłam oczy, zacisnęłam zęby. Zrobiło mi się bardzo zimno i już miałam wezwać pielęgniarkę, ale coś mi mó-

wiło, że ona nie zechce mi pomóc. Odetchnęłam głęboko. — Chude Bogate Barbie Suki. O to chodzi. Klub CHBBS. Jasne?

— I chcieliście je wysadzić w powietrze.

— Nie. Nigdy nie zamierzałam tego zrobić.

— Tak napisałaś. Nick Val to ty, prawda?

— Żartowaliśmy. To tylko głupie kawały.

— George i Helen Baker się nie śmieją. Ginny ma zmasakrowaną twarz. Nigdy nie odzyska dawnego wyglądu.

— Boże — szepnęłam zmartwiałymi wargami. — Nie wiedziałam.

Policjant poczłapał do drzwi. Wskazał plik papierów, które nadal trzymałam.

— Poprzedzaj sobie przez noc. Porozmawiamy o nich jutro.

Spanikowałam. Nie chciałam z nim rozmawiać ani jutro, ani nigdy.

— Mój tata jest prawnikiem. Nie pozwoli mi rozmawiać bez adwokata. Nie mam nic wspólnego z tą strzelaniną.

Na twarzy detektywa na moment pojawiło się jakieś uczucie — może gniew, może tylko zniecierpliwienie.

— To nie zabawa, Valerie — powiedział. — Chcę z tobą współpracować, naprawdę. Ale musisz mi się odwzajemnić. Rozmawiałem już z twoim tatą. Wie, że tu przyszedłem. Twoi rodzice udzielili nam pomocy. Podobnie jak twoja przyjaciółka Stacey. Przez dwa dni przeglądaliśmy rzeczy Nicka i twoje.

Mamy zeszyt. W tej chwili czytamy e-maile. Cokolwiek zaszło, dowiemy się o tym. Teraz masz okazję, żeby wszystko wyjaśnić. Żeby oczyścić imię Nicka, jeśli sądzisz, że potrafisz. Ale nie wolno ci milczeć. Musisz współpracować. Dla własnego dobra. — Stał jeszcze przez parę chwil w progu, patrząc na mnie. — Porozmawiamy jutro — zapowiedział.

Spuściłam wzrok, zastanawiając się nad tym, co usłyszałam. Zeszyt? E-maile? Nie wiedziałam, o co mu właściwie chodzi, ale podejrzewałam, że nie znaczy to dla mnie nic dobrego. Usiłowałam sobie przypomnieć te wszystkie straszne rzeczy, które napisałam w zeszycie lub w nocnych wiadomościach do Nicka. Nie wyglądało to dobrze. Złodowaciałam tak bardzo, że przestałam czuć ciało od szyi w dół.



## 8

— No, to opowiedz mi o swojej ksywce Siostra Śmierć — powiedział detektyw Panzella, ledwie przekroczył próg mojego pokoju następnego ranka. Żadnego: „Jak noga? Mam nadzieję, że lepiej”, od razu: „Opowiedz mi o ksywce”.

— Ale co? To tylko głupie przezwisko — mruknęłam, wciskając guzik podnoszący wezglowie łóżka. Właśnie znowu przeglądałam kartki, które mi zostawił, i miałam paskudny humor. Rozmawialiśmy o takich sprawach... dlaczego tego nie dostrzegłam? Dlaczego nie zauważyłam, że Nick bierze je na poważnie?

Policjant przerzucił kilka stron notesu i skinął głową.

— Skąd się wzięło?

— Co? Pyta pan, dlaczego mnie tak nazywają? Bo mocno maluję oczy. Bo noszę czarne dżinsy i farbuję włosy na czarno. Bo... nie wiem. Może ich pan zapyta? Nie prosiłam, żeby mnie przezywali.

Nie, nie prosiłam. To nie ulegało wątpliwości, choć w niektórych wywiadach w telewizji sugerowano coś innego. Christy Bruter była po prostu moją „tą jedną osobą”, jak przed laty powiedziała mama. Tą jedną osobą, która dostrzega twoje słabe strony i wbija ci szpile. Tą jedną osobą, która ma dość zwolenników, by wymyślone przez nią przezwisko się przyjęło. Tą jedną osobą, która

może zmienić życie w piekło, jeśli tylko zechce. Christy lubiła mnie przezywać, podobnie jak Jessica Campbell i Meghan Norris. Chris Summers lubił prześladować Nicka przy każdej okazji. Dlaczego? Skąd miałam wiedzieć?

— Czyli nie dlatego, że zamierzałaś zabić kogoś wspólnie ze swoim chłopakiem.

— Nie! Już mówiłam. Niczego z Nickiem nie planowałam. Nawet nie wiedziałam, co zamierza. To tylko głupie przezwisko. Nie ja je wymyśliłam. Nie znosiłam go.

Policjant przewrócił następną stronę.

— Głupie przezwisko, które nadała ci Christy Bruter.

Przytaknęłam.

— Dziewczyna, którą Nick zastrzelił jako pierwszą. Tę, którą niezbyt wyraźnie widzimy na nagraniach z kamer przemysłowych. Dostrzegamy tylko ciebie i Nicka, a potem padającą Christy i ogólną panikę.

— Nie zastrzeliłam jej, jeśli tak pan sądzi — oznajmiłam.

Detektyw usiadł i pochylił się ku mnie.

— Powiedz, co mamy sądzić. Powiedz, co się naprawdę wydarzyło. Widzimy tylko tyle, ile się nagrało. Ciebie wskazującą Christy Bruter swojemu chłopakowi. Potwierdzają to co najmniej trzy osoby."

Skinęłam głową i potarłam czoło. Ogarniała mnie senność i miałam wrażenie, że trzeba mi zmienić opatrunek na nodze.

— Chcesz mi powiedzieć, dlaczego to zrobiłaś?

— Chciałam, żeby Nick z nią porozmawiał — prawie wyszeptałam. — Zepsuła mi empetrójkę.

Policjant wstał i podszedł do okna. Przymknął żaluzje, zasłaniając tym samym słońce. Zamrugałam powiekami. W pokoju zrobiło się ponuro. Jakby mama miała nigdy nie wrócić. Jakbym miała spędzić resztę życia w tym łóżku, słuchając pytań, nawet jeśli zacznę się wić z bólu, nawet gdyby moją nogę zaczęła toczyć gangrena.

Panzella przeniósł krzesło na drugą stronę łóżka. Usiadł i podrapał się po brodzie.

— No tak — zaczął. — Zatem weszłaś do stołówki i wskazałaś swojemu chłopakowi Christy, która nagle upadła z dziurą w brzuchu. Czego tu brakuje?

Poczułam, że do oczu napływają mi łzy.

— Nie wiem. Nie wiem, co się stało, przysięgam. Weszliśmy do stołówki jak co dzień i raptem ludzie zaczęli krzyczeć i uciekać.

Detektyw wydał usta i zamknął notes, potem rozparł się na krześle, spoglądając w sufit, jakby mógł z niego coś wyczytać.

— Świadkowie twierdzą, że zaraz po wydarzeniu uklękłaś przy Christy, a potem wstałaś i uciekłaś. Twierdzą, że wyglądało to, jakbyś sprawdzała, czy dostała, po czym odeszłaś, zostawiając ją na pewną śmierć. Czy to prawda?

Zacisnęłam mocno powieki, usiłując nie widzieć krwawiącego brzucha Christy Bruter, moich rąk na ranie. Staralam się nie czuć paniki, która zacisnęła mi wtedy gardło.

Zapachu prochu w powietrzu. Nie słyszeć krzyku. Po policzkach potoczyły mi się kolejne łzy.

— Nie, to nieprawda.

— Nie uciekłaś? Bo widzimy to na taśmie.

— Nie. To znaczy tak. Zostawiłam ją, ale nie uciekłam. Nie zostawiłam jej na śmierć. Odeszłam, bo musiałam znaleźć Nicka. Chciałam go prosić, żeby przestał.

Panzella skinął głową, znowu przerzucając kartki.

— A co powiedziałaś tego dnia swojej koleżance Stacey Brinks, kiedy wysiadłaś z autobusu?

W głowie i nodze pulsował mi ból. W gardle mnie drapało. I zaczęłam się bać, naprawdę. Zapomniałam, co mówiłam Stacey. Na tym etapie nie pamiętałam już niczego, a to, co pamiętałam, nie wyglądało mi na prawdę.

— Hmm? — mruknął policjant. — Powiedziałaś coś Stacey Brinks po wyjściu z autobusu?

Pokręciłam głową.

— Stacey twierdzi, że twoje słowa brzmiały mniej więcej tak: „Chcę ją zabić. Pożałuje tego”. Czy tak powiedziałaś?

W tej chwili do pokoju weszła pielęgniarka.

— Przepraszam, ale muszę zmienić opatrunek, zanim zejść z dyżuru.

— Oczywiście. — Detektyw wstał i slalomem wyminął medyczne aparaty i przewody. — Porozmawiamy później — rzucił do mnie.

Miałam nadzieję, że to później nie nastąpi nigdy. Że wydarzy się jakiś cud i detektyw uzna, że niczego więcej się ode mnie nie dowie.

TLR

## 9

Siedziałam przy łóżku na wózku, ubrana w dżinsy i podkoszulek — pierwszy raz od strzelaniny. Mama przyniosła mi je z domu. Były stare, pewnie z gimnazjum, i niemodne, ale cieszyłam się, że znowu włożyłam prawdziwe ubranie, choć dżins ocierał mi ranę na udzie tak boleśnie, że przy każdym ruchu jęczałam i zaciskałam zęby. Siedzenie na wózku też sprawiało mi przyjemność. W pewnym sensie. Nie miałam nic do roboty oprócz oglądania telewizji.

Za dnia, kiedy w pokoju kręciła się mama, detektyw Panzella i pielęgniarki, włączałam kanał kulinarny lub jakiś inny, na którym nie wspomniano o masakrze w szkole. Ale wieczorami ciekawość zwyciężała i oglądałam wiadomości. Serce łomotało mi w piersi i usiłowałam się zorientować, kto przeżył, kto umarł i czy szkoła dalej funkcjonuje.

Podczas reklam błędziłam myślami. Zastanawiałam się, czy moim kolegom się udało. Co robią. Czy płaczą? Cieszą się? Żyją dalej? A potem przed oczami stawały mi ofiary i musiałam uderzać pięścią w udo albo przełączać na inny kanał, żeby się opanować.

Przez całe rano odpowiadałam na pytania detektywa Panzelli, co nie należało do przyjemności. Usiłowałam nie myśleć o tym, jak toczy się śledztwo, bo

coś mi mówiło, że sytuacja nie wygląda dobrze. Bez względu na to, ile łez wylałam, ten policjant nie zmieni o mnie zdania. Biorąc pod uwagę dowody, które pokazał mi przez tych parę dni, nawet nie mogłam mieć do niego pretensji. Wyglądałam cholernie podejrzanie, nawet we własnych oczach, a przecież znałam prawdę.

Detektyw mówił mi, jakie znalazł dowody. Przeszukał mój dom. Mój pokój. Mój komputer. Przejrzał billingi mojej komórki. Odtworzył e-maile. Przeczytał zeszyt... mój sławny zeszyt.

Z tego, co mówił, wynikało, że zeszyt widzieli już chyba wszyscy. Nawet dziennikarze o nim wiedzieli. W telewizji pokazali strony z zakreślonymi miejscami. Jego fragmenty cytowano w porannych programach. Usiłowałam nie myśleć o tym, że jak na ironię ci wymuskani prezenterzy, którzy tak się fascynowali listą, stanowili dokładnie ten rodzaj osób, które mogłyby się na niej znaleźć. Niektórzy wręcz się na niej znaleźli. Ciekawe, czy na to wpadli. Potem zaczęła się błędne koło gdybania, a to mi nie służyło, zwłaszcza że detektyw Panzella ciągle węszył w moim pokoju.

Straciłam poczucie czasu, ale policjant odwiedził mnie tyle razy, że chyba musiałam spędzić w szpitalu koło tygodnia.

Ledwie zdążyłam się ubrać i usiąść na wózku, wszedł Panzella, jak zawsze w garniturze, brązowym i brzydkim jak papierowa torba. Pachniał skórą i często cmokał. Bez przerwy przekrzywiał głowę w sarkastyczny sposób, jakby powątpiewał w moją prawdomówność, choć wiedziałam, że nie zawsze tak jest. Porozmawiał ze mną krótko i zostawił mnie sam na sam z programem kulinarnym, co przyjąłam z ulgą.

Po jego wyjściu pojawiła się mama z ubraniami, paroma pismami i batonikiem. Wyglądała na trochę pogodniejszą. Dziwne, zważywszy na to, że właśnie przesłuchał mnie policjant. Nie wydawało mi się też, aby płakała. Już się przyzwyczaiłam do tego czerwonego nosa i spuchniętych powiek, dlatego zaskoczył mnie jej widok, kiedy wparowała do pokoju wymalowana jak jajo wielkanocne i jeśli nawet nie z uśmiechem, to z zadowoloną miną.

Podawała mi ubrania i pomogła się przebrać. Oparłam się na jej ramieniu i na jednej nodze przyskakałam do wózka, na który ciężko opadłam. Mama podała mi pilota, usiadła na brzegu łóżka i zaczęła mi się przyglądać.

— Noga już się goi — powiedziała.

Skinęłam głową.

— Rozmawiałś z tym policjantem.

Znowu przytaknęłam, spoglądając na swoje bose stopy. Szkoda, że nie prosiłam o skarpetki.

— Chcesz mi o tym opowiedzieć?

— Według niego jestem winna. Według ciebie też.

— Proszę cię, nigdy tego nie powiedziałam.

— Nawet cię tu nie ma, kiedy mnie magluje. Nikogo tu nie ma. Zostawiliście mnie samą.

— To bardzo miły człowiek. Nie wziął się na ciebie, stara się tylko zrozumieć, co zaszło.



Jeszcze raz pokiwałam głową. Nagle zabrakło mi sił na kłótnię. Doszłam do wniosku, że jej opinia się nie liczy. Sprawa miała taką wagę, że mama nie uratowałaby mnie, nawet gdyby wierzyła w moją niewinność.

Siedziałyśmy w milczeniu przez parę minut. Skakałam po kanałach telewizyjnych i w końcu zatrzymałam się na Rachael Ray, która przyrządzała jakieś kurczę. Ciszę mąciło tylko stukanie obcasów, kiedy mama zmieniała pozycję, albo skrzypienie winylowego siedzenia, gdy robiłam to ja. Widać mama nie miała mi nic do powiedzenia, skoro nie zamierzałam uczynić dramatycznego wyznania jak z serialu.

— Gdzie tata? — odezwałam się w końcu.

— Poszedł do domu.

Następne pytanie zawisło między nami. Wahałam się, czy je zadać, ale doszłam do wniosku, że mama na to czeka. Nie chciałam jej zawieść.

— On też nie wierzy w moją niewinność?

Mama zaczęła się bawić kablem od pilota, by czymś zająć ręce.

— Nie wie, co myśleć. Poszedł do domu, żeby się zastanowić. Przynajmniej tak twierdzi.

No, to dopiero słowa, które zawisają w powietrzu. „Przynajmniej tak twierdzi”. Co to miało znaczyć?

— On mnie nienawidzi — oznajmiłam.

Mama spojrzała na mnie ostro.

— Jesteś jego córką. Kocha cię.

Przewróciłam oczami.

— Musisz tak mówić. Ale ja wiem, mamó. On mnie nienawidzi. Czy ty też? Powiedz, czy cały świat mnie znienawidził?

— Nie wygłupiaj się, Valerie. — Mama wstała i wzięła torebkę. — Zejdę po kanapkę. Przynieść ci coś?

Pokręciłam głową. W głowie błysnęła mi myśl jak stroboskop: mama nie zaprzeczyła.

Jakiś czas potem ktoś zapukał do drzwi. Nie odezwałam się. Nie miałam siły, nawet żeby otworzyć usta. Zresztą i tak wchodził tu każdy, kto chciał.

Pewnie to detektyw Panzella. Postanowiłam, że choćby nie wiadomo co nie odezwę się już dziś ani słowem. Nawet gdyby mnie błagał. Albo groził dożywociem. Miałam dość ponownego przeżywania tego dnia. Chciałam, żeby mnie zostawiono w spokoju.

Pukanie znowu się rozległo i drzwi skrzypnęły cicho. Do środka ktoś zajrzała Stacey.

Nie potrafię wyrazić, jaką ulgę poczułam na widok jej twarzy. Nietkniętej twarzy. Nie tylko żywej, lecz także bez najmniejszych obrażeń. Ran. Oparzeń. Omal się nie rozplakałam ze szczęścia.

Oczywiście ran na duszy nie widać, prawda?

— Cześć — powiedziała Stacey bez uśmiechu. — Mogę wejść?

Choć bardzo się ucieszyłam, że widzę ją całą i zdrową, w chwili gdy usłyszałam jej głos — ten sam, który zapamiętałam z niezliczonych rozmów — uświadomiłam sobie, że nie mam jej nic do powiedzenia.

Może zabrzmiałoby to głupio, ale chyba się zawstydziałam. Wiecie, jak wtedy gdy w dzieciństwie rodzice krzyczą na was w obecności waszych kolegów i czujecie się totalnie upokorzeni, jakby runęła budowana przez was iluzja osoby, która sobie radzi. To właśnie takie uczucie, ale z miliard razy silniejsze.

Przysięgam, chciałam jej powiedzieć mnóstwo rzeczy. Chciałam ją spytać o Masona i Duce'a. O szkołę. O to, czy Christy Bruter i Ginny Baker żyją. I czy wiedziała, że Nick to planował. Chciałam usłyszeć, że ona także niczego się nie spodziewała. Że nie tylko na mnie spoczywa odpowiedzialność za dopuszczenie do masakry. Że nie ja jedna okazałam się niewiarygodną idiotką.

Ale ta sytuacja zrobiła się przedziwna. Od chwili gdy Stacey weszła i mruknęła: „Nie odpowiedziałas, więc myślałam, że śpisz albo co”, wszystko stało się jakieś surrealistyczne. Nie tylko strzelanina. Nie to, co widziałam w telewizji: wybiegający ze stołówki zakrwawieni uczniowie. Nie tylko śmierć Nicka i detektyw Panzella, recytujący u mojego łóżka kwestie z *Kryminalnych zagadek Miami*. Wszystko, aż do pierwszej klasy, kiedy Stacey wypchnęła językiem przedni ząb, wystający jej z ust jak kawałek gumy do żucia, i kiedy ja pokazywałam brzuch, kołysząc się na drabinkach na podwórku. Jakby mi się to przyśniło. A to, co działo się teraz — to piekło — było rzeczywistością.

— Cześć — powiedziałam cicho.

Stacey stanęła w nogach mojego łóżka — ze skrepowaniem, jak Frankie w dniu, w którym się ocknęłam.

— Boli? — spytała.

Wzruszyłam ramionami. Zadawała mi to pytanie milion razy przy każdym draśnięciu — w tamtym innym, wysnionym świecie, w którym małe dziewczynki nie przejmują się, że widać im brzuch na drabinkach i że zęby im dziwnie wystają.

— Trochę — skłamałam. — Nie bardzo.

— Słyszałam, że masz tam wielką wyrwę. Ale wiem to od Frankiego, więc nie jestem pewna, czy mu wierzyć.

— Nie boli bardzo — powtórzyłam. — Na ogół nic nie czuję. Prochy.

Stacey zaczęła zdrapywać naklejkę na boku łóżka. Znałam ją na tyle, żeby dostrzec jej poruszenie — może wkurzenie, może bezradność. Może obie te rzeczy.

— W przyszłym tygodniu pozwolą nam wrócić do szkoły — oznajmiła, wzdychając. — To znaczy niektórym. Mnóstwo osób się boi. Wiele dochodzi do siebie... — Urwała i zaczerwieniła się, jakby popełniła nietakt. Przed oczami stanęła mi kolejna wizja ze snu — obie siedziałyśmy zlane potem pod jej stołem przykrytym serwetą i na niby karmiłyśmy lalki. Kurczę, jaka realna wydawała się ta scena. — W każdym razie ja wracam. Duce też. I chyba David i Mason. Mama wołałaby, żebym została w domu, ale właściwie nie chcę. Chyba muszę to zrobić. No, nie wiem.

Odwróciła się do telewizora. Wątpię, żeby widziała te ptysie, które akurat wyjmował z piecyka jakiś kucharz.

W końcu spojrzała na mnie lekko zwilgotniałymi oczami.

— Porozmawiasz ze mną, Valerie? — spytała. — Powiesz coś?

Otworzyłam usta. Czułam się, jakby wypełniała je pustka, na przykładą jakaś chmura, co wydaje się całkiem na miejscu, kiedy przechodzi się z takiego snu do brzydkiej, okropnej rzeczywistości — tak ohydnej, że ma własny smak i kształt.

— Czy Christy Bruter umarła? — palnęłam w końcu.

Stacey patrzyła na mnie przez chwilę nieruchomo.

— Nie. Żyje. Leży na tym samym korytarzu. Właśnie się z nią spotkałam. — A kiedy nie odpowiedziałam, odrzuciła włosy i zerknęła na mnie zmrużonymi oczami. — Rozczarowana?

To wystarczyło. Jedno słowo. Zrozumiałam, że Stacey — nawet ona, najdawniejsza przyjaciółka, która towarzyszyła mi w pierwszym dniu szkoły, która pożyczała ode mnie strój kąpielowy i cienie do oczu — także wierzy w moją winę. Nawet jeśli tego nie powiedziała, nawet jeśli uważała, że nie ja pociągnęłam za spust, w głębi serca mnie obwiniała.

— Oczywiście, że nie. Nie wiem już, co mam myśleć — mruknęłam. Od wielu dni nie powiedziałam czegoś tak bliskiego prawdy.

— Do twojej wiadomości... nie mogłam uwierzyć w to, co się stało — oznajmiła Stacey. — I początkowo nie wierzyłam. Kiedy ludzie mówili, kto

strzelał, twierdziłam, że się mylą. Ty i Nick... No wiesz, byłaś moją najlepszą przyjaciółką. A Nick zawsze wydawał się super. Jak Edward Nożycoręki, ale w fajny sposób. Nigdy bym nie pomyślała... W życiu. Nick. Kurczę.

Ruszyła do drzwi, kręcąc głową. Siedziałam na wózku, cała odrętwiała, myśląc o tym, co usłyszałam. Ona nie mogła uwierzyć. Ja też. A najmniej prawdopodobne wydawało mi się, że moja najdawniejsza i „najlepsza” przyjaciółka kupi to, co jej o mnie powiedziano. Że nawet nie zechce mnie spytać, czy to potwierdzam. Ta podatna na wpływy Stacey zmieniała się w kogoś, kto mi już nie ufał.

— Ja też w to nie wierzyłam. Czasami nadal nie wierzę — odezwałam się. — Ale przysięgam, że nikogo nie zastrzeliłam.

— Bo Nick cię wyręczył. Muszę iść. Chciałam ci tylko powiedzieć, że się cieszę, że zdrowiejesz. — Otworzyła drzwi. — Wątpię, żeby pozwolili ci się do niej zbliżyć, ale jeśli zobaczysz na korytarzu Christy Bruter, może powinnaś ją przeprosić. — Wyszła, jednak zanim drzwi się za nią zamknęły, dobiegło mnie jeszcze: — Ja to zrobiłam.

Potem przez jakieś osiem godzin zastanawiałam się, za co, na litość boską, Stacey miałyby przeproszać Christy.

A kiedy mi zaświtało, że prawdopodobnie za to, że się ze mną przyjaźniła, tamten wyśniony świat po prostu zgasł i zniknął. Nigdy nie istniał.

# 10

Myślałam, że wracam do domu. Mama przyszła, kiedy spałam, i zostawiła mi świeże ubranie, po czym zniknęła jak duch. Usiadłam. Poranne słońce wpadało przez okno i kładło mi się na stopach. Palcami odgarnęłam włosy. Ten dzień wydawał się jakiś inny, jakby coś mi obiecywał.

Zwlokłam się z łóżka i o kulach, które pielęgniarka z nocnej zmiany postawiła oparte o ścianę, poszłam do łazienki — mogłam to robić sama już od wczoraj. Lekarstwa przeciwbólowe nadal nie pozwalały jasno myśleć, ale odłączyli mnie od kroplówki, a bandaże na nodze, choć grube, niezbyt mi przeszkadzały. Noga dokuczała tylko trochę, jakby tkwiła w niej drzazga.

Poświęciłam trochę czasu na znalezienie się w odpowiedniej pozycji, a kiedy wyszłam z łazienki, na moim łóżku siedziała mama. U jej stóp stała nieduża walizka.

— Co to? — spytałam, kuśtykając ku niej. Wzięłam podkoszulek i zaczęłam zdejmować piżamę.

— Rzeczy, których możesz potrzebować.

Westchnęłam, wciągając podkoszulek. Zajęłam się walką ze spodniami.

— To znaczy, że muszę tu siedzieć jeszcze jeden dzień? Ale czuję się dobrze. Radzę sobie. Mogę wrócić do domu. Chcę wrócić do domu!

— Czekaj. — Mama pomogła mi się wbić w dzinsy. Zapięła je, co jednocześnie mnie zawstydziło i sprawiło mi ulgę.

Pokuśtykałam parę kroków i opadłam na wózek. Wyciągnęłam włosy zza podkoszulka, usadowiłam się wygodniej. Podjechałam do szafki, gdzie pielęgniarka zostawiła tacę ze śniadaniem. Poczulałam zapach bekonu i zaburczało mi w brzuchu.

— Powiedzieli, kiedy mnie wypuszczą? Jutro? Naprawdę chciałabym wyjść już jutro. Spróbujesz ich przekonać? — Zdjęłam przykrywkę z tacy. Żołądek znowu mi zaburczał. Nie mogłam się doczekać, kiedy w końcu włożę jedzenie do ust.

W chwili gdy mama chciała mi odpowiedzieć, drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł facet w spodniach khaki, koszuli w kratę i białym fartuchu.

— Pani Leftman? — zagadnął jowialnie. — Jestem doktor Dentley. Rozmawialiśmy przez telefon.

Podniosłam głowę z ustami pełnymi bekonu.

— A to pewnie Valerie — dodał wyważonym, ostrożnym tonem. Wyciągnął rękę. Przełknęłam ślinę i uściśnęłam ją niepewnie. — Kieruję tu oddziałem psychiatrycznym. Jak twoja noga?

Spojrzałam na mamę, ale spuściła wzrok, jakby udawała, że wcale jej tu nie ma.



— W porządku — powiedziałam, sięgając po kolejny kawałek bekonu.

— To dobrze — rzucił z przyklejonym uśmiechem. Nerwowym uśmiechem, jakby coś, choć nie ja, budziło jego strach. Prawie jakby się trochę bał życia. Jakby w każdej chwili mogło go ugryźć. — Opisz poziom swojego bólu.

Sięgnął po moją kartę choroby, na której oczywiście zamieszczono wszystkie dane. Odpowiadałam na to pytanie sto razy dziennie: „Czy oceniasz swój ból na dziesięć? Siedem? A może 4,375?”.

— Dwa — oznajmiłam. — A co? Wychodzę?

Zachichotał i poprawił zjeżdżające z nosa okulary.

— Valerie, chcemy, żebyś odzyskała zdrowie — zaczął takim tonem, jakby mówił do przedszkolaka. — Także psychiczne. Stąd moja obecność. Poddam cię dziś badaniom, żeby określić najlepszą terapię. Czy masz ochotę zrobić sobie krzywdę?

— Co? Mamo! — Obejrzałam się na mamę, ale nie podniosła głowy.

— Pytałem, czy sądzisz, że stanowisz dziś zagrożenie dla siebie lub innych.

— To znaczy, czy chcę popełnić samobójstwo?

Skinał głową. Ten głupi uśmiech przywarł mu do twarzy jak przyrośnięty.

— Albo dokonać samookaleczeń. Albo czy myślisz o przemocy.

— Co? Nie. Dlaczego miałabym chcieć się zabić?

Przestąpił z nogi na nogę.

— Valerie, długo rozmawiałem z twoimi rodzicami, policją i lekarzami. Przedyskutowaliśmy myśli samobójcze, które najwyraźniej dręczyły cię od jakiegoś czasu. I boimy się, że w świetle ostatnich wydarzeń mogą się one spotęgować.

Nick zawsze miał obsesję na punkcie śmierci. To nic takiego. Niektórzy fascynują się grami, inni sportem, jeszcze inni wojskiem. Nick lubił śmierć. Od tamtego dnia, kiedy leżąc na materacu, oznajmił, że Hamlet powinien był zabić Klaudiusza przy pierwszej sposobności, nie przestawał mówić o śmierci.

Ale to tylko takie gadanie. Bajki. Nick streszczał mi tragiczne i znaczące sceny śmierci z filmów i książek. Przytaczał wiadomości z gazet i telewizji. Takie miał hobby. A ja zaraziłam się tym od niego i też opowiadałam bajki. To nic wielkiego. Nawet nie zauważyłam, kiedy zaczęłam. Szekspir też opowiadał o śmierci. I Poe. A Stephen King to już w ogóle nic innego nie robi — i nikt się nie dziwi.

Dlatego nie zauważyłam, kiedy sytuacja nabrała rozpędu. Kiedy bajki przeszły na tematy osobiste. Kiedy opowieści Nicka zaczęły dotyczyć samobójstwa. I zabójstw. Zresztą moje też. Ale sądziłam, że to nadal fikcja.

Zaskoczyły mnie te wydruki e-maili od detektywa Pan— zelli. Jak mogłam tego nie dostrzec? Jak mogłam nie zauważyć, że ich treść zaniepokoiłaby każdego? Jak mogłam się nie zorientować, że Nick zaczął operować faktami? Jak mogłam nie dostrzec, że moje odpowiedzi — według mnie czysta literatura — zasugerują wszystkim, że ja też miałam obsesję na punkcie śmierci?

Nie wiem, jak to się stało, ale tego nie dostrzegłam. I bardzo żałuję.

— Chodzi o te e-maile? Nie pisałam ich serio. To taki Romeo i Julia. Pomysł Nicka, nie mój.

— Wszyscy sądzą — odpowiedział lekarz, jakby nie usłyszał ani słowa — że w twoim przypadku najlepszy sposób postępowania to zapewnienie ci bezpieczeństwa i rozpoczęcie terapii w placówce zamkniętej, gdzie stawisz czoła swoim tendencjom samobójczym. Zajęcia grupowe, indywidualne, medytacja...

Chwyciłam kule i spróbowałam się dźwignąć z wózka.

— Nie. Mamo, wiesz, że to mi niepotrzebne. Powiedz mu!

— To dla twojego dobra — odezwała się, wreszcie podnosząc głowę. Zauważyłam, że ściska rączkę walizki. — To na krótko. Parę tygodni.

— Valerie — dodał doktor Dentley — Valerie, pomożemy ci.

— Niech pan przestanie powtarzać moje imię! — podniosłam głos. — Muszę tylko wrócić do domu. Tam mogę robić to, co chcecie.

Doktor Dentley wstał i wcisnął guzik na pilocie. Pojawiła się pielęgniarka, która chwyciła walizkę i przystanęła w progu. Mama wstała i cofnęła się w stronę łazienki, usuwając się z drogi.

— Przejdziemy na trzecie piętro, na oddział psychiatryczny, Valerie — oznajmił doktor tym swoim powściągliwym tonem. — Proszę, usiądź. Zawieziemy cię. Tak będzie wygodniej.

— Nie! — rzuciłam, chyba podniesionym tonem, bo mama drgnęła. Nie czułam, że krzyczę. Myślałam tylko o zajęciach, na których oglądaliśmy *Lot nad kukułczym gniazdem*.

O scenie, w której Jack Nicholson wrzeszczał na pielęgniarkę, że chce włączyć telewizję, i o tym dziwnym Indianinie z nieruchomą twarzą, i o małym nerwowym faceciku w okularach. I — to już wyjątkowa durnota — naszła mnie myśl, że kiedy się rozejdzie, że zamknęli mnie w wariatkowie, wszyscy będą się ze mnie nabijać. Christy Bruter nie da mi żyć. Zdażyłam jeszcze pomyśleć: „Zabiorą mnie tam po moim trupie!”.

Doktor Dentley pomyślał chyba coś podobnego, bo kiedy zaczęłam krzyzczeć: „Nie, nie pójdę! Nie! Zostawcie mnie!”, jego przyjemna mina trochę się zmieniła. Skinął głową na pielęgniarkę, która wybiegła z pokoju.

Po chwili weszło dwóch wielkich sanitariuszy.

— Uważać na lewe udo — poinstruował ich doktor swoim urzędowym tonem i już mnie chwycili, posadzili na wózku, a pielęgniarka podeszła ze strzykawką. Odruchowo się odchyliłam. Kule upadły na podłogę. Mama je podniosła.

Szarpałam się ze wszystkich sił, choć sanitariusze ważyli chyba ze sto kilo, i darłam na całe gardło. Krzyczałam tak głośno, że wyobrażałam sobie, iż w dalekich krajach ludzie będą znajdować w piasku fragmenty moich słów jak odłamki bomb. Jeden sanitariusz przesunął się, żeby chwycić mnie mocniej, dzięki czemu udało mi się kopnąć go z całych sił w nogę. Stęknął i pochylił się nade mną tak nisko, że mogłabym go pocałować, ale nie zdołałam już tego wykorzystać. Unieruchomili mnie. Pielęgniarka stanęła z tyłu. Kiedy wbiła mi igłę w odsłonięty bok, zrobiłam jedyne, co mogłam — wrzasnęłam.

Po paru chwilach mogłam wyrażać sprzeciw jedynie łkaniem. Łzy spływały mi po twarzy na szyję. Mama także płakała, co sprawiło mi odrobinę satysfakcji, choć niewiele.

— Mamo — zakwiliłam, kiedy wieźli mnie obok niej. — Nie rób mi tego. Możesz im zabronić...

Nie odpowiedziała. W każdym razie nie słowami.

Wywieźli mnie na korytarz, do wind. Po drodze płakałam, błagałam, powtarzałam: „Ja tego nie zrobiłam... nie zrobiłam...”, ale doktor Dentley zniknął, a dwóch sanitariuszy i niosąca walizkę pielęgniarka nie reagowali na moje słowa.

Znaleźliśmy się w pasażu z tabliczką „WINDY” i strzałką. Tuż przed zakretem minęliśmy salę, w której dostrzegłam znaną twarz.

Podobno śmiertelne zagrożenie zmienia ludzi. Uczy ich tolerancji i miłości. Małostkowość i nienawiść tracą wówczas znaczenie.

Ale kiedy sanitariusze wieźli mnie do windy, zobaczyłam Christy Bruter siedzącą w łóżku i wpatrzoną we mnie. Obok niej stali rodzice i młoda kobieta z małym chłopcem w ramionach.

— Nie zrobiłam tego... nie zrobiłam... — powtarzałam z płaczem.

Rodzice patrzyli na mnie ze zmęczeniem. A Christy z leciutkim krzywym uśmiechem. Tym samym, który tyle razy widziałam w autobusie. Identycznym.

Sanitariusze skręcili i straciłam ją z oczu.

— Przepraszam — szepnęłam. Pewnie mnie nie usłyszała.

Ale wbrew logice miałam nadzieję, że te słowa dotarły do Stacey.

Wiele razy zastanawiałam się, jak przeżyłam te dni na oddziale psychiatrycznym. Jak wstawałam z łóżka do łazienki. Jak z łazienki przechodziłam na sesje grupowe. Jak żyłam, słuchając przeraźliwych głosów wykrzykujących w nocy idiotyzmy. Jak zrozumiałam, że moje życie osiągnęło całkiem nowy poziom upadku, kiedy pewnego ranka do pokoju zajrzał laborant i szepnął, miętosząc fartuch na piersi, że jeśli potrzebuję działki, coś razem wymyślimy.

Nie mogłam nawet wycofać się w milczenie. Doktor Dentley na pewno uznałby to za regresję i powiedział rodzicom, że powinnam zostać tam dłużej.

Nie znosiłam tego typu. Tych jego obrośniętych kamieniem zębów, okularów, do których szkielec przylepiały się płatki łupieżu, jego książkowych wyrażań. I oczu skupionych na czymś ważniejszym ode mnie, kiedy odpowiadałam na jego superinteligentne pytania.

Czułam się tam nie na miejscu. Jakby wszyscy poza mną zwariowali, nawet doktor Dentley.

Poznałam Emmita, ogromne chłopaczysko, które nieustannie włóczyło się po korytarzach, prosząc ludzi o drobne. I Morrisa, który rozmawiał ze ścianami i zachowywał się, jakby mu odpowiadały. Adelle, tak strasznie przeklinająca, że na ogół wykluczano ją z grupy. Francie, dziewczynę, która lubiła się podpalać i

nieustannie się chwaliła, że ma romans ze swoim czterdziestopięcioletnim ojczymem.

Była też Brandee, która wiedziała, za co tam się znalazłam, i patrzyła na mnie smutnymi ciemnymi oczami.

— Jakie to uczucie? — spytała mnie w świetlicy. — No wiesz, zabijać ludzi.

— Nikogo nie zabiłam.

— Mama mówi, że zabiłaś.

— A co ona może wiedzieć?

W grupie Brandee dręczyła mnie inaczej.

— Jakie to uczucie, kiedy się dostaje kulkę? Strzelił do ciebie umyślnie? Myślał, że na niego doniesiesz? Czy zabił jakiegoś twojego przyjaciela, czy tylko ludzi, których nienawidziłaś? Żałujesz, że cię wyręczył? Co o tym myślą twoi rodzice? Moi by dostali świra. Twoi dostali? Nienawidzą cię?

Już to samo wystarczyłoby, by doprowadzić mnie do szału, ale bardzo nad sobą pracowałam, żeby nie wybuchnąć. Na ogół udawało mi się ją ignorować. Wzruszałam obojętnie ramionami albo udawałam, że nie słyszę. Od czasu do czasu odpowiadałam, sądząc, że to jej zamknie usta. Myliłam się. Odpowiedź prowokowała następną falę pytań, po których żałowałam, że w ogóle się odezwałam.

Jedynym plusem pobytu na oddziale psychiatrycznym było to, że detektyw Panzella przestał mnie odwiedzać.

Znaczyło to, że albo nie zdołał się do mnie dostać, albo uznał, że powiedziałam prawdę. A może już pracował nad aktem oskarżenia? W każdym razie jego nieobecność mnie cieszyła.

Przechodziłam z miejsca na miejsce, tak jak ode mnie oczekiwano. Grzecznie zmieniałam piżamę i szpitalny szlafrok na normalne ubranie. Siadałam na kanapie w świetlicy, oglądałam dozwolone programy telewizyjne, obserwowałam autostradę za oknem, udając, że nie widzę rozsmarowanych na ścianie wysuszonych smarków. Że serce mi nie pęka. Że nie jestem zła, zagubiona, przestraszona.

Chciałam uciec w sen. Wziąć środki przeciwbólowe, skulić się w łóżku i obudzić dopiero w domu. Ale wiedziałam, że to by była oznaka depresji, a wówczas zostałabym tam dłużej. Musiałam udawać. Udawać, że mi lepiej. Że moje „myśli samobójcze” ustąpiły.

— Teraz już widzę, że Nick totalnie do mnie nie pasował — klepałam. — Chcę zacząć od nowa. Myślę, że powinnam iść na studia. Tak, studia.

Ukrywałam gniew, który we mnie narastał. Gniew z tego powodu, że rodzice mnie nie odwiedzają. Że Nick zmarł. Gniew na tych, którzy go prześladowali. Gniew na siebie, że niczego nie zauważyłam. Nauczyłam się nad tym panować, tłumić te emocje w nadziei, że się wyszumią i znikną. Nauczyłam się udawać, że już zniknęły.

Mówiłam to co trzeba, żeby mnie wypuścili. Wypowiadałam odpowiednie słowa, stawiałam się na spotkaniach grupowych i jakimś cudem nie wybuch-



łam, kiedy inni pacjenci obrzucali mnie obelgami. Jadłam, poddawałam się badaniom, współpracowałam na wszystkie możliwe sposoby. Chciałam wyjść.

W końcu w piątek doktor Dentley wszedł do mojego pokoju i usiadł na brzegu łóżka. Nie cofnęłam się, podkuliłam jedynie palce u stóp, jakbym mogła w ten sposób się od niego zdystansować.

— Niedługo wyjdiesz — powiedział tak rzeczowo, że omal nie puściłam tego mimo uszu.

— Naprawdę?

— Tak. Bardzo nas cieszą twoje postępy. Ale do wyzdrowienia jeszcze daleka droga. Będziesz się spotykać z psychoterapeutą.

— Tutaj? — spytałam, usiłując nie zdradzać paniki. Z jakiegoś powodu myśl o codziennym powracaniu do szpitala przeraziła mnie, jakby po pierwszym niewłaściwym słowie czy zachowaniu Chester i Jock znowu mieli się na mnie rzucić i wbić mi igłę w tyłek.

— Nie. Będziesz się spotykać... — Doktor przerzucił strony notatnika. — Tak. Będziesz się spotykać z Reksem Hielerem. — Podniósł głowę i spojrzał na mnie. — Polubisz go. Idealnie nadaje się do tego przypadku.

Wyszłam ze szpitala co prawda jako „przypadek”, ale wolna.

Pielęgniarka wywiozła mnie na wózku aż do drzwi wyjściowych. Czułam na sobie spojrzenia wszystkich, choć pewnie tak naprawdę nikt na mnie nie patrzył. Miałam wrażenie, że zna mnie każdy mieszkaniec kuli ziemskiej.

Jakby cały świat gapił się na mnie, rozważając, czy to, co mnie gadają, to prawda. Czy Bóg ma w sobie tyle okrucieństwa, że pozwolił mi żyć.

Mama zaparkowała przed szpitalem i podeszła do mnie z kulami w ręce. Wzięłam je i pokuśtykałam przed siebie. Wsiadłam do samochodu, nie odzywając się ani słowem do mamy i pielęgniarki, która dawała jej ostatnie instrukcje.

Wracałyśmy do domu w milczeniu. Mama włączyła radio, stację z łatwą muzyczką. Lekko uchyliłam okno, zamknęłam oczy i odetchnęłam. Powietrze miało jakiś inny zapach, jakby czegoś w nim zabrakło. Zastanowiłam się, co zrobię, kiedy wrócę do domu...

Otworzyłam drzwi. Frankie leżał na podłodze przed telewizorem.

— Cześć, Val — odezwał się, siadając. — Wróciłaś.

. — Cześć. Fajny fryz. Najeżony, że bardziej się nie da.

Frankie uśmiechnął się i przejechał dłonią po głowie.

— No. To samo powiedziała Tina.

Jakby nic się nie stało. Jakbym jeszcze nie pachniała szpitalem. Jakbym nie była świrem z samobójczymi skłonnościami, który wrócił do domu, żeby doprowadzić wszystkich do rozpacz.

W tamtej chwili Frankie wydawał mi się najlepszym bratem na świecie.

## 12

Gabinet doktora Hielera okazał się zaciszny i akademicki, oaza książek i cichego rocka w morzu biurokracji. Sekretarka, wyluzowana dziewczyna o brązowej skórze i długich paznokciach, zachowywała się powściągliwie i profesjonalnie. Wprowadziła mamę i mnie z poczekalni do przechodniego pomieszczenia tak uroczyście, jakbyśmy miały kupić brylanty czystej wody. Zakrzętnęła się przy lodówce, przyniosła nam colę i wodę, a potem wskazała otwarte drzwi. Przekroczyliśmy próg gabinetu.

Doktor Hieler wstał zza biurka, zdjął okulary i uśmiechnął się z zaciśniętymi ustami. Jego oczy zrobiły się bardzo smutne. A może zawsze takie były? Może gdybym musiała przez cały dzień wysłuchiwać opowieści o bólu i rozpaczy, też bym tak wyglądała.

— Cześć — powiedział, wyciągając rękę do mamy. — Mam na imię Rex.

Mama wyciągnęła dłoń, zbyt oficjalna i szczerą jak na ten gabinet.

— Dzień dobry, doktorze. Jenny Leftman. To moja córka Valerie. — Lekko dotknęła mojego ramienia, popychając mnie naprzód. — Polecił mi pana Bill Dentley ze szpitala w Garvin.

Doktor Hieler skinął głową. Już o tym wiedział. Wiedział też, co zaraz padnie z jej ust.

— Valerie chodzi do liceum w Garvin. Chodziła. — Czas przeszły.

Doktor Hieler usiadł w rozłożystym fotelu i wskazał nam sofę naprzeciwko. Padłam na nią bezwładnie. Mama przycupnęła sztywno na samym brzeżku, jakby bała się pobrudzić. Nagle jej zachowanie zaczęło mnie wkurzać, drażnić, zawstydząć. Chciałam ją wyrzucić z pokoju. A jeszcze bardziej chciałam uciec.

— Jak wspomniałam — ciągnęła mama — Valerie była w szkole w dniu strzelaniny.

Doktor Hieler spojrzał na mnie, ale się nie odezwał.

— I... hm... znała tego chłopca... sprawcę — skończyła mama. Nie mogłam dłużej znieść jej zakłamania.

— Znała! — syknęłam. — To mój chłopak, mamó. Boże!

Mama przez chwilę usiłowała się opanować („Zbyt ostentacyjnie — pomyślałam. — Pewnie ze względu na doktora Hielera — żeby mu pokazać, jakim okropnym dzieckiem pokarał ją los”).

— Współczuję — powiedział doktor bardzo cicho. W pierwszej chwili wydawało mi się, że mówi do mamy. Ale kiedy podniosłam głowę, zauważyłam, że patrzy na mnie.

Zapadła długa cisza. Mama siąkała w chusteczkę, ja gapiłam się na swoje buty. Na czubku głowy czułam spojrzenie doktora Hielera.

W końcu mama przerwała milczenie. Jej głos zabrzmiał ostro w niewielkim pomieszczeniu.

— No cóż, oczywiście ja i jej ojciec martwimy się o Vale— rie. Musi wiele przemyśleć i chcemy, żeby zapanowała nad swoim życiem.

Pokręciłam głową. Mama nadal sądziła, że mam przed sobą jakieś życie.

Doktor Hieler nabrał oddechu i pochylił się naprzód. W końcu oderwał wzrok ode mnie, a skupił się na mamie.

— Panowanie nad życiem to ważna sprawa — odezwał się cicho, jakby chciał nas ukołysać do snu. — Ale w tej chwili najważniejsze jest wydobycie emocji, rozliczenie się z nimi i znalezienie sposobu na to, żeby pogodzić się z tym, co zaszło.

— Ona nie chce o tym mówić — sprzeciwiła się mama. — Odkąd wyszła ze szpitala...

Doktor uciszył ją gestem ręki. Znowu mi się przyjrzał.

— Nie zamierzam ci wmawiać, że wiem, co czujesz. Nie chcę odebrać znaczenia temu, przez co przeszłaś, twierdząc, że dobrze to rozumiem — zwrócił się do mnie. Nie odpowiedziałam. Znowu poprawił się w fotelu. — Może spróbujmy zacząć jeszcze raz. Wyprosimy stąd twoją mamę i porozmawiamy. Zgodzisz się?

Milczałam.

Ale mama od razu wstała z ulgą. Doktor Hieler też się podniósł i odprowadził ją do drzwi.

— Pracuję z wieloma nastolatkami w wieku Valerie — zapewnił zniżonym głosem. — Staram się zachowywać szczerze i otwarcie. Nie opryskliwie, tylko bezpośrednio. Jeśli trzeba, kładziemy kawę na ławę, żeby sprawdzić, czy zdołamy znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Początkowo tylko słucham i okazuję zrozumienie. — Odwrócił się i spojrzał na mnie, zwracając się do nas obu — do mnie na kanapie i mamy z ręką na klamce. — Potem znajdujemy — albo nie — to, co należy zmienić. Jeśli to nam się uda, rozmawiamy o tym. Na tym etapie niemal z całą pewnością omówimy szczerze twoje myśli i postępowanie. Jakies pytania?

Nie zareagowałam.

Mama zdjęła rękę z klamki.

— Czy kiedykolwiek miał pan do czynienia z czymś takim?

Doktor Hieler odwrócił wzrok.

— Miałem do czynienia z przemocą, ale z tym — nigdy. Sądzę, że zdołam pomóc, jednak nie chcę pani okłamywać i udawać, że wiem wszystko. — Znowu spojrzał na mnie i przysięgłabym, że tym razem zobaczyłam w jego smutnych oczach prawdziwy ból. — Przeżyłaś coś cholernie paskudnego.

Nadal nie odpowiadałam. Tak było łatwiej. Doktor Dentley by mnie za to zamknął, doktor Hieler chyba tego oczekiwał.

Wbiłam wzrok w buty. Mama wyszła z gabinetu.

— Czekam na zewnątrz — usłyszałam jej głos. Doktor zamknął drzwi i nagle zrobiło się tak cicho, że usłyszałam tykanie zegara. Siedzenie fotela skrzypnęło.

— To jeden z tych przypadków, kiedy prawdopodobnie nie można powiedzieć nic właściwego — odezwał się doktor bardzo cicho. — Wyobrażam sobie, że to coś potwornego i coraz potworniejszego.

Wzruszyłam ramionami. Nadal nie mogłam się zmusić do podniesienia głowy.

Doktor odkaszlnął i dodał trochę głośniejsze:

— Najpierw przeżyłaś ten koszmar, zostałaś postrzelona, straciłaś kogoś, kogo kochałaś. To ci cholernie skomplikowało kontakty ze szkołą, rodziną, przyjaciółmi, a teraz jeszcze utknęłaś w gabinecie grubego psychiatry, który chce ci zajrzeć do mózgu.

Podniosłam oczy, nie głowę, żeby nie zobaczył mojego uśmiechu. Ale pewnie jednak go dostrzegł, bo wargi mu leciutko drgnęły. Od razu go polubiłam.

— Słuchaj — oznajmił. — Nie tylko naprawdę uważam, że to wszystko sprawia ci ból, lecz także zdaję sobie sprawę, że prawdopodobnie niemal nie miałaś wpływu na to, co się stało. Chciałbym to zmienić. Chciałbym cię nauczyć kontroli. Będziemy pracować w tempie, jakie wybierzesz. Jeśli poruszę temat, o którym nie zechcesz mówić, albo zacznę zanedbato naciskać, powiedz mi, a zaczniemy rozmawiać o czymś prostym i bezpiecznym.

Lekko uniosłam głowę.

— Może podczas następnego spotkania po prostu opowiesz mi o sobie — co cię interesuje, jak żyłaś, zanim do tego doszło? Poznamy się trochę, a potem zobaczymy. Co ty na to?

— Dobrze — szepnęłam. Ledwie słyszalnie, ale i tak mnie zdziwiło, że w ogóle zdołałam się odezwać.

TLR



# 13

Gdy wstałam następnego ranka, detektyw Panzella siedział w mojej kuchni przy stole naprzeciwko mamy. Przed nim stał kubek kawy. Mama się uśmiechała; już dawno nie widziałam jej tak pogodnej. Policjant miał ponurą minę, jak zawsze, ale wyglądał na bardziej rozluźnionego, co mogłoby sugerować, że się rozchmurzył — gdyby nie to, że wciąż był sobą.

Przykuśtykałam do kuchni. Obite gumą kule lekko ślizgały się po linoleum. Jak wiele razy od operacji, ciągle mi się wydawało, że ziemia ustępuje mi spod stóp. We krwi nadal szumiało sporo środków przeciwbólowych i psychotropowych i czułam się, jakby wolność uderzyła mi do głowy.

— Valerie — powiedziała mama. — Pan detektyw przyniósł dobre wiadomości.

Zastanowiłam się, czy nie usiąść przy stole, ale ostatecznie oparłam się o blat, jak najdalej od Panzelli. W szpitalu bezskutecznie marzyłam o tym, żeby się przed nim schować.

Przyjrzałam mu się. Jak zawsze miał na sobie brązowy garnitur i wyglądał świeżo, jakby przed chwilą wyszedł spod prysznica. Wydawało mi się nawet, że czuję od niego zapach mydła, i to takiego samego, jakiego używaliśmy w domu.

Dobiegła mnie też woń jego wody po goleniu, od której zrobiło mi się niedobrze. Łzy stanęły mi w oczach i gdybym miała sprawne nogi, pewnie wybiegłabym z kuchni z krzykiem.

— Cześć — odezwał się. Odwrócił się w moją stronę, przesuwając na stole kubek. Gdy potem ścierałam z blatu czarną smugę kawy, czułam, że ostatecznie wymazuję jego obecność z mojego życia.

— Cześć — odparłam.

— Valerie, detektyw Panzella przyszedł nam powiedzieć, że policja przestała cię podejrzewać.

Nie zareagowałam. Nagle straciłam pewność, czy nie śpię. Może leżę nieprzytomna w szpitalu, na oddziale psychiatrycznym. Za parę chwil się obudzę, powlokę na terapię grupową i opowiem ten dziwny sen. Schizofreniczka Nan zacznie wrzeszczeć coś o terrorystach, Daisy się rozplacze, skubiąc obandażowane nadgarstki, a Andy pewnie powie mi, żebym się odpieprzyła. Durny terapeuta pozwoli nam się tak zachowywać, a potem wyśle nas na śniadanie.

— Wspaniale, prawda? — rzuciła mama zachęcająco.

— W porządku — mruknęłam. Co innego mogłam powiedzieć? Bogu dzięki? A nie mówiłam? Dlaczego? Nic nie wydawało się odpowiednie. Dlatego ograniczyłam się do tego „w porządku” i dodałam: — Eee, dzięki. — Co zabrzmiało idiotycznie.

— Pojawili się nowi świadkowie — wyjaśnił detektyw. Pociągnął łyk kawy. — Zwłaszcza jedna osoba. Zażądała spotkania ze mną i prokuratorem okrę-

gowym. Opowiedziała nam przebieg wydarzeń ze szczegółami i bardzo przekonująco. Nie zostaniesz oskarżona.

Zakręciło mi się w głowie. Postanowiłam się obudzić, bo poczułam ulgę i radość, a nie chciałam tego czuć, bo wtedy szpital wydałby mi się jeszcze straszniejszy.

— Stacey? — wychrypiałam, wstrząśnięta, że wstawiła się za mną, choć wyraźnie widziałam, że już mi nie ufa i nie zamierza się ze mną przyjaźnić.

Policjant pokręcił głową.

— Blondynka. Wysoka. Z trzeciej klasy. Ciągle powtarzała: „Valerie nikt nie zastrzeliła”.

Ten opis nie pasował do żadnego z moich przyjaciół.

# 14

— No, to opowiedz mi o Valerie — powiedział doktor Hieler podczas następnego spotkania. Usiadł w fotelu i przerzucił przez oparcie jedną nogę.

Wzruszyłam ramionami. Choć nie mogłam znieść mamy, która nie odstępowała mnie na krok, rzucając mi zatroskane spojrzenia, teraz pożałowałam, że nie została w gabinecie na czas sesji.

— To znaczy, dlaczego mówiłam o samobójstwie i ludziach, których nie nawidziałam, i tak dalej?

Pokręcił głową.

— Nie. Opowiedz mi o sobie. Co lubisz? Co potrafisz? Co się dla ciebie liczy?

Siedziałam jak skamieniała. Tak dawno nikt mnie o to nie pytał. Nie wiedziałam, czy to ma jeszcze znaczenie.

— Dobrze, zacznę — oznajmił doktor z uśmiechem. — Nie znoszę popcornu z mikrofalówki. Omal nie zostałem prawnikiem. I potrafię zrobić niesamowite salto do tyłu. A ty? Opowiedz mi o sobie. Jaką muzykę lubisz? Jakie lody?

— Waniliowe — mruknełam. Zagryzłam wargę. — Eee... podoba mi się ten balon na gorące powietrze. — Wskazałam sufit, pod który powieszono stary drewniany balon na gorące powietrze. — Bardzo kolorowy.

Doktor podniósł głowę.

— Tak, mnie też się podoba. Głównie dlatego, że fajnie wygląda, ale także ze względu na ironię sytuacji. Waży z tonę. W tym gabinecie wszystko może latać. Nawet drewniane balony. Niezależnie od tego, jaki ciężar ściąga je w dół. Super, nie?

— Ekstra — przyznałam, przyglądając się ozdobie. — Nigdy by mi to nie przyszło do głowy.

Doktor błysnął zębami.

— Mnie też nie. To pomysł mojej żony. Ja tylko lubię go wykorzystywać.

Uśmiechnęłam się. Doktor Hieler miał w sobie coś, co budziło poczucie bezpieczeństwa. Chciałam się mu zwierzyć.

— Moi rodzice się nienawidzą — palnęłam. — Czy to się liczy?

— Tylko jeśli liczy się dla ciebie. Co jeszcze?

— Mam młodszego brata, całkiem fajnego. Prawie zawsze jest dla mnie miły. Nie kłócimy się jak inne rodzeństwa. Trochę się o niego martwię.

— Dlaczego?

— Bo trafiła mu się taka siostra. Bo musi iść w przyszłym roku do mojej szkoły. Bo lubił Nicka. Eee... Nowy temat.

— Waniliowe lody, nieszczęśliwi rodzice, fajny brat. Co jeszcze?

— Lubię rysować. To znaczy, lubię malarstwo.

— Aaa! — zawołał, odchylając się w fotelu. — Wreszcie coś. Co lubisz rysować?

— Nie wiem. Od dawna niczego nie rysowałam. Od dzieciństwa. To głupie. Nie wiem, dlaczego to powiedziałam.

— Bardzo dobrze. Mamy waniliowe lody, nieszczęśliwych rodziców, fajnego brata i rysowanie, które lubisz albo nie. Co jeszcze?

Przetrząsnęłam pamięć. Okazało się, że to o wiele trudniejsze, niż sądziłam.

— Nie potrafię zrobić salta do tyłu.

Uśmiechnął się.

— Nie szkodzi. Skłamałem. Ja też nie potrafię. Ale fajnie byłoby się nauczyć, nie?

Parsknęłam śmiechem.

— No chyba. Ale na razie nie potrafię nawet porządnie chodzić. — Wskażałam nogę.

Skinał głowę.

— Nie martw się. Ani się obejrzysz, a znowu się nauczysz. Może nawet robienia salta do tyłu. Nigdy nie wiadomo.

— Oczyszczono mnie — oznajmiłam. — Z zarzutów.

— Wiem. Gratulacje.

— Mogę panu zadać pytanie?

— Oczywiście.

— Kiedy mama z panem rozmawia... podczas swojej sesji... czy obwinia mnie o wszystko?

— Nie.

— Czy mówi panu, że nienawidziła Nicka i że wiele razy chciała, żebym go rzuciła? Czy mówi panu, że zasłużyłam na to, co mnie spotkało?

Doktor Hieler potrząsnął głową.

— Nigdy nie powiedziała nic podobnego. Wyraża troskę. Wielki smutek. Obwinia siebie. Uważa, że powinna była poświęcać ci więcej uwagi.

— Pewnie chce, żeby pan jej współczuł, a mnie nienawidził jak wszyscy.

— Ona cię nie nienawidzi.

— Może. Ale Stacey na pewno.

— Stacey? Twoja przyjaciółka? — rzucił niemal nonszalancko, choć coś mi mówiło, że w jego przypadku żadne pytanie nie było nonszalanckie.

— Aha. Znamy się od dzieciństwa. Przyszła do mnie wczoraj.

— Świetnie! — Doktor zerknął na mnie i przesunął w zamyśleniu palcem po dolnej wardze. — Ale to cię nie cieszy.

Wzruszyłam ramionami.

— No, nie. Fajnie, że wpadła. Ale... sama nie wiem.

Zapadła cisza.

Znowu wzruszyłam ramionami.

— Kazałam bratu powiedzieć, że śpię, więc wyszła.

Pokiwał głową.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Tak jakoś... Po prostu nigdy nie raczyła spytać, czy miałam jakiś udział w tym, co się wydarzyło. Powinna stać po mojej stronie, prawda? Ale nie stała. I uważa, że powinnam przeprosić. Nie ją. Wszystkich. Publicznie czy co? Chodzić po rodzinach i prosić o przebaczenie?

— A ty co o niej sądzisz?

Tym razem to ja zamilkłam. Nie wiedziałam, co o tym myśleć — poza faktem, że spojrzenie w oczy tym wszystkim ludziom, pogrążonym w rozpacz rodziny, które głośno domagały się sprawiedliwości w każdym telewizyjnym programie, gazecie i magazynie, nadal budziło we mnie mdłości.

— Kazałam Frankiemu ją splawić, prawda? — odezwałam się cicho.

— Tak, ale nie chciałaś, żeby odeszła. — Nasze spojrzenia się spotkały. Nagle doktor wstał i przeciągnął się, trzymając ręce nad głową. — Podobno wszystko zależy od nóg — oznajmił, lekko przykucając, jakby chciał skoczyć.

— Co zależy?

— Dobrze salto.



# 15

Siedziałam z Frankiem przy kuchennym stole, jak zawsze. On jadł płatki, ja banana. Nagle zauważyłam leżący na blacie dziennik. Dopiero w tej chwili uprzytomniłam sobie, że po raz pierwszy od powrotu do domu widzę gazetę.

— Pokaż — odezwałam się, wskazując.

Frankie zerknął, poblądł i pokręcił głową.

— Mama mówi, że nie wolno ci tego czytać.

- Co?

Przełknął płatki.

— Mama mówi, że powinniśmy cię chronić przed kontaktem z gazetami, telewizją i tak dalej. I mamy odkładać słuchawkę, jeśli zadzwoni jakiś dziennikarz. Ale nie dzwonią już tak często jak wtedy, gdy leżałaś w szpitalu.

— Mama nie chce, bym czytała gazety?

— Uważa, że znowu się załamiesz.

-Idiotyzm.

— Pewnie o tej zapomniała. Wyrzucę ją.

Wziął gazetę i podniósł się od stołu. Chwyciłam ją.

— O, nie! Dawaj to. Mówię poważnie. Mama nic nie rozumie. W szpitalu, po jej odejściu, oglądałam telewizję.

Wszystko widziałam. Nie wspominając już, że widziałam samą strzelaninę, pamiętasz?

Ruszył do kosza, ale po chwili zatrzymał się z wahaniem. Wytrzymałam jego spojrzenie.

— Nic mi się nie stanie, naprawdę — dodałam cicho. — Nie załamie się, obiecuję.

Powoli wyciągnął do mnie rękę.

— Dobrze, ale jeśli mama spyta...

— Tak, tak, przysięgnę, że co złego, to nie ty. Frankie wziął miseczkę po płatkach i zaniósł ją do zlewu. Ja zabrałam się do czytania artykułu na pierwszej stronie.

SOLIDARNOŚĆ UCZNIÓW JAKO POKŁOSIE TRAGICZNEJ STRZELANINY

**Tekst: Angela Dash**

Dyrektor Jack Angerson twierdzi, że uczniowie liceum w Garvin, którzy w zeszłym tygodniu wrócili do nauki, wyraźnie zmienili poglądy na życie i sposób, w jaki odnoszą się do siebie.

-Jeśli ta tragedia ma jakiś wymiar, który można by nazwać choćby trochę pozytywnym, to ten, że uczniowie zrozumieli siebie nawzajem, a także stare powiedzenie „żyj i daj żyć innym”.

Według Angersona widok dawnych wrogów siedzących razem przy obiedzie nie należy obecnie do rzadkości.

Stare urazy idą w zapomnienie, a młodzi ludzie uczą się rozwiązywać swoje problemy w rozsądniejszy sposób.

— Sytuacja znacznie się uspokoiła — utrzymuje dyrektor. — Zmniejszyła się liczba skarg trafiających do gabinetu psychologa.

Także złe zachowanie na lekcjach to przeszłość, jak twierdzi Angerson, który przewiduje, że w przyszłości liczba problemów wychowawczych się zmniejszy.

— Sądzę, że uczniowie zaczynają rozumieć, iż wszyscy jesteśmy przyjaciółmi, a krytyka, nieżyczliwe opinie i powierzchowne oceny, tak popularne u dzieci w tym wieku, po prostu się nie oplacają. Niestety, musieli się o tym dowiedzieć w przykry sposób. To ich zmieniło. I dlatego uważam, że to pokolenie uczyni świat lepszym.

Uczniowie mogą już wrócić do szkoły, by ukończyć rok szkolny, choć Angerson przyznaje, że nauczyciele skupiają się teraz na tym, co nazywa

**„kontrolą szkód”. Władze zatrudniły zespół psychiatrów, którzy pomagają uczniom pogodzić się z tym, co zaszło drugiego maja.**

**Angerson utrzymuje także, że uczniowie nie musieli wracać do szkoły. Odwołano egzaminy końcowe, a nauczyciele przeszli na indywidualny tok nauczania, by każdy z podopiecznych liceum otrzymał potrzebne oceny.**

**— Niektórzy nasi pedagodzy prowadzą w swoich domach wieczorne grupowe zajęcia. Inni organizują je w bibliotece lub przez internet. Ale wielu uczniów wróciło — twierdzi dyrektor Angerson. — Daje się odczuć ich silną więź ze szkołą. Chcieli w ten sposób pokazać, że nie dadzą się zastraszyć. Szczerze mówiąc, podjęliśmy decyzję o kontynuowaniu lekcji właśnie na ich wniosek.**

**Angerson wyznaje, że podziwia swoich podopiecznych za lojalność wobec szkoły, i przewiduje, że w przyszłości mogą się stać wybitnymi przywódcami.**

**— Szczycę się, że to oni spowodują zmiany, które z pewnością kiedyś nastąpią w świecie — dodaje. — Jeśli kiedykolwiek zapanuje pokój, to właśnie dzięki tym dzieciom.**

Przemyciłam gazetę do gabinetu doktora Hielera, Ledwie zamknął drzwi, rzuciłam ją na stolik.

— Czy to znaczy, że jest bohaterem? — spytałam. Doktor Hieler zerknął na stronę z artykułem.

— Kto?

— Nick. Jeśli ci, którzy przeżyli, stali się silniejsi i docenili pokój, to czy to robi z niego bohatera? Stał się współczesną wersją Johna Lennona? Siewca pokoju z rewolwerem?

— Rozumiem, że łatwiej ci o nim tak myśleć, lecz, Valerie, on zabił wielu uczniów. Przypuszczam, że mało osób będzie go uważać za bohatera.

— Ale to nie fair! Szkoła funkcjonuje dalej, wszyscy akceptują wszystkich, nikt nikomu nie dokucza, a Nick nie żyje. No wiem, że się zabił, ale jednak... Dlaczego nie dostrzegli tego wcześniej? Czemu to musiało aż tyle kosztować? To niesprawiedliwe.

— W życiu nie ma sprawiedliwości. Sprawiedliwość znajdziesz w sądzie.

— Beznadzieja.

— Moje dzieci też tak mówią.

Spochmurniałam i wbiłam wzrok w gazetę. Słowa zlały mi się przed oczami.

— Pewnie uważa mnie pan za jakąś debilkę, bo dalej go podziwiam.

— Nie, ale nie sądzę, byś go naprawdę podziwiała. Myślę, że czujesz się wkurzona. Chciałabyś, aby twoi koledzy z liceum zmienili się wcześniej, bo wtedy może by do tego nie doszło. Myślę również, że tak naprawdę w to nie wierzysz.

Po raz pierwszy — ale na pewno nie ostatni — wyznałam mu wszystko. Wszystko. Od rozmowy na nieposłanym materacu o Hamlecie po pragnienie, żeby Christy Bruter cholernie pożałowała, że zniszczyła mi empetrójkę. Opowiedziałam o wyrzutach sumienia. Wszystko, czego nie potrafiłam powiedzieć temu policjantowi. Ani Stacey. Ani mamie.

Może chodziło o to, jak doktor Hieler na mnie patrzył. Jak jedyny człowiek na świecie, który potrafił zrozumieć, że wszystko wymknęło się spod kontroli. Może chodziło o to, że dojrzałam. A może o ten artykuł. Może moje ciało samo wybuchło, uwalniając napięcie, zanim mnie zniszczyło.

Stałam się wulkanem pytań, żalu i gniewu, a doktor Hieler wytrzymał napór tej nawałnicy. Przyglądał mi się uważnie, odzywał cicho, z rozwagą. Poważnie kiwał głową.

— Myśli pan, że bym to zrobiła?! — krzyknęłam w pewnym momencie. — Że gdybym miała broń, zastrzeliłabym Christy?! Bo kiedy Nick powiedział: „Skończmy to”, a ja sądziłam, że zamierza... no, nie wiem, upokorzyć ją, zabić czy coś... poczułam się fantastycznie. Jakby mi kamień spadł z serca. Chciałam, żeby się nią zajął.

— To naturalne, nie sądzisz? To, że się ucieszyłaś, że Nick się za tobą ujmie, nie znaczy, że wzięłabyś broń i ją zastrzeliła.

— Wkurzyłam się. Boże, jak ja się wkurzyłam. Zepsuła mi empetrójkę!

— To także naturalne. Też bym się wkurzył. Wkurzenie nie oznacza winy.

— Tak się ucieszyłam, że Nick stoi po mojej stronie, rozumie pan?

Doktor skinął głową.

— Myślałam, że chce ze mną zerwać, więc oszalałam z radości, że się za mną wstawi. To mi dodało sił. Myślałam, że wszystko się między nami ułoży. Zapomniałam o liście.

Znowu kiwnął głową, lekko zmrużonymi oczami przyglądając się, jak coraz bardziej się rozkręcam.

— Valerie, ty do niej nie strzeliłaś. Zrobił to Nick. Nie ty.

Odchyliłam się na oparcie i pociągnęłam łyk coli. Ktoś lekko zapukał do drzwi i sekretarka zajrzała do środka.

— Przyszedł pacjent na trzecią — powiedziała.

Doktor Hieler nie odwrócił ode mnie wzroku.

— Powiedz mu, że trochę się spóźnię — rzucił. Kobieta skinęła głową i zniknęła. Nagle dotarło do mnie, jaka cisza panuje w gabinecie. Usłyszałam stuknięcie drzwi w korytarzu i czyjś głos. Zawstydziałam się. Prawie nie wierzyłam, że tak się odsłoniłam. Chciałam się zapaść pod ziemię, nigdy więcej nie oglądać doktora Hielera, ukryć się w pokoju i poprosić koniki z tapety, żeby zabrały mnie gdzieś, gdzie nie będzie tak boleć.

Ale — uświadomiłam sobie ze zgrozą — to jeszcze nie był koniec. Musiałam porozmawiać o mroczniejszych, brzydszych sprawach. Sprawach, które dręczyły mnie w nocy i nie dawały mi spokoju, jak łaskotanie za uchem, swędzenie, od którego nie ma ucieczki.

— A jeśli wtedy nie traktowałam jej serio, ale teraz tak? — spytałam.

— Czego nie traktowałaś serio?

— Listy Do odstrzału. Może wtedy nie chciałam zabić tych osób, ale gdzieś... no nie wiem, w podświadomości... jednak chciałam. I może Nick to dostrzegł. Może wiedział o mnie coś, o czym nie miałam pojęcia. Może wszyscy to widzieli i dlatego tak mnie nienawidzili — bo udawałam. Rozpętałam to wszystko przez tę głupią listę, a Nick odwalił za mnie brudną robotę. No nie wiem, może jednak powinnam była ją potraktować serio. Może wtedy wszyscy by odetchnęli.

— Wątpię, żeby kolejne morderstwa poprawiły komuś humor, a już na pewno nie tobie.

— Tego się po mnie spodziewają.

— I co z tego? Kogo obchodzą cudze oczekiwania? A czego ty spodziewasz się po sobie? Tylko to się liczy.

— No właśnie, nie wiem, czego się po sobie spodziewać! Bo wszystkie moje nadzieje obróciły się w gówno. Ludzie są zawiedzeni, że nie umarłam. Rodzice Christy Bruter z całą pewnością uważają, że powinnam popełnić samobójstwo tak jak Nick. Żałują, że nie wycelował lepiej.

— To rodzice. Cierpią. Mimo to wątpię, aby ci życzyli śmierci.

— Ale może ja żałuję, że Christy nie zginęła. Może po cichu zawsze jej tego życzyłam.



— Val... — odezwał się doktor Hieler i jego wahanie powiedziało mi wszystko. „Jeśli nie przestaniesz tak mówić, nie pozostanie mi nic innego, niż zamknąć cię na oddziale doktora Dentleya”. Zagryzłam wargę. Po policzku potoczyła mi się łza i — nie po raz pierwszy — zatęskniłam za ramionami Nicka.

— Po prostu nawet teraz czuję się podle, bo chciałabym, żeby Nick tylko siedział w więzieniu. Mogłabym się z nim spotykać... — powiedziałam. Nagle przed oczami znowu stanęła mi ta scena: Nick trzymał mnie za nadgarstki, stojąc w swoim pokoju, i zapewniał, że możemy czasem wygrać. Pochylał się, żeby mnie pocałować. Usiadłam na kanapie, czując się bardziej samotna niż kiedykolwiek. Złodowaciałam jak nigdy. Nie sądziłam, że można tak zmarznąć. Jakby to wszystko, co mnie dotąd spotkało, bladło przy tym uczuciu. Nadal tęskniłam za Nickiem, choć wiedziałam, co zrobił. „Czasem i nam zdarza się wygrać” — powiedział i teraz, na myśl o tych słowach, znowu zaczęłam płakać — rozpacz

liwie, boleśnie. Doktor Hieler stanął obok mnie i położył mi rękę na plecach.

— Tak mi smutno bez niego — wyszlochałam, przyjmując podaną chusteczkę. — Tak mi smutno...

HLER

## **Część trzecia**

TLR

[„Sun-Tribune”, 3 maja 2008, tekst: Angela Dash]

**Max Hills (16 lat) zginął na miejscu.**

— Myślałam, że się przyjaźnią — wyznaje uczennica liceum. — Ale widziałam, że Nick chce zabić właśnie jego. Pochylił się, żeby zajrzeć po stół i upewnić się, do kogo strzela.

Hills, którego przyjaciele opisują jako cichego, dobrego z matematyki i nauk ścisłych, lecz niezbyt udzielającego się na innych polach, był często widywany z Levilem, zarówno w szkole, jak i poza nią. Wiele osób uważało ich za przyjaciół, stąd też budzi zdziwienie fakt, że Levil wybrał na swoją ofiarę Hillsa — jeśli to właśnie miało miejsce.

— Może wziął Maxa za kogoś innego — domyśla się Erica Fromman z czwartej klasy. — A może nie obchodziło go, czy się kumplują.

Niektórzy podejrzewają, że masakra mogła przebiegać w mniej planowy sposób, niż początkowo myślano, jednak Alaina Hills, matka ofiary, twierdzi, że morderca strzelił do jej syna z premedytacją.

— W lecie Max odmówił Nickowi pożyczania samochodu — powiedziała dziennikarzom. — Następnego dnia ktoś zbił mu reflektory na parkingu przed pracą. Max nie zdołał udowodnić, że to robota Nicka, ale oboje znali-

**śmy prawdę. Od tego czasu przestali się przyjaźnić. Nie zamienili ze sobą ani słowa. Max szalał z wściekłości. Kupił tę furgonetkę za własne pieniądze.**

Kiedy drugiego dnia wróciłam ze szkoły, poważnie wątpiłam, czy zdołam w niej wytrzymać. Przeniesienie pod koniec semestru? Czułam, że go nie doczekam.

Ginny Baker nie było — przynajmniej nie na zajęciach, w których brałam udział. A Tennille nie patrzyła mi w oczy. Nie siedziałam ze Stacey w czasie obiadu. Reszta w zasadzie nie zwracała na mnie uwagi, co mi nawet odpowiadało. Choć i bolało. Życie prawdziwego wyrzutka, pozbawionego towarzystwa nawet innych wyrzutków, to nie fajnego.

Powrót do domu był prawdziwą ulgą, choć mama ciągle usiłowała mi matkować, jakbym miała siedem lat. Pytała o pracę domową, nauczycieli i — przebój sezonu — o kolegów. Nadal sądziła, że ich mam. Wierzyła w to, co pisały gazety. Że wszyscy trzymamy się za ręce, rozmawiając o pokoju, miłości i akceptacji. W prasie czytałam, że w szkole panuje „niewiarygodna otwartość, zwłaszcza w kwestii wybaczenia”. Często się zastanawiałam, czy ta dziennikarka Angela Dash nie robi sobie jaj. Wszystko, co pisała, brzmiało jak kpina.

Jak zwykle po powrocie do domu wzięłam coś do jedzenia i poszłam do siebie. Zdjęłam buty, włączyłam stereo i usiadłam po turecku na łóżku.

Otworzyłam plecak, całkiem serio zamierzając zabrać się do odrabiania biologii, ale moja ręka jakoś sama sięgnęła po czarny zeszyt. Otworzyłam go. W

szkole narysowałam stojących na wuefie uczniów o twarzach z wielkimi rozdziawionymi ustami. Nauczyciel — senior Ruiz — gapił się na nich. Zamiast głowy miał biały, pusty owal. A pan Angerson, mój ulubieniec, przysiadł na dachu miniaturowego liceum. Bardzo przypominał Kurczaka Małego. Moja wersja naszego nowego, lepszego życia. „Dostrzegaj to, co istnieje naprawdę” — radził doktor Hieler.

Straciłam poczucie czasu, pracując nad szkicem przedstawiającym Stacey i Duce'a w stołówce — ich plecy stanowił ceglany mur — i gdy ktoś zapukał do drzwi, z zaskoczeniem przekonałam się, jak nisko nad horyzontem stoi słońce.

— Później, Frankie! — krzyknęłam. Musiałam pomyśleć, odetchnąć. Chciałam skończyć rysunek i zabrać się do biologii.

Pukanie się powtórzyło.

— Pracuję! — ryknęłam.

Po paru chwilach klamka drgnęła i drzwi lekko się uchyliły. Pomyślałam o sobie parę brzydkich rzeczy. Dlaczego nie zamknęłam ich\*na klucz?

— Powiedziałam, że... — zaczęłam i urwałam na widok Jessiki Campbell zagląającej do środka przez malutką szparkę.

— Przepraszam — szepnęła. — Wrócę później. Chodzi o to, że dzwoniłam parę razy i twoja mama powiedziała, że nie podejdziesz do telefonu.

Aaa, widać mama nadal starannie wybierała osoby, które mogły ze mną rozmawiać.

— I poradziła ci przyjść? — spytałam z niedowierzaniem. Mama wiedziała, kim jest Jessica Campbell. Cały wolny świat to wiedział. Wpuszczenie jej do domu wydawało się... w najlepszym razie ryzykowne.

— Nie, ja sama chciałam. — Jessica weszła i zamknęła za sobą drzwi. Stała w nogach mojego łóżka. — Twoja mama uprzedziła, że nie zechcesz się ze mną spotkać, ale musiałam spróbować, więc mnie wpuściła. Chyba nie za bardzo mnie lubi.

Zaśmiałam się cicho.

— Wierz mi, gdyby mogła mieć ciebie za córkę, z radości pewnie by wyskoczyła z majtek. To mnie nie lubi. Ale to nic nowego. — Dopiero po fakcie dotarło do mnie, że nie wypada się tak zwierzać osobie, której właściwie nie znam. — Co tu robisz? Ty też mnie nie lubisz.

Jessica poczerwieniała i przez chwilę myślałam, że się rozpłacze. I znowu z zaskoczeniem zauważyłam, jak bardzo nie przypomina dawnej siebie. Cały tupet zniknął, podobnie jak poczucie wyższości, a zamiast nich pojawiła się dziwna bezbronność, która tak bardzo nie pasowała do tej dziewczyny. Jessica poruszyła głowę, z wprawą zarzucając włosami, i usiadła na łóżku.

— Na czwartej lekcji siedzę ze Stacey — oznajmiła.

Wzruszyłam ramionami.

— I?

— I czasami o tobie rozmawiamy.

Poczułam żar na policzkach. W nodze odezwał się ból,

jak zawsze, kiedy się denerwuję. Doktor Hieler uznał, że prawdopodobnie zmyśliłam sobie ten ból, choć nie wyraził się w ten sposób. Zrobił to o wiele delikatniej, ale ja tak to zapamiętałam — wszystko sobie zmyśliłam. Dotknęłam wgłębienia w udzie, ścisnęłam je przez dżinsy.

Więc tak to wygląda — skoro wróciłam do szkoły, koledzy dołożą starań, bym wiedziała, że nie jestem tam mile widziana. Nie zamierzają już czekać, aż zjawię się na obiedzie albo przy szafkach, aby mi okazać nienawiść. Zapukają do moich drzwi. O to chodzi? Czy to właściwa kara?

— I przyszedł mi powiedzieć, że plotkujesz o mnie z moją byłą najlepszą przyjaciółką?

— Nie. — Jessica zmarszczyła czoło, jakby uważała, że wygaduję głupoty. Dobrze znałam tę minę, bo zwykle poprzedzała jakąś wredną uwagę. Przygotowałam się psychicznie, ale Jessica tylko westchnęła i spuściła wzrok. — Nie. Rozmawiam z nią o tym, jak Nick ci spaprał życie.

— Słucham?

Jessica odgarnęła grzywkę na bok i założyła ją za ucho.



— No tak. Niczemu nie zawiniłaś, ale on cię w to wciągnął. A kiedy dowiedziono twojej niewinności, nie przyznali tego głośno.

— Kto?

— No wiesz. Gazety. Telewizja. Mówili tylko o twojej winie i że policja dojdzie prawdy, ale kiedy cię uniewinniono, zapadła cisza. To niesprawiedliwie.

Przestałam miętosić nogę i znowu ujęłam ołówek. Coś tu się nie zgadzało. Jessica Campbell siedziała w moim pokoju i występowała w mojej obronie. Niemal bałam się w to uwierzyć.

Jessica zerknęła na leżący na moich kolanach zeszyt.

— Ludzie mówią, że układasz nową listę. To prawda? Ja też odruchowo zerknęłam na rysunki.

— Nie! — Automatycznie zamknęłam zeszyt i schowałam go za siebie. — To projekt. Szkice.

— Aha... Angerson coś ci o tym mówił?

— Niby dlaczego? — Ale obie znałyśmy odpowiedź, choć o niej nie wspomnialiśmy.

Jessica w milczeniu rozejrzała się po moim pokoju. Spojrzała na sterty ubrań na podłodze, brudne naczynia na komodzie, zdjęcie Nicka, które wypadło mi wczoraj z kieszeni dzinsów i którego nie chciało mi się podnieść i schować. Wydawało mi się, czy dłużej zatrzymała na nim wzrok?

— Fajnie tu — odezwała się, ale zabrzmiało to tak fałszywie, że nawet nie zadałam sobie trudu, by odpowiedzieć. A ona chyba przyjęła to z wdzięcznością.

— Muszę odrobić lekcje — powiedziałam — więc... Wstała.

— Jasne. Dobrze. — Znowu zarzuciła długimi jasnymi włosami. Zdaje się, że ten gest też znalazł się na liście. Usiłowałam o tym nie myśleć. — Słuchaj, przyszedłam tu bo... Rada ma taki projekt... dla upamiętnienia... na koniec roku. Może chciałabyś pracować nad nim z nami?

Zagryzłam wargę. Pracować nad projektem z Radą Uczniów? Coś mi tu śmierdziało. Wzruszyłam ramionami.

— Zastanowię się.

— Fajnie. W czwartek spotykamy się w gabinecie pani Stone. Wiesz, burza mózgów.

— I nikt nie będzie miał nic przeciwko? Nie trzeba tego przegłosować?

Teraz ona wzruszyła ramionami. Wyjrzała przez okno i coś w jej zachowaniu powiedziało mi, że to całkowicie zbędne.

— Chcę, żebyś z nami pracowała — oznajmiła, jakby to decydowało o wszystkim.

Skinęłam głową bez słowa. Jessica zatrzymała się na środku pokoju, zamyślona. Jakby nie mogła się zdecydować, czy odejść, czy zostać. Jakby nie była pewna, jak się tu znalazła.

— Ludzie twierdzą, że brałaś w tym udział. W planie Nicka — odezwała się bardzo cicho. — Wiedziałaś, co zamierzał?

Przełknęłam i też spojrzałam przez okno.

— Chyba nie. Nie sądziłam, że on to wszystko mówi poważnie. To pewnie brzmi głupio, ale tak wygląda prawda. Nick nie był złym człowiekiem.

Przez chwilę zastanawiała się nad moją odpowiedzią. Spojrzała tam gdzie ja i lekko skinęła głową.

— Uratowałaś mnie celowo? — spytała.

— Chyba nie — powtórzyłam i zaraz zmieniłam zdanie. — Na pewno nie.

Znowu skinęła głową. Pewnie się tego spodziewała. Wyszła równie cicho, jak przyszła.

Później, w gabinecie doktora Hielera, z opartą na kolanie puszką coli zreferowałam to niebywałe wydarzenie.

— Siedzenie z Jessicą Campbell na moim łóżku to coś bardzo dziwnego. Czulałam się jakaś naga czy coś. Jakby jej spojrzenie mnie zawstydzalo. I denerwowało.

Podrapał się za uchem z uśmiechem.

— To dobrze.

— Dobrze, że się zdenerwowałam?

— Dobrze, że sobie poradziłaś.

Czytaj: że jej nie wypędziłam.

Sama wyszła. A ja włączyłam stereo i wyciągnęłam się na łóżku. Odwróciłam się na bok i spojrzałam na koniki na tapecie. Wydało mi się, że jeden zadrzał. Im dłużej na niego patrzyłam, tym bardziej wyglądał, jakby chciał popędzić przed siebie.

TLR

[„Sun-Tribune”, 3 maja 2008, tekst: Angela Dash]

**Drugoklasistkę Katie Renfro (15 lat) kula dosięgła poza Sejmem.**

— Szła korytarzem po tym, jak opuściła mój gabinet — twierdzi Adriana Tate, szkolny doradca zawodowy. — Chyba nawet nie знаła Nicka Levila.

Renfro, której obrażenia nie zagrażają życiu, została trafiona zabłąkaną kulą, która odbiła się od szafek przy stołówce.

— Nie bolało tak bardzo — wyjaśnia sama poszkodowana. — Trochę jak użądlenie. Nawet nie zauważyłam, że coś się stało, dopóki nie wyszłam ze szkoły. Strażak powiedział, że po ręce spływa mi krew. Wtedy spanikowałam. Ale chyba głównie dlatego, że wszyscy panikowali.

**Rodzice postanowili przenieść ją do szkoły prywatnej.**

— Nie musieliśmy się długo zastanawiać — wyjaśnia Vic Renfro. — Zawsze trochę nas martwiło, że Katie chodzi do szkoły publicznej. To przeważało szalę.

— W takich placówkach nigdy nie wiadomo — dodaje poważnie matka, Kimber Renfro — z kim się uczy twoje dziecko. Tam przyjmują każde-

**go. Nawet młodzież z problemami psychicznymi. A nie chcemy, żeby nasza córka przebywała w takim towarzystwie.**

— Robi z tego takie wielkie halo — rzuciłam, krążąc po gabinecie doktora Hielera. Na ogół się tak nie zachowywałam. Oczywiście na ogół mama nie śledziła każdego mojego ruchu, z każdym dniem uważniej. Całkiem jakby coraz bardziej traciła do mnie zaufanie. Jakby się bała, że jeśli przestanie mnie obserwować choćby na sekundę, to od razu wplączę się w kolejną strzelaninę.

— A czy można się dziwić? — spytała mama. Pociągnęła nosem i dotknęła go zwiniętą w kłębek chusteczką, którą wyjęła z kieszeni płaszcza. — Z trudem uwierzyłam, że chce się spotykać z tymi ludźmi, a oni z nią. A teraz jeszcze projekt? Skupianie się na tym incydencie z pewnością nie wyjdzie jej na zdrowie. Powinna iść naprzód, prawda?

— Mamo, ostatni raz powtarzam, że nie chcę się z nimi spotykać. Przygotowuję projekt. To wszystko. Szkolny projekt. Myślałam, że chcesz, abym się w nie angażowała. To właśnie pójdzie naprzód.

Mama pokręciła głową.

— Dwa dni temu nie chciała nawet chodzić do szkoły. Teraz zapragnęła pracować nad projektem z tymi samymi osobami, które umieściła na tej swojej liście — zwróciła się do doktora Hielera. — To wygląda podejrzanie, nieprawda? Dla mnie to jakiś podstęp.

Tym razem to ja zwróciłam się do doktora Hielera.

— Mama nie rozmawiała z Jessicą, a ja tak. Jessica mówiła poważnie. To nie podstęp.

Doktor Hieler pokiwał głową, dotykając palcem wargi, ale nie odezwał się ani słowem.

Mama pokręciła głową, jakby tylko kretynka mogła uwierzyć Jessice Campbell. Jakby wszystko, w co wierzę, było bzdurą tylko dlatego, że kiedyś uwierzyłam Nickowi. W gabinecie zrobiło się cicho. Mama się we mnie wpatrywała.

— No co? — spytałam w końcu, trochę za głośno. — Dlaczego tak na mnie patrzysz? Ona nie robi mi krzywdy. Nie wrabia mnie, jasne? Tak trudno to zrozumieć? Nie oglądałaś telewizji? Nie widziałaś tych reportaży, jak to w szkole wszystko się zmieniło po strzelaninie? Ludzie są inni. Nie skrzywdzą mnie.

— Nie o ciebie się martwię — rzuciła mama ochryłym głosem. Patrzyła na mnie czerwonymi oczami. Znowu dotknęła nosa chusteczką.

Spojrzałam na doktora Hielera. Nadal siedział z palcem wskazującym na wardze. Nie odzywał się. Ani drgnął.

— A o co się martwisz? — dociekałam.

— Chcesz ich skrzywdzić? — spytała mama. — Dołączasz do nich, żeby skończyć to, co zaczął Nick?

Cofnęłam się, odwracając wzrok. Aż usiadłam na krze— śle. Te jej ryki, błagania, zakazy, chowanie gazet i ciągnięcie mnie do doktora Hielera... Nie chodziło wcale o chronienie mnie przed innymi uczniami. Broniła ich przede mną.

To ja krzywdziłam ich. To ja byłam czarnym charakterem. Cokolwiek bym powiedziała, nie zmienię tego, co myślała o mnie moja własna matka.

— Wcześniej nie uważałam — oznajmiła, zwracając się trochę do mnie, trochę do doktora Hielera. — I proszę, co się stało. Ludzie myślą, że jestem złą matką, i nie wiem, może mają rację. Matka powinna wiedzieć takie rzeczy. Matka nie może dać się tak zaskoczyć. Im bardziej pozwalam jej na swobodę... tym bardziej się boję, że będę miała na sumieniu więcej osób.

Wytarła nos. Doktor Hieler mówił do niej łagodnym, współczującym głosem, ale za bardzo zdrętwiałam, żeby go słuchać.

Odmieniłam mamę. Odmieniłam jej rolę jako rodzica. Jej obowiązki przestały wyglądać tak prosto jak w dniu, gdy się urodziłam. Teraz nie chodziło już o obronę mnie przed światem, lecz świata przede mną.

Jak mogła?



[„Sun-Tribune”, 3 maja 2008, tekst: Angela Dash]

**Chris Summers (16 lat) według relacji świadków zginął jak bohater.**

— **Usiłował usunąć wszystkich z drogi — twierdzi szesnastoletnia Anna Ellerton. — Pomagał ludziom wyjść na korytarz. Cały Chris, zawsze wszystko organizował.**

**Ellerton dodaje, że uciekający ze stołówki, spanikowani uczniowie odepchnęli Summersa, który w ten sposób stanął na drodze Levilowi.**

— **Nick zaśmiał mu się w twarz, spytał, kto jest teraz ważny, i zastrzelił go — opowiada dziewczyna. — Myślałam, że Chris nie żyje, więc pobiegłam przed siebie. Nie wiem, czy zginął na miejscu. Mam pewność tylko co do jednego: starał się pomóc. On tylko pomagał.**

Niemal zawróciłam. Przez długą wąską szybę w drzwiach sali zobaczyłam sporo osób siedzących na krzesłach ustawionych mniej więcej w kręgu. Jessica Campbell przemawiała do nich poważnie. Pani Stone, doradca Rady Uczniów, zajęła miejsce przy biurku z boku. Założyła nogę na nogę i kołysała zawieszonym na palcu pantofelkiem. To mi przypomniało zdjęcie, które zobaczyłam w

gazecie po strzelaninie — bucik na chodniku przed szkołą porzucony przez właścicielkę, przerażoną, raną lub martwą.

Czy to naprawdę niespełna rok temu siedzieliśmy w szkolnym audytorium, słuchając przemów kandydatów do Rady Uczniów? Czy tak niewiele czasu minęło od dnia, gdy Nick i ja weszliśmy do sali z naszymi klasami, a potem natchmiast odszukaliśmy się wzrokiem i przewróciliśmy oczami, kiedy kandydaci do Rady po kolei wchodzili na scenę?

— Na kogo głosowałeś? — spytałam go wieczorem. Nick leżał nagi do pasa w namiocie, który postawiliśmy na łące za jego domem. Przychodziliśmy tu co wieczór, odkąd zmieniła się pogoda. Uciekaliśmy przed ludźmi. Czytaliśmy sobie nawzajem i rozmawialiśmy o ważnych dla nas sprawach.

Nick włączył latarkę i skierował promień na sufit namiotu. Na płóciennej ścianie zatańczył cień wspinającego się pająka. Zastanowiłam się, co zrobi, gdy dotrze do celu. A może pająki tak właśnie spędzają życie — wiecznie dążą na szczyt, pochłonięte tylko tym jednym zadaniem.

— Na nikogo — burknął Nick. — A po co? Nie obchodzi mnie, kto wygra.

— Ja wpisałam Homera Simpsona — oznajmiłam. Oboje parsknęliśmy śmiechem. — Mam nadzieję, że nie wybiorą Jessiki Campbell.

— Wiesz, że wybiorą. — Nick wyłączył światło i nagle w namiocie zrobiło się ciemno. Nic nie widziałam. Czułam, że nie jestem sama, tylko dlatego że z ciała Nicka biło ciepło. Zmieniłam pozycję w śpiworze i podrapałam palcem stopy łydkę, pewna, że niewidoczny pająk z całą pewnością chodzi teraz po mnie, swojej następnej zdobyczy.

— Myślisz, że w ostatniej klasie będzie inaczej? — spytałam.

— Pytasz, czy jeśli wybierzemy Jessicę Campbell, przestanie nazywać cię Siostrą Śmierć, a Chris Summers się ode mnie odczepi? Nie.

Zamilkliśmy i słuchaliśmy rechotu żab w stawie po lewej.

— Chyba że to zmienimy — dodał Nick prawie szeptem.

Stojąc na korytarzu przed drzwiami Rady Uczniów, dostałam zawrotu głowy. Oparłam czoło o chłodną ceglana ścianę. Chciałam już tylko parę razy odechnąć i odejść. Nie wytrzymam tego. Wykluczone. Ludzie stracili życie i jeśli istnieje model sytuacji nie do naprawienia, to właśnie miałam go przed sobą.

Ktoś mnie chyba zauważył. Drzwi się otworzyły.

— Cześć — usłyszałam. — Dzięki, że przyszedłeś.

Podniosłam głowę. W progu stała Jessica. Gestem zaprosiła mnie do środka. Moje ciało zadziało automatycznie. Poszłam za nią.

Wszyscy na mnie spej rzeli. Powiedzieć, że nie każdy z sympatią, to mało. Nikt nie patrzył na mnie życzliwie. Nawet Jessica była oficjalna i rzeczowa, jakby eskortowała więźnia do celi śmierci.

Meghan Norris zmrużyła oczy i wydeła usta, niecierpliwie machając nogami. Wytrzymałam jej wzrok; wzruszyła ramionami i spojrzała przez okno.

— Dobrze — powiedziała Jessica, siadając. Zająłam miejsce obok niej, tułąc książki do piersi. Nadal nie dałabym głowy, czy nie zemdleję. Nabrałam powietrza, zatrzymałam je w płucach na dziesięć sekund i wypuściłam powoli,

jak najciszej. — Dobrze — powtórzyła. Przejrzała parę kartek, bardzo oficjalnie. — Rozmawiałam z panem Angersonem i z całą pewnością możemy rozporządzać terenem na północnym skraju dziedzińca, tuż przy drzwiach stołówki. Pozwolił nam tam postawić, co chcemy, o ile Rada Rodziców i Nauczycieli wyrazi zgodę, którą mamy właściwie w kieszeni.

— Na stałe? — spytał Micky Randolph.

Jessica skinęła głową.

— Tak, podczas rozdania dyplomów zrobimy ceremonię przecięcia wstęgi.

— Na przykład pomnik — odezwał się Josh.

— Tak, albo drzewo — dodała Meghan z ożywieniem. Zapomniała, przynajmniej na chwilę, że zanieczyszczam jej prywatną przestrzeń.

— Pomnik może kosztować — zauważyła pani Stone. — Skąd weźmiemy na to pieniądze?

Jessica znowu przejrzała dokumenty.

— Rada Rodziców i Nauczycieli zorganizuje jakąś kwotę. I mamy nasze konto. Sprzedajemy... pączki... — Po tych słowach zapadło krepujące milczenie. Pączków nie sprzedawano od drugiego maja. Zajmująca się tym Abby Dempsey, najlepsza przyjaciółka Jessiki, zginęła podczas strzelaniny. Po chwili Jessica odkaszlnęła. — Abby chciałaby, żebyśmy przeznaczili pieniądze właśnie na to — powiedziała. Czułam na sobie spojrzenia, ale nie podniosłam głowy. Poruszyłam się na krześle, znowu zaczerpnęłam powietrza, zatrzymałam je w płucach, wypuściłam.

— Zorganizujemy następną zbiórkę pieniędzy — odezwała się Rachel Man-  
nę. — Możemy sprzedawać lizaki i wysyłać je jako czekoladowe telegramy.

— Dobry pomysł. — Jessica zapisała coś na kartce. — Możemy też zorga-  
nizować imprezę połączoną ze sprzedażą lodów.

— Świetnie — odezwała się pani Stone. — Poproszę pana Hudspetha, żeby  
kółko teatralne przygotowało program rozrywkowy.

— No! I chór też mógłby coś zaśpiewać — dodał ktoś. Pomysły padały je-  
den po drugim. Na szczęście w ogólnym rozgardiaszu zapomniano o mnie.

— Czyli postanowione — oznajmiła Jessica, zamykając zeszyt i odkładając  
ołówkę. — Impreza z lodami i występami. Teraz musimy tylko zdecydować, jak  
powinno wyglądać to, co postawimy na dziedzińcu. Jakieś pomysły? — Założy-  
ła ręce na piersi. Wszyscy zamilkli.

— Kapsuła czasu — mruknęłam. Jessica spojrzała na mnie.

— Jak to?

— Moglibyśmy zrobić kapsułę czasu. Oznaczyć miejsce tablicą czy czymś i  
zaznaczyć, żeby nie ruszać niczego przez, powiedzmy, pięćdziesiąt lat. Wtedy  
ludzie mogliby zobaczyć, że ta klasa wyróżniała się nie tylko... no... nie tylko  
tym.

W sali zapadło milczenie.

— Moglibyśmy postawić obok jakąś ławkę — dodałam. — I umieścić na-  
zwiska... — Nagle straciłam głos.

— Ofiar — dokończył Josh dość opryskliwie. — To zamierzałaś powiedzieć, tak? Na ławce trzeba wyryć nazwiska ofiar. Albo na tablicy.

— Wszystkich, czy tylko tych, którzy umarli? — spytała Meghan.

Powietrze zrobiło się ciężkie. Spuściłam oczy. Nie chciałam wiedzieć, na kogo patrzą. I tak się domyślałam.

— Wszystkich — zdecydował Josh. — Nazwisko Ginny Baker na pewno, nie sądzicie?

— To właściwie nie jest pomnik — powiedziała pani Stone i wszyscy znowu zaczęli mówić jednocześnie.

— Ale twarz Ginny...

— ...to nie musi być pomnik, a może...

— ...nazwiska wszystkich, całej klasy...

— To super...

— Bo każdy to jakoś odczuł...

— ...może dotyczyć utraty życia, ale także innych spraw, na przykład...

— ...ale nie tylko nasza klasa. Zginęło też paru pierwszaków...

— ...nie stać nas na uwiecznienie całej szkoły...

— No, to tylko ci, którzy zginęli — zaproponowała Jessica.

— Nie wszyscy — rzucił Josh głosem, którzy przebił się przez gwar. — Nie wszyscy — powtórzył. — Nie Nick Levil. Nie zgadzam się.

— On także stracił życie — szepnęła pani Stone. — Jeśli chcecie zapisać nazwiska tych, którzy zginęli, trzeba uwzględnić i jego.

Josh pokręcił głową. Twarz mu poczerwieniała.

— Uważam, że to nie fair.

— Ja też — rzuciłam, zanim uświadomiłam sobie, co robię. — To nie fair wobec pozostałych. — Omal nie jęknęłam, kiedy zrozumiałam, co zrobiłam. Nick był dla mnie wszystkim. Wciąż nie widziałam w nim potwora, mimo tego, jak postąpił. Nadal też nie czułam się niewinna. Ale właśnie go przekreśliłam... I po co? Żeby zrobić przyjemność Radzie Uczniów? Żeby się przypodobać tym ludziom, którzy parę miesięcy temu mieli ubaw, gdy Chris Summers ośmieszał Nicka, gdy Christy Bruter nazywała mnie Siostrą Śmierć? Żeby dobrze wypaść przed Jessicą Campbell, która być może nadal mnie nienawidziła? I czy naprawdę w to wierzyłam? Czy jakaś nieznana mi strona mojego charakteru nagle się ujawniła, wypowiadając moją obawę, że Nick i ja nie jesteśmy ofiarami, tylko katami?

Coś się we mnie zmieniło tak gwałtownie, że odczułam to prawie fizycznie. Niemal widziałam, jak rozdzielałam się na dwie osoby: Valerie sprzed strzelaniny i po niej. Te dwie osoby nie pasowały do siebie.

Nagle zrozumiałam, że nie wytrzymam tam dłużej, sprzymierzona z nimi przeciwko Nickowi.

— Muszę iść — powiedziałam. — Eee... mama na mnie czeka.

Chwyciłam książki i rzuciłam się do drzwi, dziękując Bogu, że wcześniej zadzwoniłam do mamy i poprosiłam, żeby przyjechała o normalnej porze, na

wypadek gdybym stchórzyła. Choć raz sprawiło mi radość to, że mi nie ufa, bo wiedziałam, że czeka przed szkołą, skubiąc paznokcie i wpatrując się z niepokojem w okna budynku.

Nie ośmieliłam się o tym myśleć, dopóki nie usiadłam w samochodzie. Nie zwolniłam kroku aż do chwili, gdy osunęłam się na przednie siedzenie i zatrzasnęłam drzwi, odgradzając się od świata.

— Jedź — rzuciłam. — Wracajmy do domu.

— Co się stało? — spytała nerwowo mama. — No co? Valerie, mów!

— Zebranie skończone — mruknęłam, zamykając oczy. — No jedź.

— Ale dlaczego ta dziewczyna wybiegła ze szkoły? O Boże, Valerie, dlaczego ona biegnie?

Otworzyłam oczy i wyjrzałam. Jessica zbliżała się do nas truchtem.

— Jedź! — krzyknęłam. — Mamo, proszę!

Mama w końcu dodała gazu, może zbyt gwałtownie, bo ruszyliśmy z piśkiem opon. Sylwetka stojącej na chodniku Jessiki malała we wstecznym lusterku.

— Boże, Valerie, co się stało? Czy coś się stało? Boże, powiedz mi, że nic się nie stało. Valerie, nie wytrzymam, jeśli coś się stało.

Nie zwracałam na nią uwagi. Dopiero kiedy poczułam jakieś łaskotanie na brodzie i dotknęłam jej dłonią, uświadomiłam sobie, że nie ignoruję mamy. Nie odpowiadałam, bo zanosłam się płaczem.



Parę minut później skręciłyśmy w nasz podjazd. Mama zatrzymała się, a gdy czekała, aż drzwi garażu się podniosą, prysnęłam z samochodu. Dotarłam do połowy schodów, kiedy usłyszałam dobiegające z kuchni ostre słowa:

— Proszę z doktorem Hielarem! Pewnie, że pilna, do cholery!

HLR

[„Sun-Tribune”, 3 maja 2008, tekst: Angela Dash]

Lin Yong (16 lat) otrzymała postrzał w przedramię; kula zdruzgotała jej przegub i przerwała nerwy na dużej przestrzeni.

— Gdy widzę, co jej zrobił, serce mi pęka — mówi Sherilyn Yong, poproszona o opisanie obrażeń córki. — Cieszę się, że Lin żyje, ale pocisk nieodwracalnie uszkodził jej rękę. Była znaną w całym stanie skrzypaczką. Teraz nie ma mowy o dalszym graniu. Jej palce utraciły sprawność. Kariera Lin dobiegła końca.

Po czterech operacjach Yong nadal ma ograniczoną zdolność poruszania kciukiem i palcem środkowym.

— W dodatku to prawa ręka — zwierza się Yong. — Dlatego mam kłopoty z pisaniem. Uczę się to robić lewą ręką. Moja przyjaciółka Abby zginęła, więc nie użalam się nad sobą. On z pewnością chciał zabić i mnie.

Po zebraniu Rady Uczniów mama wymogła na sekretarce doktora Hielera, żeby wcisnęła nas w grafik.

— Podobno opuściłaś zebranie Rady wzburzona — odezwał się doktor Hie-ler, gdy usiadłam na kanapie. Wydawało mi się, że słyszę w jego głosie nutkę rozdrażnienia. Może miał się przeze mnie spóźnić do domu. Może jego żona zrobiła kolację, a dzieci odrabiały lekcje przed kominkiem, czekając, aż tata wróci, żeby się z nimi pobawić w kowbojów i Indian. Tak zawsze wyobrażałam sobie życie prywatne doktora: jak telewizyjny ideał z lat pięćdziesiątych — cierpliwa, kochająca rodzina bez własnych problemów.

Skinęłam głową.

— Tak, ale to nie żaden kryzys.

— Na pewno? Mama twierdzi, że ktoś za tobą wybiegł. Coś się stało?

Zastanowiłam się. Czy powinnam potwierdzić? Powiedzieć, że publicznie wyparłam się Nicka, że wreszcie przyznałam, iż był zły? Czy powinnam wyznać, że czułam z tego powodu cholerne wyrzuty sumienia? Ze ugięłam się pod presją moich popularnych kolegów i że mi z tego powodu wstyd?

— E tam — rzuciłam, siląc się na nonszalancję. — Nie zauważyłam, że upadł mi kalkulator. Ta dziewczyna chciała mi go oddać. Odbiorę go na lekcji. Nic takiego. Mama dostała paranoi.

Skłonił głowę w taki sposób, że zrozumiałam, iż nie uwierzył w ani jedno moje słowo.

- Kalkulator?

Przytaknęłam.

— I płakałaś z jego powodu?

Znowu potwierdziłam ze wzrokiem wbitym w podłogę. Zagryzłam dolną wargę, żeby nie zauważył jej drżenia.

— Musiał być fajny. Pewnie bardzo drogi. — Kiedy nie odpowiedziałam, dodał niespiesznie, cichym, odmierzonym głosem: — Na pewno zrobiło ci się bardzo smutno z powodu utraty takiego kalkulatora. Może pomyślałaś, że powinnaś się nim lepiej opiekować.

Zerknęłam na niego. Przyglądał mi się z nieprzeniknioną twarzą.

— Coś w tym stylu — mruknęłam.

Skinał głową i poruszył się w fotelu.

— Zapomnienie kalkulatora nie robi z ciebie złego człowieka. A jeśli w końcu go nie znajdziesz i trzeba będzie kupić nowy... to trudno, tego towaru nie brakuje.

Mocniej zagryzłam wargę i przytaknęłam.

Parę dni później zjawiłam się w sekretariacie, żeby usprawiedliwić spóźnienie. Pani Tate stała akurat przy kserokopiarce. Chciałam się wymknąć, ale sekretarka, która ma donośny głos, prawie ryknęła:

— Masz zwolnienie lekarskie, Valerie?!

Tate odwróciła się i spojrzała na mnie.

Skinęła głową i poszłyśmy do jej gabinetu, ja z różową kartką usprawiedliwienia.

Pani Tate zamknęła drzwi. Jej pokój wyglądał, jakby w nim niedawno posprzątano. Sterty książek nadal poniewierały się na podłodze, ale przesunięto je na środek. Papierki po hamburgerach zniknęły z biurka, kołysząca się szafka katalogowa została zastąpiona nową, lśniącą i czarną. Stały na niej wszystkie zdjęcia, dzięki czemu biurko wyglądało na puste i uporządkowane, choć nadal ugięło się pod dziesiątkami chaotycznie rozrzuconych kartek.

Usiadłam na krześle, a pani Tate przycupnęła na rogu biurka. Palcem o wypielegnowanym paznokciu wsunęła w kok niesforne pasmo włosów i uśmiechnęła się do mnie.

— Jak sobie radzisz? — spytała łagodnie, jakbym miała się rozpaść od głośniejszego tonu. Wolałabym, żeby sekretarka mówiła tak jak ona, a ona — normalnym głosem.

— Chyba w porządku — powiedziałam. Pokazałam jej różowy karteluszek. — Wracam od doktora.

Zerknęła na moje udo.

— Jak twoja noga?

— Nieźle.

— Świetnie. Spotkałaś się ostatnio z doktorem Hielerem?

— Parę dni temu. Po zebraniu Rady.

— Dobrze, dobrze. — Pani Tate pokiwała głową ze współczuciem. — Słyszałam, że to znakomity specjalista. Bardzo kompetentny.

Przytaknęłam. Kiedy zastanawiałam się nad chwilami, w których czułam się najbardziej doceniona i bezpieczna, zwykle na myśl przychodził mi doktor Hieler.

Pani Tate wstała i obeszła biurko. Usiadła na krześle, które lekko skrzypnęło pod jej ciężarem.

— Chciałabym z tobą porozmawiać o obiedzie.

Westchnęłam. Duża przerwa nadal nie należała do moich ulubionych chwil dnia. Myśl o stołówce budziła we mnie dreszcz, bo wciąż się tam mijałam ze Stacey, która siadała z moją dawną paczką, udając, że mnie nie zna, a ja wychodziłam na korytarz i zachowywałam się tak, jakbym niczego bardziej nie pragnęła, niż samotnie zjeść posiłek na podłodze koło łazienki chłopców.

— Codziennie widzę cię na korytarzu — zaczęła pani Tate, jakby czytała w moich myślach. — Dlaczego nie jesz w stołówce?

Pochyliła się, opierając łokcie na biurku i składając dłonie jak do modlitwy.

— Wczoraj przyszła do mnie Jessica Campbell. Powiedziała, że zaprosiła cię do swojego stolika, ale odmówiłaś. Czy to prawda?

— Tak. To było jakiś czas temu. Nie chciałam jej urazić ani nic. Po prostu... pracowałam nad rysunkiem. — Odruchowo pogładziłam okładkę czarnego notesu.

— Nie uczysz się rysunku.

— To prywatny projekt. Chodzę na kółko plastyczne w domu kultury — skłamałam. Pani Tate nie dała się nabrać, ale mnie to nie obeszło. — Naprawdę,

nie mam nic przeciwko Jessice, po prostu nie szukam towarzystwa. Poza tym bardzo wątpię, żeby jej paczka chciała ze mną rozmawiać. Przy tym stole siedzi Ginny Baker, która nie może znieść mojego widoku.

— Ginny Baker odeszła na jakiś czas ze szkoły.

Nie wiedziałam. Oblał mnie pałący rumieniec. Otworzyłam usta i znowu je zamknęłam.

— Nie przez ciebie, jeśli tak pomyślałaś. Ginny musi sobie poradzić z wielką traumą i od czasu incydentu toczyła ze sobą walkę. Uzgodniła to z nauczycielami, którzy nie mają nic przeciwko, żeby przez jakiś czas uczyła się w domu. Jessica chyba szczerze wyciąga do ciebie rękę. Nie powinnaś przed tym uciekać.

— Nie uciekam. Poszłam na zebranie Rady. Ale... — Pani Tate spojrzała na mnie badawczo, zakładając ręce na piersi. Westchnęłam. — Zastanowię się — oznajmiłam, myśląc: „Prędzej umrę, niż z nimi usiądę”. Wstałam i mocniej chwyciłam książki.

Pani Tate patrzyła na mnie jeszcze przez chwilę, a potem także się podniosła.

— Słuchaj, Valerie — zaczęła, obciągając zakiet, obcisły i chyba niewygodny. — Nie chciałam tego, ale nie wolno już jeść poza stołówką. Pan Angerson zakazał wszelkich indywidualnych działań.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że jeśli ktoś zobaczy cię na korytarzu bez zezwolenia, zostaniesz zatrzymana po lekcjach.

Odjęło mi mowę. „Zrobiliście ze szkoły więzienie?! — chciałam krzyknąć. — Nauczyciele to teraz klawisze?!”. Ale ona pewnie by odpowiedziała: „Jak zawsze”, więc dałam spokój.

— Jak pani chce — mruknęłam i ruszyłam do drzwi.

— Valerie... — Lekko dotknęła mojego łokcia. — Daj im szansę. Jessica bardzo się stara, żeby się udało.

— Żeby co się udało? — rzuciłam. — Stałam się klasowym projektem czy co? Jaja sobie ze mnie robicie? Dlaczego ona nie da mi spokoju? Przedtem mieli mnie gdzieś.

Pani Tate wzruszyła ramionami z uśmiechem.

— Moim zdaniem chce się zaprzyjaźnić.

Na usta cisnęło mi się: „Ale dlaczego? Dlaczego Jessica Campbell raptem chce zostać moją przyjaciółką? Czemu nagle stała się taka miła?”.

— Nie potrzebuję przyjaciół — palnęłam. Pani Tate spojrzała na mnie ze zdziwieniem, lekko marszcząc brwi i zaciskając usta. Westchnęłam. — Chcę tylko odrabiać lekcje i skończyć szkołę — dodałam. — Doktor Hieler uważa, że powinnam się na tym skupić. Na uporządkowaniu swoich spraw.

To ostatnie zmyśliłam. Doktor Hieler nigdy nie dawał mi takich durnych poleceń. Większość czasu poświęcał na wybijanie mi z głowy samobójstwa.



Pani Tate nie odpowiedziała, więc uznałam naszą rozmowę za zakończoną. Wyszłam — z obolałą po porannym badaniu nogą, z usprawiedliwieniem w dłoni, myśląc tylko o tym, jak się dziś wykręcę od pójścia na obiad.

TLR

[„Sun-Tribune”, 3 maja 2008, tekst: Angela Dash]

Amanda Kinney (67 lat), od dwudziestu trzech lat pracująca w liceum jako sprzątaczką, została drażnięta w kolano zabłąkaną kulą, gdy wpuszczała uczniów do pobliskiego składziku.

— Był już otwarty, bo akurat wymieniałam worki w koszach na śmieci — relacjonuje, siedząc z grubo obandażowaną i opartą na poduszkach nogą. — Zapędzałam do niego dzieci, aż całkiem się wypełnił, a wtedy zamknęłam drzwi. On nawet nas nie zauważył. Nie wiedziałam, że coś mi się stało, dopóki pewien uczeń nie powiedział, że mam zakrwawione spodnie. Dopiero wtedy dostrzegłam, że nogawka jest lekko rozdarta i ocieka krwią.

Kinney, która przyjaźniła się z wieloma uczniami, dobrze знаła Levila.

— Mieszkał parę ulic ode mnie, więc kojarzyłam go od zawsze. Wydawał mi się bardzo miłym chłopcem. Czasami na coś zagniewanym, ale miłym. Jego mama także zrobiła na mnie dobre wrażenie. Teraz pewnie szaleje z rozpaczy.

— Przepraszam za spóźnienie — rzuciłam, padając na sofę. Sięgnęłam po colę, którą doktor Hieler jak zawsze postawił dla mnie na stoliku. — Zatrzymali mnie po lekcjach, a nauczyciel się rozgadał i stracił poczucie czasu.

— Nie szkodzi — powiedział doktor Hieler. — I tak musiałem nadgonić papierkową robotę.

Mimo to zauważyłam, że dyskretnie zerka na zegar. Może wybierał się na mecz syna. Albo gimnastyczne zawody córki. Albo na obiad z żoną.

— Dlaczego kazali ci zostać?

Przewróciłam oczami.

— Przez obiad. Nie jem w stołówce, jak tego wymagają. Dlatego codziennie zostaję po lekcjach, a w piątek Angerson polecił mi przyjść do szkoły w sobotę. Myśli, że w ten sposób mnie złamie. Ale to mu się nie uda. Nie chcę tam jeść.

— Czemu?

— A z kim mam usiąść? Jeśli podejść do pierwszej lepszej osoby i spytam: „Mogę się przysiąść?”, to nie usłyszę: „Jasne, spoko!”. Dawni przyjaciele mnie nie chcą.

— A ta dziewczyna z Rady Uczniów?

— Przyjaciele Jessiki nie byli i nie są moimi przyjaciółmi. Dlatego Nick i ja umieściliśmy ich na liście... — Urwałam gwałtownie, zaskoczona, że omal nie wspomniałam o liście Do odstrzału. Pospiesznie spróbowałam to zatupać, zaga-

dać. — Angerson ma świra na punkcie szkolnej solidarności, bo dzięki temu dobrze wypada w telewizji. To jego problem, nie mój.

— Nie wydaje mi się. Soboty nie powinno się spędzać w szkole, nie sądzisz?

Dałabym głowę, że znowu zerknął na zegar.

— Nieważne. Zwisa mi.

— Może obchodzi cię to bardziej, niż chciałabyś przy— znać. Co by się stało, gdybyś raz spróbowała?

Nie znalazłam na to odpowiedzi.

Po zakończeniu sesji nie zastałam mamy w poczekalni. Zostawiła na drzwiach gabinetu karteczkę, że musiała wyjść w ważnej sprawie i że zaraz wraca, żebym poczekała na nią na parkingu. Dopadłam wiadomości, zerwałam ją i schowałam do kieszeni. Gdyby doktor ją dostrzegł, czułby się zobowiązany zostać dłużej, a ja miałabym jeszcze większe wyrzuty sumienia.

Poza tym nie chciałam słuchać gadania.

Wyszłam z budynku i przez chwilę stałam, zastanawiając się, co ze sobą zrobić. Nie mogłam się rzucać w oczy, bo doktor Hieler by mnie zauważył. Chciałam przemknąć za biegnącym wzdłuż budynku żywopłotem, ale nie wiedziałam, czy dam radę z moją nogą. Poza tym w krzakach kryło się jakieś stworzenie. Słyszałam szelest liści i widziałam drzenie gałązek.

Włożyłam ręce w kieszenie i ruszyłam przez parking, kopiąc kamyczki. Wkrótce dotarłam do chodnika. Zatrzymałam się i powiodłam wzrokiem doko-

ła. Albo żywoplot, albo osiedle biurowców po drugiej stronie autostrady. Albo też ponowne spotkanie z psychiatrą i przymusowy powrót do gabinetu, wielkie dzięki. Wyjęłam ręce z kieszeni i czekałam przy przejściu na lukę między samochodami. Może znajdę auto mamy przed centrum handlowym po drugiej stronie jezdnii? W końcu zrobiło się luźniej i trochę pobiegłam, trochę pokuściłam przed siebie.

Obeszłam parking dwa razy, jednak nie zauważyłam samochodu mamy. Nie było go także przed gabinetem doktora Hielera, co mogłam stwierdzić, nie ruszając się spod sklepu. Zaczęło mnie męczyć pragnienie.

Powlokłam się do centrum handlowego i łąziłam po nim tak długo, aż znalazłam kran z wodą pitną. Przystanęłam przy kiosku i przejrzałam parę gazet. Przeszłam wzdłuż straganu ze słodyczami. Szkoda, że nie miałam pieniędzy na czekoladowy batonik. Wkrótce znowu zaczęłam się nudzić.

Wyszłam na dwór, wspierałam się na palce i wyciągnęłam szyję, żeby zobaczyć parking przed gabinetem. Nie zauważyłam samochodu mamy ani doktora. Westchnęłam i usiadłam na krawężniku, opierając się o wystawę sklepową, ale po chwili przegonił mnie stamtąd kierownik. Powiedział, że klienci nie lubią bezdomnych. Denerwują ich.

— Tu nie pomoc społeczna — dodał.

Odeszłam więc kawałek dalej w poszukiwaniu wygodnego miejsca.

W sklepie z komórkami kłębił się tłum. Podobnie u fryzjera, do którego chodziłam w dzieciństwie z mamą. Spojrzałam przez szybę wystawy na płaczącą dziewczynkę, którą matka trzymała za głowę, żeby fryzjerka mogła obciąć

jasne dziecięce loczki. Zerknęłam też do sklepu z telefonami, w którym wszyscy włącznie ze sprzedawcami wyglądali na wkurzonych.

Wkrótce dotarłam do końca deptaka i już miałam zawrócić, kiedy zauważyłam otwierające się drzwi. Wyłoniła się zza nich kobieta o gigantycznym biuście, w dzinsowym fartuchu ozdobionym farbą do materiałów i sztucznymi brylancikami. Wytrzepała szmatę, z której w powietrze wzbila się chmura brokatu, spowijając ją niczym wróżkę z Kopciuszka.

Kobieta poczuła na sobie mój wzrok i uśmiechnęła się do mnie.

— Czasem coś się rozlewa — rzuciła wesoło i zniknęła za progiem razem z migoczącą szmatą.

Przyznaję, że to mnie zaciekało. Chciałam się dowiedzieć, co też mogło się rozlać w tak piękny sposób. Na ogół szmaty są obrzydliwe i nie sypie się z nich bajkowy pył.

Ledwie zamknęłam drzwi, poczułam, że zostawiam za nimi cały świat. W ciasnym, ciemnym, zatłoczonym wnętrzu pachniało jak w kościele w Wielkanoc. Pod obiema ścianami ciągnęły się rzędy sięgających sufitu półek, niemal chwiejących się pod ciężarem gipsowych popiersi, ceramicznych mis, drewnianych kufków, koszy, garnków, pudeł o interesujących kształtach. Wędrowałam przed siebie i czułam się malutka jak krasnoludek.

Na końcu regału otworzyła się przede mną przestrzeń. Zaparło mi dech w piersiach. Wszędzie stały sztalugi, co najmniej tuzin, a przy wychodzącym na wschód oknie ustawiono długi, przykryty gazetami stół. Otaczały go kosze i pudła z farbami, szmatkami, wstążkami, bryłami gliny, piórami.

Kobieta w dzinsowym fartuchu siedziała na stołeczku przed sztalugą, malując na płótnie szerokie fioletowe pasy.

— Poranne słońce budzi natchnienie, nie sądzisz? — rzuciła, nie odwracając się.

Nie odpowiedziałam.

— Oczywiście o tej porze wszyscy ludzie w tym spożywcza-ku też widzą piękne światło. Ale ja... — uniosła pędzel i dziabnęła nim powietrze — ...mam najbardziej inspirujące. Niech inni sobie oglądają zachody słońca. Jednak to wschód zwraca największą uwagę. Jak każde odrodzenie.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nawet nie miałam pewności, czy kobieta zwraca się do mnie. Nadal siedziała odwrócona plecami, w skupieniu pracując nad obrazem. Może mówiła do siebie.

Stałam jak skamieniała, zastanawiając się, na co najpierw spojrzeć. Chciałam wszystkiego dotknąć — przesunąć palcami po gipsowych wazonach, powąchać pudełka, wbić palce w glinę. I bałam się, że jeśli drgnę, jeśli choćby poruszę wargami, zapomnę o całym świecie i na zawsze zgubię się w tym labiryncie niestworzenia.

Kobieta dodała parę muśnięć fioletu w rogach płótna, wstała i odeszła parę kroków, by z pewnej odległości ocenić swoje dzieło.

— No! Idealnie. — Odłożyła paletę na stół i umieściła na niej pędzel. W końcu się do mnie odwróciła.

— Jak sądzisz? — spytała. — Za dużo fioletu? — Znowu spojrzała na obraz. — Nigdy za dużo — mruknęła. — Świat potrzebuje go więcej. Coraz więcej.

— Lubię fiolet — powiedziałam.

Kobieta dwukrotnie klasnęła.

— No, to przesądza sprawę! Herbaty? — Zniknęła za kasą. Po chwili rozległ się szcęk porcelany. — Jaką pijesz? — dobiegł mnie jej stłumiony głos.

— Eee... — Przystąpiłam z nogi na nogę. — Nie... nie mogę... Muszę wracać. Mama...

Głowa kobiety wyłoniła się zza kasy; lok srebrnobrazo— wych włosów sterczał jej nad czołem.

— Och! A miałam nadzieję na towarzystwo. Po wyjściu klasy czuję się tak samotnie. Za cicho tu. Dla myszek to dobrze, ale dla Bei, czyli mnie, nie. — Pociągnęła łyk z malutkiej filiżanki w króliczki, pewnie z serwisu dla lalek. Pijąc, uniosła mały palec.

— Pani tu uczy? — spytałam.

— O, tak. — Wyszła zza lady i ukłoniła się teatralnie. — Uczę. Wielu rzeczy. Garncarstwa, malarstwa, makramy, czego tylko zechcesz. Potrafię wszystko.

Lekko odchyliłam się w lewo i zanurzyłam palec w kubelku drewnianych paciorków.



— Czy na te lekcje może przyjść każdy?

Zmarszczyła brwi.

— Nie — odpowiedziała, patrząc na moją rękę. Wyszarpnęłam ją gwałtownie; dwa koraliki wypadły i parę razy podskoczyły na podłodze. Kobieta uśmiechnęła się, widząc mój rumieniec, jakby rozczulało ją to zawstydzenie. — O nie, nie uczę byle kogo. Niektórzy uczą mnie.

Miałam już wyjść, kiedy chwyciła moją dłoń i odwróciła ją wnętrzem do góry. Przyjrzała się jej, unosząc podkreślone ołówkiem brwi tak wysoko, że znikły w gęstwinie włosów.

— Och! — zawołała. — Och!

Usiłowałam cofnąć rękę, ale bez przekonania. Czułam się dziwnie, jednak byłam ciekawa, co znaczą te ochy.

— Powinnam już iść — wymamrotałam, lecz jakby nie usłyszała.

— Coś takiego! Wszędzie rozpoznam malarkę. A ty nią jesteś, tak? Oczywiście, że tak. Lubisz fiolet! — Odwróciła się i pociągnęła mnie za sobą, mocniej ściskając moją dłoń. Zaprowadziła mnie do obrazu, nad którym pracowała. Wolną ręką podniosła paletę z pędzlem.

— Siadaj — rozkazała.

— Naprawdę, powinnam już...

— No siadaj! Stołek nie lubi czekać.

Usiadłam.

Podziała mi pędzel.

— Maluj. Śmiało.

Zrobiłam wielkie oczy.

— Na tym? Na pani płótnie?

— Płótno sprzedaje się w sklepie z tkaninami. To jest obraz. No, maluj. — Popatrzyłam na nią jeszcze przez chwilę. Zbliżyła moją rękę do sztalug. — Odwagi.

Powoli zanurzyłam pędzel w czarnej farbie i namalowałam kreskę pionowo przecinającą fioletowy pas.

— Hmm... — mruknęła Bea, a potem dodała. — Aaaa...

Nie potrafię opisać, co czułam. Może... że stał się cud.

A może, że to coś nadprzyrodzonego. Albo to i to. Nie wiem. Z całą pewnością nie mogłam poprzestać na tej jednej kresce ani na następnej plamie, ani na kropkach, którymi otoczyłam płótno. Wiem tylko, że robiąc to, czułam się dziwnie nieobecna i ledwie rejestrowałam ciche okrzyki Bei za plecami, jej pomrukiwanie, przemawianie do farb dziecięcym głosem („Teraz twoja kolej, ochro! Cy maliutki chaberek ce wystąpić?”).

Z transu wyrwał mnie dzwonek dobiegający z kieszeni dzinsów i obraz nagle znowu stał się zwykłym płótnem.

— Przekłeta technologia — burknęła Bea, gdy odebrałam komórkę. — Komu przeszkadzały gołębie pocztowe? Piękne upierzenie i śliczne liściki. Mo-

głabym wykorzystać gołębie pióra. Albo pawie. O, tak, pawie! Ale chyba pawie pocztowe nie istnieją...

— Gdzie jesteś?! — ryknęła mama. — Zamartwiam się tu na śmierć! Nie ma doktora Hielera, nie ma ciebie, na miłość boską, dlaczego nie mogłaś zostać na miejscu, tak jak cię prosiłam? Wiesz, co sobie wyobrażałam?

— Zaraz wracam — rzuciłam do słuchawki. Wstałam i schowałam komórkę do kieszeni. — Przepraszam, moja mama...

Bea machnęła ręką, w drugą biorąc miotłę i rzucając się biegiem w stronę kupki trocin pod stołem.

— Nigdy nie przepraszaj za matkę. Możesz przepraszać ją, ale nie za nią. Matki niemal zawsze kochają fiolet. Dobrze to wiem, miałam bardzo fioletolubną matkę.

Pobiegłam korytarzem, którym tu dotarłam. Znowu czułam, jakbym znalazła się w ciemnym, tajemniczym lesie. Głos Bei dogonił mnie niemal przy drzwiach.

— Valerie! Mam nadzieję, że zobaczymy się za tydzień.

Wypadłam na zewnątrz z uśmiechem na twarzy. Dopiero wsiadając do samochodu mamy, zdyszana i spocona z wysiłku i emocji, uświadomiłam sobie, że nie przedstawiłam się Bei.

Na obiad dostaliśmy coś w rodzaju twardej jak kamień meksykańskiej pizzy — idealne danie na poniedziałek. Sama czułam się w poniedziałki jak skamieniała pizza, wypędzona z błogiego kokonu sypialni w nieprzyjazne środowisko liceum.

Jeśli nie liczyć sobotniego poranka, weekend minął na szczęście bez żadnych przygód. Rodzice nie rozmawiali ze sobą, a Frankie wyszedł z kolegą na jakąś kościelną uroczystość. Nasza rodzina nie jest specjalnie praktykująca, co po strzelaninie podkreślały media, ale wyglądało na to, że do kościoła chodziło parę interesujących dziewczyn i Frankie postanowił zrobić wszystko, by się z nimi spotkać. Szczerze mówiąc, gdyby mój brat zdołał którąś dopaść, wykorzystałby tę sytuację bez namysłu nawet w kościele, co mnie osobiście się nie podobało, ale przynajmniej, atakując trzecią bazę na religijnej imprezie, nie musiał znosić zimnej wojny między rodzicami/

Poradziłam sobie z sytuacją, zostając w pokoju. Zresztą mama i tato nie oczekiwali niczego innego. Nie poprosili mnie nawet, żebym się zjawiała na kolacji. Oni sami pewnie w ogóle jej nie zjedli. Cicho zeszałam po schodach i wygrzebałam coś z lodówki jak szop buszujący w kubie na śmieci.

Pewnego razu, w sobotę wieczorem, usłyszałam dźwięk zamykanych drzwi frontowych i zakradłam się po cichu do kuchni. Zastałam tatę przy stole, nad miską płatków.

— O... — odezwałam się. — Myślałam, że oboje wyszliście.

— Twoja matka poszła na spotkanie jakiejś grupy wsparcia — odpowiedział, wpatrując się w miskę. — W tym cholernym domu nie ma nic do jedzenia. Chyba że lubisz płatki.

Zajrzałam do lodówki. Fakt. Oprócz kartonu mleka i keczupu, małej salaterki zimnej fasolki szparagowej i pół tuzina jajek nie znalazłam niczego.

— Płatki też się nadadzą — oznajmiłam, sięgając po stojące na lodówce pudełko.

— Zatechłe, cholera — mruknął tata.

Spojrzałam na niego. Miał zaczerwienione oczy i zarost. Ręce mu drżały. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, jak dawno się mu nie przyglądałam. Nawet nie zauważyłam, że się zestarzał. Stał się stary. Wycieńczony.

— Mogą być — powtórzyłam ciszej i wyjęłam salaterkę z szafki.

Sypnęłam do niej płatków i polałam je mlekiem. Tata jadł w milczeniu. Kiedy wychodziłam z kuchni, rzucił:

— Wszystko w tym domu zatechło.

Zatrzymałam się z jedną stopą na stopniu.

— Znowu się o coś pokłóciliście?

— Jaki w tym sens?

— Chcesz, żebym zamówiła pizzę czy coś? Na kolację?

— Jaki w tym sens? — powtórzył. Przyznałam mu rację, więc po cichu wróciłam do pokoju i zjadłam płatki, słuchając muzyki. Fakt, zalatywały stęchlizną.

Rzuciłam na tacę kawałek skamieniałej pizzy i właśnie nalewałam sobie jakiś kompot z oślizgłych konserwowych owoców, kiedy nad moim ramieniem rozległ się głos pana Angersona.

— Chyba nie zamierzasz dziś jeść na korytarzu?

— Owszem, zamierzam — odpowiedziałam, nie podnosząc głowy. — Dobrze mi tam.

— Nie to chciałem usłyszeć. Mam znaleźć nauczyciela, który z tobą posiedzi w sobotę?

Odwróciłam się i przeszłam go spojrzeniem, w które wlałam całą determinację, jaka mi została. Angerson nawet nie starał się zrozumieć.

— Chyba tak.

Stacey, stojąca w kolejce tuż przede mną, zabrała tacę i uciekła. Widziałam kątem oka, jak mówi coś do Duce'a, Masona i reszty. Spojrzeli na mnie. Duce się śmiał.

— Nie pozwolę ci doprowadzić do kolejnej tragedii w tej szkole — oznajmił Angerson, a różowy rumieniec wypełził mu spod kołnierzyka na twarz. „Ty-

le na temat medalu, listu i całego gadania o bohaterstwie i przebaczeniu", pomyślałam. — Przyjęliśmy nowe zasady, które nie zezwalają na alienację uczniów. Każdy kto regularnie oddala się od grupy, zostanie poddany uważnej obserwacji. Muszę dodać, że w skrajnych przypadkach dojdzie do wydalenia ze szkoły. Czy wyrażam się jasno?

Uświadomiłam sobie, że przechodzące obok osoby gapią się na nas. Niektóre uśmiechały się dziwnie i szeptały między sobą.

— Do niczego nie doprowadziłam. A teraz też nie robię nic złego.

Dyrektor zacisnął usta, czerwień rozlała mu się na policzkach.

— Chciałbym, żebyś rozważyła swoje zachowanie. Potraktuj to jako uprzejmość wobec tych, którzy przeżyli.

Te ostatnie słowa rzucił jak bombę. Z pełnym sukcesem. Wstrząsnęły mną. Miałam wrażenie, że dyrektor powiedział to na tyle głośno, żeby wszyscy usłyszeli. Okręcił się na pięcie i odszedł, a ja po chwili wróciłam do kompotu. Nalałam go sobie drżącymi rękami, choć nagle poczułam się, jakbym miała pełen żołądek.

Zapłaciłam za jedzenie i przeszłam przez stołówkę. Czułam utkwione w sobie spojrzenia wszystkich, wpatrzonych we mnie jak stado zajęcy, na które nagle padło światło. Nie rozglądałam się jednak, szłam ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń, dopóki nie dotarłam na korytarz.

Dobiegł mnie głos Angersona tłumaczącego chłopcom, gdzie jest miejsce frytek, i przygotowałam się na kolejne starcie.

— Na pewno chcesz to zrobić? — spytał, gdy osunęłam się na podłogę i postawiłam tacę na kolanach.

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, ale w tej samej chwili rozległy się kroki. Trzymająca tacę Jessica Campbell ominęła Angersona i usiadła obok mnie. Zdjęła plecak.

— Dzień dobry, panie dyrektorze — rzuciła pogodnie. — Wybacz, Valerie, że się spóźniłam.

— Co ty wyprawiasz? — odezwał się Angerson ciężko.

Jessica potrząsnęła kartonem mleka i go otworzyła.

— Jem obiad z Valerie — wyjaśniła. — Musimy obgadać sprawy związane z Radą Uczniów. Doszłam do wniosku, że to najlepsze miejsce, bo nikt nam tu nie będzie przeszkadzał. W Sejmie strasznie hałasują. Nie słychać własnych myśli.

Pan Angerson wyglądał, jakby chciał w coś przygrzmocić pięścią. Stał nad nami dobrą minutę, a potem udał, że dostrzegł w stołówce coś niepokojącego i pospieszył z interwencją.

Jessica zachichotała cicho.

— Co robisz? — spytałam.

— Jem obiad — oznajmiła i ugryzła kawałek pizzy.

Przeżuwałyśmy w milczeniu, siedząc obok siebie.



— Dzięki — odezwałam się w końcu z pełnymi ustami. — On tylko szuka pretekstu, żeby mnie wyrzucić.

Jessica machnęła ręką.

— Angerson to straszny dupek — odpowiedziała, a potem się roześmiała, bo narysowałam w zeszycie goły tyłek w garniturze z krawatem.

TLR

[„Sun-Tribune”, 3 maja 2008, tekst: Angela Dash]

Abby Dempsey (17 lat)-jako wiceprzewodnicząca Rady Uczniów zajmowała się sprzedażą paczków, z której dochód przeznaczano na cele dobroczynne. Otrzymała dwa strzały w szyję. Policja sądzi, że te kule były przeznaczone dla ucznia stojącego jakiś metr w lewo od Dempsey. Rodzice ofiary odmówili dziennikarzom komentarza. — Pograżyli się w głębokiej rozpacz po stracie swego jedyne go dziecka — wyjaśniają przyjaciele rodziny.

Mama zostawiła wiadomość, że ma zebranie i nie może po mnie przyjechać. W pierwszej chwili zareagowałam wściekłością. „Co? Oczekuje, że po tym wszystkim tak po prostu wsiądę do autobusu? Że zajmę miejsce koło paczki Christy Bruter i wszystko się ułoży? Jak mogła? — myślałam. — Jak mogła rzucić mnie na pożarcie wilkom?”.

Nie muszę chyba tłumaczyć, że nie zamierzałam wracać autobusem. Mój dom znajdował się osiem kilometrów od szkoły i nieraz już przeszłam tę trasę.

Ale wtedy miałam zdrowe nogi. Teraz wątpiłam, żeby mi się to udało. W połowie drogi pewnie rozbolałoby mnie udo. Musiałabym usiąść, jak chore zwierzę, łatwy łup dla pierwszego lepszego drapieżnika.

Ale jakieś dwa kilometry mogłabym przejść, a kancelaria taty nie znajdowała się dalej. Oczywiście proszenie tatę o podwózkę nie znajdowało się na pierwszym miejscu mojej listy życzeń. Pewnie on myślał to samo o odwożeniu mnie do domu. Ale lepsze to niż trwożne kulenie się w autobusie.

Kiedyś było mi wstyd, że tata nie ma bardziej efektownej kancelarii. Niby taki wielki prawnik, a gnieździ się w malutkim „aneksie mieszkalnym”, co według mnie oznaczało parszywą norę na przedmieściach. Ale dziś cieszyłam się, że ta nora znajduje się niedaleko szkoły, bo październikowe słońce nie dawało wiele ciepła, a po paru przecznicach zaczęłam żałować, że jednak nie pojechałam autobusem.

Byłam w kancelarii taty tylko parę razy; nie mieliśmy tam swobodnego wstępu. Tata lubił udawać, że nie chce nas narażać na kontakt z, jak mówił, szumowinami, dla których pracował. Ale tak naprawdę chodziło o to, że uciekał tu przed rodziną. Po co miałby przychodzić w miejsce, w którym i tak by nas spotykał?

Noga zupełnie mi zesztyniała, zanim stanęłam przed wielkimi, szklanymi drzwiami kancelarii. Pewnie kuśtykałam jak potwór z horrorów. Cieszyłam się, że w ogóle dotarłam do celu.

Otuliło mnie ciepłe powietrze. Przez chwilę rozcierałam udo. Poczułam zapach popcornu z mikrofalówki i uświadomiłam sobie, że mam pusty żołądek. Poszłam za tą wonią aż do poczekalni.

Sekretarka taty spojrzała na mnie z zaskoczeniem. Nie mogłam sobie przypomnieć jej imienia. Spotkałam ją tylko raz, na letnim rodzinnym pikniku mniej więcej dwa lata temu. Wydawało mi się, że nazywa się Britni, Brenna czy jeszcze jakoś, w każdym razie młodzieńczo i modnie. Za to pamiętałam, że ma tylko dwadzieścia cztery lata, a nieprawdopodobnie lśniąco, proste włosy w kolorze kakao spływały jej gładko na plecy niczym peleryna superbohatera. Pamiętałam też jej wielkie, powoli mrugające krowie oczy o gigantycznych źrenicach, otoczonych tęczęwkami w kolorze, do którego najlepiej pasuje określenie „wiosenna zieleń”. Byłam też pewna, że jest urocza, nieśmiała i że śmieje się dłużej niż inni z głupich, wieśniackich żartów mojego ojca.

— O... — odezwała się, a na policzki wypłynął jej rumieniec. — Valerie.

Nie uśmiechnęła się. Przełknęła ślinę — głośno, jak w filmach — a ja wyobraziłam sobie, jak sięga do czerwonego przycisku alarmu pod blatem, na wypadek gdybym przyniosła broń.

— Cześć — powiedziałam. — Tata w pracy? Ktoś musi mnie odwiedzić.

Sekretarka odsunęła się od biurka na krzesło na kółkach.

— Ma konferencję z... — zaczęła, ale w tej samej chwili drzwi gabinetu się otworzyły.

— Skarbie, mogłabyś mi dać akta Santosha...? — odezwał się tata, zatopiony w lekturze jakichś dokumentów. Obszedł krzesło Britni/Brenny, która siedziała jak skamieniała, z purpurową twarzą. Tata położył jej rękę na ramieniu i lekko uścisnął — nie postępował tak z mamą od... właściwie nigdy. Britni/Brenna spuściła głowę i zamknęła oczy. — Co się dzieje, słonko? Tak się spięłaś... — zaczął tata. W końcu podniósł oczy i zamilkł, zobaczywszy mnie.

Cofnął rękę z ramienia Britni/Brenny, nieznacznie, od niechcienia, tak że prawie zwątpiłam, czy naprawdę to widziałam. Pewnie bym sobie wmówiła, że to wszystko mi się przywidziało, gdybym nie spojrzała na Britni/Brennę, czerwoną jak piwonia. Wpatrywała się w biurko przed sobą. Wyglądała jak skamieniała z przerażenia.

— Valerie — rzucił tata. — Co tu robisz?

Oderwałam spojrzenie od Britni/Brenny.

— Potrzebuję, żeby ktoś mnie podwiózł — wyjaśniłam. Przynajmniej sądzę, że to powiedziałam. Nie mam pewności, bo wargi mi całkiem zdrętwiały. Britni/Brenna wymamrotała coś i uciekła do łazienki. Podejrzewałam, że nie wyjdzie, dopóki nie opuścę kancelarii. — Mama... hm, mama ma zebranie.

— Aha — mruknął tata. Czy mi się zdawało, czy i on się zaczerwienił? — No tak. Jasne. Dobrze. Za chwilę.

Szybko wrócił do gabinetu. Dobięgl mnie odgłos krzątaniny, stuk zamykanych szuflad, brzęk kluczy. Stałam jak wrośnięta w ziemię i pragnęłam, aby to wszystko mi się przywidziało.

— Gotowa? — spytał tata. — Muszę zaraz wracać, więc się zbierajmy.

Cały oficjalny. Bardzo ojcowski. Tak jak się spodziewałam.

Otworzył drzwi, ale nie drgnęłam.

— To dlatego nienawidzisz mamy?

Tata chyba chciał udąć, że nie rozumie, o co mi chodzi. Przechylił głowę i wypuścił klamkę drzwi, które powoli się zamknęły.

— Nic nie rozumiesz, choć uważasz, że jest inaczej — powiedział. — Wracajmy do domu. To nie twoja sprawa.

— Czyli to nie przeze mnie. Nie przeze mnie się znienawidziliście. To twoja wina. — Choć już przed strzelaniną miałam świadomość, że rodzice za sobą nie przepadają, doznałam czegoś w rodzaju objawienia. I nie wiadomo dlaczego poczułam się jeszcze gorzej. Może sądziłam, że skoro to przeze mnie, wszystko wróci do normy, kiedy zniknę z domu. Teraz wspomnienie pięknej, zarumienionej twarzy Britni/Brenny uświadomiło mi, że rodzice pewnie się już nie pokochają. Nagle wszystkie ich kłótnie przestałam uważać za niegroźne. Zrozumiałam, dlaczego przywarłam do Nicka jak do koła ratunkowego — on nie tylko wiedział, co to rozpadająca się rodzina. Wiedział też, że takie rodziny już nigdy nie zaczną funkcjonować jak dawniej. Do mnie również docierało to już od dłuższego czasu.

— Daj spokój, Valerie.

— Dręczyłam się, że to przeze mnie się kłóćcie, a ty przez cały czas miałeś romans z sekretarką. Boże, ale ze mnie idiotka!

— Nie. — Ojciec westchnął i dotknął skroni. — Ja i mama nie czujemy do siebie nienawiści. Naprawdę nic nie wiesz o naszym związku. Poza tym to nie twoja sprawa.

— Czyli to nic złego? — spytałam, wskazując drzwi łazienki. — Wszystko w porządku?

Tata pewnie pomyślał, że chodzi mi o to, co go łączy z Britni/Brenną, ale ja mówiłam o zakłamaniu. Ojciec nie pokazywał nam swojej prawdziwej twarzy — tak jak ja. Trudno. Ale jakoś nie miałam wrażenia, że to w porządku. Zastanowiłam się, jak — biorąc pod uwagę wydarzenia — mógł nie dostrzec, że zakłamanie to coś złego.

— Valerie, proszę, jedźmy do domu. Mam pracę.

— Mama wie?

Ojciec przymknął oczy.

— Podejrzewa. Ale nie, nie powiedziałem jej, jeśli o to ci chodzi. I będę wdzięczny, jeśli jej nie wygadasz, bo tak naprawdę nie ma czego.

— Muszę już iść — mruknęłam i opuściłam kancelarię. Chłodne powietrze nagle wydało mi się o wiele przyjemniejsze.

Idąc chodnikiem, uważnie nasłuchiwałam. Czekałam, aż tata wychyli się i krzyknie: „Valerie, stój! Źle to zrozumiałaś! Kocham twoją matkę! Przecież chciałaś, żebym cię odwiózł!”.

Ale nie zrobił tego.

Wróciłam do szkoły. Nie miałam pojęcia, co ze sobą począć. Po drodze nagrałam wiadomość na pocztce głosowej mamy.

— Cześć, mamó. Musiałam coś załatwić i spóźniłam się na autobus — skłamałam. — Zaczekam, aż po mnie przyjedziesz po zebraniu.

Weszłam do szkoły i rzuciłam plecak przy ogromnej gablocie z nagrodami, która od progu atakowała wchodzących blaskiem pucharów futbolowych i lekkoatletycznych, a także zdjęciami dawnych trenerów. Minione dni chwały. Albo po prostu minione dni.

Usiadłam na podłodze i wyjęłam zeszyt. Chciałam coś narysować, by jakoś opanować emocje, ale nie wiedziałam co. Miałam w głowie taki mętlik, że nie ogarniałam sytuacji. Nie mogłam się zmusić do naszkicowania twarzy Britni/Brenny. Ołówkowe kreski nie układały się w zarys spłoszonych oczu taty — zdemaskowanego winowajcy. Czy ożeni się z tą sekretarką? Będą mieli dzieci? Nie mogłam sobie wyobrazić taty trzymającego w objęciach jakieś niemowlę, przemawiającego do niego słodko, zapewniające go o swojej miłości. Czy w przyszłości zabierze je na mecz baseballu? Czy uzna nowe życie za bardziej prawdziwe, bardziej odpowiednie niż to z nami?



Zbliżyłam ołówek do kartki i zaczęłam rysować. Linie natychmiast utworzyły brzuch ciężarnej kobiety. Naszkicowałam otoczony pępownią skulony płód, ssący malutki kciuk. Potem nakreśliłam identyczną wygiętą linię po drugiej stronie kartki. Łzę spływającą wzdłuż wąskiego nosa. Oczy mojej matki. Zmarszczkę gniewu między nimi. Kolejną łzę na rzęsach, a w niej — moje imię.

Z oddali dobiegł mnie trzask drzwiczek szafki i kroki. Przestałam rysować i udałam, że gapię się obojętnie na drzwi szkoły. Zamknęłam zeszyt, do niedawna będący zabawką, jak okulary, przez które oglądałam prawdziwe oblicze świata; teraz stał się miejscem, w którym ukryłam wielką, wstydliwą tajemnicę.

— O, cześć. — Jessica Campbell zbliżała się do mnie korytarzem.

— Cześć — odpowiedziałam.

Zatrzymała się i położyła plecak na podłodze. Zerknęła na drzwi. Westchnęła i usiadła po turecku parę kroków ode mnie.

— Czekam na Meghan — wyjaśniła, jakby się tłumaczyła, dlaczego siedzi obok, skoro nie musi mnie ratować przed Angersonem. — Pisze poprawkę z niemieckiego. Obiecałam, że ją odwiozę do domu. — Odkaszlęła z zażenowaniem. — Potrzebujesz podwózki? Mogę cię zabrać, jeśli zaczekasz. Meghan zaraz przyjdzie.

Pokręciłam głową.

— Mama po mnie przyjedzie. Pewnie zaraz tu dotrze. — I po chwili dodałam. — Dzięki.

— Nie ma sprawy — mruknęła Jessica i znowu odkaszlęła.

W korytarzu przed salą od biologii trzasnęły drzwi szafki. Spojrzałyśmy w stronę, z której dobiegły nas głosy. Oddaliły się, a potem stuknęły zamykane drzwi i zrobiło się zupełnie cicho.

— Przyjdiesz jutro na zebranie Rady? — spytała Jessica. — Zreferujemy postępy w sprawie projektu.

— O... Myślałam, że to jednorazowa sprawa. I... no, w sumie to was zostawiłam. A członków Rady Uczniów wybiera się przez głosowanie. Coś mi się nie wydaje, żebym dostała wiele głosów.

Jessica zrobiła dziwną minę. Roześmiała się nerwowo, ostro.

— No, pewnie tak... Ale mówię ci, że wszystko gra. Cała Rada rozumie, dlaczego uczestniczysz w projekcie. Jest dobrze.

Uniosłam brew i rzuciłam jej powątpiewające spojrzenie. Znowu się roześmiała, tym razem swobodniej.

— No co? Jest dobrze!

Nie mogłam się powstrzymać. Parsknęłam śmiechem. Po chwili obie się zakrykiwałyśmy, odchyliwszy głowy. Napięcie opadło.

— Słuchaj — odezwałam się, patrząc na graffiti na gablocie z nagrodami. — Doceniam to, co robisz, ale nie chcę, żeby ludzie zaczęli opuszczać Radę z mojego powodu.

— Nie wszyscy protestowali. Niektórzy od początku uważali, że to świetny pomysł.

— No. Na przykład Meghan. Wiesz, ona marzy o przyjaźni ze mną. Jutro ubierzemy się w identyczne ciuchy. Zostaniemy psiapsiółkami.

Spojrzałyśmy na siebie i znowu ryknęłyśmy śmiechem.

— Może niekoniecznie — odezwała się Jessica. — Ale się zgodziła. Mam dar perswazji. — Uśmiechnęła się i łobuzersko poruszyła brwiami. — Serio. Nie martw się o Meghan, pogodziła się z tym. Potrzebujemy twojego udziału. Ja go potrzebuję. Jesteś inteligentna i, no... bardzo kreatywna. To dla nas ważne. Proszę.

Drzwi na końcu korytarza się otworzyły i wyszła z nich Meghan. Jessica podniosła z podłogi plecak i kurtkę. Wzruszyła ramionami.

— Nikogo nie zastrześliś — powiedziała. — Nie ma powodu cię nienawidzić. I to im powtarzam. — Wstała i zarzuciła plecak na ramię. — To jak, do jutra?

— Do jutra — mruknęłam.

Jessica ruszyła w stronę Meghan.

Nagle mnie olśniło. Co powiedział detektyw Panzella o dziewczynie, która się za mną wstawiła? Blondynka. Wysoka. Z trzeciej klasy. Ciągłe powtarzała: „Valerie nikogo nie zastrześliła”.

— Jessica! — zawołałam. Odwróciła się. — Eee... dzięki.

— Nie ma sprawy. Tylko przyjdź, dobrze?

Po paru minutach mama zatrzymała samochód pod szkołą i zatrąbiła. Pokuśtykałam do niej. Spojrzała na mnie ponuro.

— Jak mogłaś nie zdążyć na autobus? — rzuciła. Znałam ten ton, rozdrażniony i pełen bezsilnej wściekłości. Często go słyszałam, kiedy wracała z pracy.

— Przepraszam — powiedziałam. — Musiałam przygotować pracę domową.

— Dlaczego tata cię nie odwiózł?

To pytanie zaskoczyło mnie jak uderzenie w pierś. Serce zaczęło mi galopować, żołądek się ścisnął. Rozsądek podpowiadał: „Ona musi się dowiedzieć! Zasługuje na to!”.

— Tata miał klienta — skłamałam. — Na niego też musiałabym czekać.

Pewnie powinnam czuć wyrzuty sumienia, że okłamałam mamę. Ale przecież tata też nikogo nie zastrzelił.

## 24

W sobotę ubłagałam mamę, żeby po sesji z doktorem Hiełerem zawiozła mnie do pracowni Bei.

— No, nie wiem — powiedziała, marszcząc brwi. — Lekcje malarstwa? Nigdy nie słyszałam o tej kobiecie. Nawet nie wiedziałam, że tam jest jakaś pracownia. Czy to na pewno bezpieczne?

Przewróciłam oczami. Mama od paru dni nie miała humoru. Można by pomyśleć, że im bardziej starałam się odbudować moje życie, tym mniej mi ufała.

— Tak, oczywiście. To zwyczajna malarka. No proszę cię. Nie pozwolisz mi na tę jedną rzecz? W tym czasie mogłabyś zrobić zakupy w supermarkecie.

— Sama nie wiem.

— Proszę! Mamo, zawsze mówiłaś, że chcesz, abym robiła coś normalnego. Malarstwo to właśnie coś takiego.

Mama westchnęła.

— Dobrze, ale pójdę z tobą. Chcę obejrzeć to miejsce. Kiedy ostatnio dałam ci swobodę, skumałaś się z Nickiem Levilem i proszę, do czego to doprowadziło.

— O czym przypominasz mi codziennie — mruknęłam. Przycisnęłam kciukiem bliznę na udzie, aby nie skoczyła mamie do oczu. Miała taki humor, że mogłaby zmienić zdanie i nie pozwolić mi widywać się z Beą.

Na miejscu otoczyło nas ciężkie, cuchnące pleśnią powietrze. Mama zawałała się przed drzwiami.

— Co to ma być? — spytała cicho.

— Cśśś — syknęłam, choć właściwie nie wiedziałam dlaczego. Może bałam się, że Bea ją usłyszy i zabroni mi przychodzić. Że negatywna energia mamy zmąci zdumiewający fiolet porannego światła.

Ruszyłam korytarzem w stronę cichej muzyki — rytmicznego pobrzękiwania dzwonek i szmeru głosów. Po chwili ujrzałam plecy malarzy siedzących przed płótnami. Jakaś starsza pani składała kartkę papieru, tworząc z niej skomplikowane kształty i figurki zwierząt. Mały chłopczyk bawił się pod stołem resorakami. Bea pochylała się nad lustrem, na którego ramie przyklejała misterny wzór z muszelek. Zatrzymałam się na progu pomieszczenia, nagle przekonana, że źle zrozumiałam Beę i że niepotrzebnie przyszłam. Ona powiedziała to tylko tak, z uprzejmości. Tak naprawdę wcale mnie tu nie chce. Powinnam odejść.

Ale w tym momencie Bea wyprostowała się i spojrzała na mnie z uśmiechem. Włosy miała zebrane w lśniący kok na czubku głowy. Zwisały z niego wstążki i małe koraliki.

— Valerie! — zawołała, szeroko rozkładając ręce. — Moja fioletowa Valerie! — Dwa razy klasnęła. — Wróciłaś. Czekałam na ciebie.

Skinęłam głową.

— Miałam nadzieję, że mogłabym się u pani uczyć... malowania.

Bea ruszyła do nas, ale przestała na mnie patrzeć. Uśmiechnęła się szeroko, błyskając zębami, i zagarnęła w objęcia mamę, która zeszywniała, jednak gdy Bea zaczęła jej szeptać do ucha, stopniowo się rozluźniała. Po chwili grymas zniknął z jej twarzy, a na jego miejscu pojawiło się zaciekawienie. Bea była dziwna, bez wątpienia. Ta ekscentryczność tak do niej pasowała, że mama — choć w normalnych okolicznościach uznałaby ją za wariatkę — nawet teraz, rozdrażniona i nie w humorze, dała się oczarować.

— Tak bardzo miło cię poznać — powiedziała Bea do mamy, która skinęła głową, przełknęła ślinę, ale nie odpowiedziała. — Oczywiście, że możesz z nami malować, Valerie. Przygotowałam dla ciebie sztalugi. O, tam.

— Ile to będzie kosztować? — spytała mama, otwierając torebkę i szperając w niej.

Bea zamachała rękami w powietrzu.

— To kosztuje głównie cierpliwość i kreatywność. Także czas i pracę nad sobą. Oraz samoakceptację. Ale nie znajdzie ich pani w torebce.

Mama znieruchomiała, spojrzała na Beę z zaciekawieniem i zatrzasnęła torebkę.

— Idę do supermarketu. Masz godzinę — rzuciła do mnie. — Jedną godzinę.

— Jeden to moja ulubiona cyfra — oznajmiła Bea z chichotem. — Numer jeden to zwycięzca, a wszyscy możemy powiedzieć na koniec dnia, że znowu

wygraliśmy, prawda? Czasem dotrwanie do wieczoru wydaje się wielkim osiągnięciem.

Mama nie odpowiedziała. Powoli odeszła korytarzem. Poczułam powiew powietrza wpadający przez otwarte drzwi.

„Jeden. Numer jeden. Jedna godzina. Tylko jedna. Numer jeden” — powtarzałam w myślach.

Odwróciłam się do Bei.

— Chciałabym malować — powiedziałam. — Muszę malować.

— W takim razie oczywiście będziesz malować. Malowałaś, od chwili gdy dzisiaj wstałaś. — Dotknęła palcem skroni. — Tutaj. Malowałaś i malowałaś. Używałaś mnóstwa fioletu. Skończyłaś już swój obraz. Musisz go tylko przenieść na płótno.

Zaprowadziła mnie do stołka, na którym usiadłam, zafascynowana widokiem pracujących w milczeniu artystów. Jakaś pani tworzyła zimowy krajobraz, inna zabarwiała rdzawą czerwienią stodołę, którą pracowicie naszkicowała ołówkiem. Mężczyzna kopiował wojskowy samolot, spoglądając na zdjęcie umieszczone w górnym lewym rogu sztalugi. Bea podbiegła do stojącego nieopodal wózka i wróciła z paletą i pędzlem.

— No dobrze — zaczęła. — Najpierw nanieś szarości — cienie. Dziś pewnie nie dotrzesz dalej. Płótno musi wyschnąć, zanim zabarwisz je wspaniałymi kolorami. — Otworzyła słoik i wylała na paletę jakąś brązową galaretowatą substancję. — I nie zapomnij mieszać z tym farb. To przyspieszy ich schnięcie.



Skinęłam głową, wzięłam pędzel i zaczęłam malować. Bez szkicu, bez zdjęcia. Miałam mojego modela przed oczami — doktora Hielera, tak jak go widziałam. Na obrazie nie znajdzie się wiele cieni. Zero mroku.

— Hmm... — odezwała się Bea zza mojego ramienia. — Och, jej... tak.

Potem przeszła w inną część pracowni. Dobiegły mnie szeptane przez nią delikatne instrukcje, których udzielała innemu uczestnikowi kursu. W pewnej chwili wybuchła głośnym śmiechem, gdy uczeń opowiedział jej, że dziś rano wrzucił komórkę do miksera, który włączył na najwyższe obroty. Ale nie mogłam na nią spojrzeć. Nie mogłam w ogóle odwrócić głowy — aż do chwili gdy chłodne powietrze znowu musnęło mój kark i dobiegł mnie głos mamy, tak ostry, że wcale nie pasował do tej pracowni:

— Czas się skończył, Valerie.

Podniosłam wzrok i z zaskoczeniem spostrzegłam, że Bea stoi obok, trzymając rękę na moim ramieniu.

— Czas nigdy się nie kończy — szepnęła, patrząc nie na mnie, lecz na obraz. — Tak, zawsze jest czas na ból i czas na uzdrowienie. To oczywiste.

Właśnie skręcałam w korytarz przy laboratorium, kiedy Meghan zawołała coś i ruszyła za mną biegiem. Zwolniłam, zerknąwszy z troską w stronę gabinetu pani Stone, gdzie za parę minut miało się rozpocząć spotkanie Rady. Niechętnie przystanęłam.

— Valerie, czekaj! — wrzasnęła Meghan, pędząc do mnie. — Chcę z tobą porozmawiać.

Normalnie szłabym dalej przed siebie. Meghan bez ogródek dała mi do zrozumienia, że to ja odpowiadam za strzelaninę, i mogłam przypuszczać, że nie usłyszę od niej nic miłego.

Ale nie miałam dokąd uciec. Korytarz o tej porze dnia był pusty. Sportowcy znajdowali się w przebieralni. Wszyscy inni wrócili już do domu.

— Cześć — wydyszała Meghan, dobiegając do mnie. — Idziesz na zebranie Rady?

— Tak — odpowiedziałam niepewnie, nerwowo zakładając ręce na piersi. — Jessica mnie zaprosiła.

— Fajnie, chodźmy razem — rzuciła Meghan. Przyjrzałam się jej, po czym powoli ruszyłam do gabinetu pani Stone. - Podoba mi się twój pomysł z kapsułą czasu — odezwała się po chwili Meghan.

— Dzięki — mruknęłam. Przeszliśmy parę kroków w milczeniu. Zagryzłam wargę, zastanowiłam się i podjęłam decyzję. — Nie obraż się, ale dlaczego ze mną idziesz?

Meghan przechyliła głowę, jakby w namyśle.

— Szczerze? Jessica kazała mi traktować cię uprzejmie. No, może nie dokładnie, ale... wiesz... Wściekła się, że cię olewam, i pokłóciłyśmy się o to. Potem się pogodziłyśmy, ale doszłam do wniosku, że miała rację. Mogę przynajmniej spróbować. — Wzruszyła ramionami. — Nie jesteś wredna ani nic. Na ogół milczysz.

— Bo nie wiem, co powiedzieć. Zawsze siedziałam cicho. Tylko wcześniej nikt tego nie zauważał.

Zerknęła na mnie.

— No. Pewnie tak.

Stanęłyśmy przed gabinetem pani Stone. W środku paliło się światło, zza drzwi dobiegały głosy. Najdonośniejszy należał do pani Stone. Słysząc było śmiechy. Zatrzymałyśmy się.

— Chciałam cię o coś spytać — odezwała się Meghan. — Eee... podobno moje nazwisko znajdowało się na liście. I zastanawiałam się... no... dlaczego?

Mnóstwo osób mówi, że ofiary zasługiwały na to, co je spotkało i tak dalej, bo znęcały się nad Nickiem, ale ja was nie znałam. Nawet z nim nie rozmawiałam.

Zacisnęłam usta i pożałowałam, że nie siedzę już w gabinecie pani Stone, chroniona przez Jessicę. Meghan miała rację co do jednego — przed strzelaniną naprawdę jej nie znaliśmy. Nigdy z nią nie rozmawialiśmy, nie wiedzieliśmy niczego o jej życiu. Ale uważaliśmy, że towarzystwo, w jakim się obraca, mówi o niej wszystko.

Pamiętałam dzień, w którym nazwisko Meghan znalazło się na liście.

Nick i ja jedliśmy właśnie obiad, kiedy Chris Summers przeszedł ze swoją świtą koło naszego stolika. Od razu sterroryzował cały Sejm, jak zawsze.

— E, świr — rzucił. — Potrzyмай mi to. — Wyjął z ust kłęb gumy i rzucił w kartofle Nicka. Jego kumple zarechotali, kołysząc się jak pijani.

— Stary, ale odpal...

- A to dobre...

— Smacznego, świrze.

Poszli do swojego stołu, rycząc na całe gardło. Widziałam, że Nick gotuje się z wściekłości. Oczy mu pociemniały jak dwie czarne dziury, zacisnął szczęki. Nie tak, jak przed kinem. Wtedy był smutny, pokonany. Teraz się wkurzył. Powoli wstał od stołu.

— Nie. — Położyłam mu rękę na ramieniu. Został już dwa razy ukarany za bójkę i groziło mu zawieszenie. — Szkoda na nich czasu. Zjedz moje. — Przynęłam do niego moją tacę. — I tak nie lubię kartofli.

Znieruchomiał z rozdętymi nozdrzami, ciężko oparty o stół. Parę razy odechnął głęboko i usiadł.

— Nie — powiedział cicho, odsuwając tacę. — Nie mam ochoty.

Dokończyliśmy obiad w milczeniu. Ciągle zerkałam na stół Chrisa Summersa. Zapamiętałam, kto przy nim siedzi — między innymi Meghan Norris. Wszyscy właściwie bili pokłony przed Chrisem. A kiedy wróciłam do domu, otworzyłam zeszyt i zapisałam ich nazwiska. Jedno po drugim.

Wtedy wydawało mi się, że mam do tego prawo. Nienawidziłam ich wszystkich za to, co robili Nickowi, mnie, nam. Ale teraz, stojąc na korytarzu przed gabinetem pani Stone, widziałam to w zupełnie innym świetle. Meghan przestała wydawać się taka straszna. Była zwykłą, pogubioną dziewczyną, która próbuje wszystko wyprostować. Tak jak ja.

— Nie chodziło o ciebie — wyjaśniłam szczerze. — Tylko o Chrisa. Siedziałas z nim kiedyś przy obiedzie...

Urwałam, bo dotarło do mnie, że niezależnie od tego, jak bardzo się wtedy wściekliśmy i jak podle Chris potraktował Nicka, ona tego nie zrozumie. Sama z trudem to pojmowałam.

— Postąpiłam głupio. Nie. Podle.

Na szczęście akurat wtedy Jessica wyjrzała zza drzwi gabinetu.

— O, cześć — rzuciła. — Wydawało mi się, że słyszałam głosy. Chodźcie, zaczynamy.

Znikła. Meghan i ja stałyśmy jeszcze przez chwilę skrepowane.

— No — odezwała się w końcu. — To chyba już nie ma znaczenia, prawda? — Uśmiechnęła się. Z przymusem, ale szczerze. Doceniłam to.

— Chyba nie — mruknęłam.

— Chodź. Jeśli zaraz tam nie wejdziemy, Jess dostanie hysterii.

Weszliśmy do gabinetu pani Stone i po raz pierwszy nie miałam ochoty uciec.

TLR

[„Sun-Tribune”, 3 maja 2008, tekst: Angela Dash]

Nick Levil (17 lat) — trzecioklasista; choć świadkowie i policja bez najmniejszych wątpliwości stwierdzili, że był napastnikiem, jego motywy pozostają nieznane.

— Trzymał się na dystans, ale nie nazwałabym go samotnikiem - twierdzi Stacey Brinks. — Miał dziewczynę i kumpli. Czasami mówił o samobójstwie, właściwie często, ale nigdy o zabijaniu innych ludzi. Przynajmniej nie w naszej obecności. Może Valerie o tym wiedziała, ale my nie.

Policja zrekonstruowała postępowanie Levila drugiego maja na podstawie nagrań z kamer przemysłowych, a także uzyskała jasny obraz wypadków w stołówce. Otworzywszy ogień do uczniów, głównie ze starszych klas, napastnik strzelił do swojej dziewczyny Valerie Leftman, raniąc ją w nogę, a następnie do siebie. Urywki nagrań, ukazujące ponury finał masakry, przeciekły do internetu i niektórych dzienników, co wzbudziło gwałtowny sprzeciw rodziny Levila.

— Mój syn strzelał do innych, ale i on zginął — mówi jego matka. — Niech szlag trafi te szakale z telewizji. Przez to, co zrobili, moja rodzina się

**rozpada. Jak im się wydaje, co czujemy, widząc raz po raz, jak nasz syn roztrzaskuje sobie głowę?**

**— Nasz syn także nie żyje — dodaje ze łzami w oczach ojczym napastnika. — Nie zapominajcie o tym.**

Nie wiem, jak do tego doszło, ale zaprzyjaźniłam się z Jessicą Campbell. Nadszedł koniec semestru i gdyby nie doktor Hieler, pewnie bym tego nawet nie zauważyła.

— Mówiłem, że wytrzymasz — oznajmił. — Cholera, ale jestem dobry!

— Niech się pan tak nie nadyma — powiedziałam z uśmiechem. — Nikt nie twierdzi, że wrócę po feriach. Skąd pan wie, że się nie przeniosę?

Ale wróciłam i przekraczając próg szkoły, nie czułam już tego paraliżującego strachu.

Wszyscy przywykli do mojej obecności, w czym wydatnie pomógł mi fakt, że codziennie jadłam obiad z Jessicą.

I nadal zjawiałam się na zebraniach Rady Uczniów. Zaczęłam się bardziej udzielać. Nawet pomogłam ozdobić salę na urodziny pani Stone. Zamierzaliśmy zorganizować specjalne spotkanie — pięć minut poświęcone pracy nad projektem, reszta — jedzeniu tortu i natrząsaniu się z podeszłego wieku pani Stone. To miała być niespodzianka, więc spieszyliśmy się z ozdabianiem sali, żeby zdążyć przed powrotem nauczycielki nadzorującej wsiadanie uczniów do autobusu.



— Na sto procent idę na koncert JT — oznajmiła Jessica. Zakołysała się na krześle, odzyskała równowagę i stanęła na palcach. Oddarła kawałek taśmy i przykleiła pas niebieskiej bibuły do ceglanej ściany. — A ty?

— Nie, mama mi nie pozwoliła — odpowiedziała Meghan. Trzymała drugi koniec ozdoby. Jessica rzuciła jej taśmę klejącą. Meghan wyciągnęła po nią rękę i puściła niebieską wstęgę. — Cholera!

— Trzymam — odezwałam się. Chwyciłam bibułę i oddałam Meghan.

— Dzięki. — Meghan wspięła się na palce i przytwierdziła ozdobę. Jessica zajęła się nadmuchiowaniem balonu, który miał zawisnąć na środku niebieskiego pasa.

Wyjęłam kolejny balon z torby na biurku i także zaczęłam go nadmuchiwać. Za moimi plecami pozostali rozkładali obrus i wykładali tort na talerz. Josh pobiegł do stołówki po napoje, które przyniosła mama Jessiki.

-Okropnie bym chciała iść — dodała Meghan. — Kocham Justina Timberlake'a.

— Jest super, nie? — zgodziła się Jessica.

Meghan westchnęła głęboko.

— Mama mnie nigdzie nie puszcza. Normalnie dostała paranoi. Tata mówi jej, żeby wyluzowała, ale ona zaczęła ostatnio wspominać, że pośle mnie na studia w miejskim college'u. Nie może znieść myśli, że wyjadę. Jakby ktoś znowu miał do mnie strzelać.

Przywiązałam nadmuchany balon i wyjęłam następny.

— Tata dostał bilety od kolegi z pracy — opowiadała Jessica. — Przyszedł do domu i mówi: „Hej, Jess, znasz jakiegoś Dustina Timberlanda? Śpiewa country czy coś?” — Parsknęliśmy śmiechem. — A ja: „No pewnie, że znam Justina Timberlake'a”, a on: „No to mam dwa bilety, ale musisz iść z Roddym”. Mój brat przyjeżdża w weekend i zabierze mnie na koncert. Niech będzie. Roddy na ogół jest w porządku.

— Rodzice w życiu nie wypuściliby mnie z Troyem — oznajmiła Meghan. — Ma beznadziejnych kumpli, na przykład Duce'a Barnes'a. Pewnie by mnie zastrzelili razem z nim. — Spasowała i zerknęła na mnie.

Znałam Troya. Czasami, pod nieobecność Nicka, spotykał się z Duce'em. Skończył nasze liceum trzy lata temu i wszyscy wiedzieli, że to wariat. Kiedyś miał kłopoty, bo przygrzmocił pięścią w drzwiczki całego rzędu szafek, zostawiając w nich wgłębienia. Meghan go uwielbiała, ale w niczym go nie przypominała.

Na chwilę zapadła cisza. Zawiązałam balon i upuściłam go na podłogę. Wzięłam z torby następny i włożyłam do ust.

— A ty idziesz na koncert, Valerie? — spytała Meghan.

Odkaszlnęłam. Nadal nie czułam się całkiem swobodnie w jej obecności i coś mi mówiło, że ona też.

— Eee... — wydukałam, niepewna własnego głosu. Zabrzmiał zdecydowanie zbyt pogodnie jak na to, co czułam. — Chyba nie. Mam szlaban do końca życia.

— Dlaczego?

Jessica zeskokczyła z krzesła i zabrała się do nadmuchiwania balonów.

— No wiesz. Strzelanina — mruknęłam. Twarz mnie paliła.

Meghan rzuciła mi zdziwione spojrzenie.

— Ale przecież to nie twoja wina. Sama zostałam ranna.

— Aha. Ale rodzice nie widzą tego w ten sposób. W tej chwili słyszę tylko o moim braku krytycyzmu.

Meghan jęknęła.

— niesprawiedliwość — powiedziała cicho.

Jessica zawiązała balon.

— Pytałaś ich, czy możesz wyjść?

Pokręciłam głową.

— Właściwie nie mam dokąd.

Za naszymi plecami trwała cicha kłótnia o rozmieszczenie świeczek na torcie.

— Jess, powinnaś ją zaprosić na imprezę Aleksa — podsunęła Meghan. Zeskoczyła z krzesła i przyjrzała się dekoracji. — Jak to wygląda?

Jessica oparła ręce na biodrach i obrzuciła wzrokiem ścianę.

— Moim zdaniem idealnie. A twoim, Val?

Odwróciłam się.

— Super.

Przez parę minut wszystkie nadmuchiwałyśmy balony. Potem Jessica powiedziała:

— Meghan mówiła o imprezie dwudziestego piątego. W stodole. Byłaś kiedyś na takiej?

Pokręciłam głową i zatwiązałam balon.

— Na farmie Aleksa Golda. Jego rodzice wyjeżdżają na dwa tygodnie do Irlandii. Zapowiada się nieźle.

— Ostatnio zgubiłam buty — dodała Meghan. — I ktoś obrzygał Jamiego Pembroke'a. Pamiętasz? — Obie się roześmiały. — Powinnaś tam pójść, Val. Totalny odjazd.

— No, chodź z nami — dorzuciła Jessica. Trąciła mnie w ramię. — Wszyscy nocują u mnie.

Udałam, że się nad tym zastanawiam, że cieszę się z zaproszenia, ale w głowie rozdzwonił mi się alarm tak głośny, że prawie nie mogłam myśleć. Chodzić z Jessicą na zebrania Rady to jedno, podobnie jak siedzieć z nią na korytarzu podczas obiadu, ale iść na imprezę pełną jej przyjaciół to coś zupełnie innego. Już sobie wyobrażałam, co niektórzy o mnie powiedzą. I co powiedziałby Nick, gdyby wiedział, gdzie się wybieram. Nie mogłam tego znieść.

Ale Jessica patrzyła na mnie tak szczerze, tak ufnie, że nie mogłam jej odmówić, nie udając chociaż, że spytałam mamę.

— Dobrze — powiedziałam. — Spróbuję.

Jessica się rozpromieniła i nawet na twarzy Meghan zagościł delikatny uśmiech.

— Świetnie!

— Co się dzieje? — spytała pani Stone od progu. Jeszcze nie zdjęła płaszcza i miała czerwony nos od zimnego wiatru, który zerwał się tego ranka nie wiadomo skąd.

— Niespodzianka! — wrzasnęliśmy razem i pokój wypełniły wiwaty.

Pani Stone chwyciła się za serce i powiodła wzrokiem po wszystkich, ale odniosłam wrażenie, że najdłużej zatrzymała go na mnie, Jessice i Meghan, z którymi trącałam się i żartowałam.

— Jaka cudowna niespodzianka — powiedziała, ocierając kąciki oczu.

— Przykro mi, dziewczęta, ale nie możecie tu dłużej siedzieć — zakomunikował pan Angerson. — Tędy będą przechodzić robotnicy.

Jessica i ja stałyśmy, trzymając przed sobą tace.

Robotnicy przez cały ranek kręcili się po budynku, łomocząc młotkami i hałasując ciężkim sprzętem tak, że nie mogliśmy się skupić. Instalowali dodatkowe drzwi klas — takie bez szyb — a okienka w starych wyposażali w szkło kuloodporne. Nowe drzwi zatrzaśkiwały się automatycznie, co oznaczało, że każdy, kto wyjdzie w czasie lekcji do łazienki, będzie musiał zapukać, aby wejść do środka. Oczywiście znaczyło to także, że gdyby ktoś wtargnął do szkoły z bronią, bombą czy czymś w tym stylu, nie zdołałby staranować wejścia do naszych małych fortec.

— Dobrze — powiedziała Jessica. Spojrzałyśmy na siebie i ruszyłyśmy do stołówki. — Nie wygłupiaj się — dodała swoim dawnym władczym głosem, który znałam tak dobrze. — Usiądziesz ze mną. — Zarzuciła włosami, wypięła pierś i śmiało ruszyła przez tłum.

Nogi ciążyły mi jak odlane z ołowiu, ale szłam za nią. Dotarłyśmy do stołika, który zawsze nazywałam Kwaterą Główną CHBBS. Na samą tę myśl spanikowałam.

— Cześć — rzuciła Jessica. Postawiła tacę na stole i przyniosła dwa krzesła. Momentalnie zapadła cisza.

— Cześć, Jess — powiedziała Meghan, ale bardzo cicho, bez uśmiechu. Całkiem jakby tamten dzień, kiedy nadmuchiwałyśmy balony, tylko mi się przyśnił. — Cześć, Val.

Usiłowałam się uśmiechnąć, ale moje usta odmówiły współpracy.

— Myślałem, że teraz jadasz na korytarzu... z nią — wycedził Josh.

— Angerson nam oczywiście zabronił. — Jessica siadła i spojrzała na mnie. — No, siadaj. Nikomu to nie przeszkadza.

Ktoś prychnął, ale nie zauważyłam kto.

Usiadłam ze spuszczoną głową. Wiedziałam, że nie zdołam przełknąć ani kęsa. Nagle sos wydał mi się podobny do brązowej galarety, a mięso do kawałka plastiku. Żołądek mi się skręcił.

— Jess, idziesz na imprezę? — spytał ktoś.

— No pewnie, że idziemy.

— My, czyli kto?

Jessica wskazała mnie widelcem.

— Zaprosiłam Val.

— Nie gadaj! — huknął Josh, głośno jak zwykle.

— Gadam. Masz z tym jakiś problem? — W głosie Jessiki usłyszałam dawny przemądrzały ton. Ile razy zwracała się tak do mnie? „Na co się gapisz, Siostró Śmierć? Fajne butki, Siostró Śmierć. Myślisz, że mówię do twoich przegranych kumpli? Masz z tym jakiś problem? Jakiś problem, Siostró Śmierć?”. Ale tym razem zaatakowała nie mnie, ale swoich kumpli, którymi rządziła. Poczulałam ulgę, a zaraz potem — wyrzuty sumienia. Straciłam rozeznanie, która z nas zmieniła się bardziej: Jessica Campbell czy ja.

— Jeszcze nie spytałam rodziców — wymamrotałam. — Chciałam to zrobić w ten weekend.

Jessica lekceważąco machnęła ręką, wpatrzona w przyjaciół. Spojrzeniem zmrużonych oczu wyzywała ich, by odważyli się jej sprzeciwić. Trzymała widelec jak broń.

Nastrój przy stole się zmienił. Wszyscy spuścili wzrok i ucichli. Parę osób szeptało ze sobą na tyle głośno, że wiedziałam, że chodzi o mnie, choć nie różniałam słów.

Ale usłyszałam jedno:

— A zeszyt przyniesie?

Ktoś się roześmiał i mruknął:

— Przyjdzie z chłopakiem?

Miałam tego dość. Jak idiotka spodziewałam się, że mnie przyjmą. Choć minęło tyle czasu, choć Jessica wstawiła się za mną... „Dostrzegaj prawdziwe oblicze sytuacji — prosił doktor Hieler. — Dostrzegaj to, co istnieje naprawdę”.



Widziałam i wcale mi się to nie podobało. Wszystko zostało tak jak kiedyś. Ale wtedy mogłam się pocieszyć zapisaniem ich nazwisk na liście i pogadaniem z Nickiem. Teraz się zmieniłam i nie wiedziałam, co mogłabym zrobić... poza ucieczką.

— Zapomniałam — odezwałam się, wstając i zabierając tacę. — Muszę przed szóstą lekcją oddać pracę z angielskiego, bo dostanę pałę. Masakra. — Usiłowałam się roześmiać, ale tak bardzo wyschło mi gardło, że pewnie wszyscy słyszeli, jak chrypię.

Wstałam i odniosłam tacę do okienka. Wymknęłam się ze stołówki, słysząc głos doktora Hielera: „Jeśli dalej będziesz chudnąć, twoja mama znowu pomyśli, że masz anoreksję”. Pomaszerowałam prosto do łazienki w skrzydle sztuk pięknych i zamknęłam się w kabinie. Zostałam w niej do dzwonka, przysięgając, że za cholere nie pójdę na tę imprezę.

Siedziałam na łóżku, podziwiając moje paznokcie u stóp, pomalowane intensywnym różem. Nie używałam tego lakieru tak długo, że wokół szyjki butelki zaschła gruba skorupa, a płyn rozdzielił się na dwie warstwy: różową na dole i przejrzystą na górze. Bardzo zgęstniał, więc dodałam do niego parę kropel zmywacza i to rozwiązało problem.

Normalnie wybierałam czerń. Albo granat. Czasami zgniłą zieleń lub siną żółć trupiego ciała. Ale kiedyś, dawno temu, lubiłam róż. Tonałam w różu. Zdało się, że mi się przejadł. A potem chyba przejadła mi się czerń. Nie mam jednak pewności.

Wiem tylko, że w końcu ciekawość zwyciężyła. Wyjęłam spod umywalki starą kasetkę z lakierami Ślicznej Poetycznej Księżniczki Valerie. Nic mi się nie stanie, jeśli przez parę dni będę miała różowe paznokcie u stóp, prawda?

Nadal czekałam, aż wyschną, dmuchając na nie, co raczej niczemu nie służyło, kiedy ktoś bardzo cicho zapukał do moich drzwi.

Przechyliłam się i ściszyłam stereo.

-No?

Drzwi się uchyliły i do środka zajrzał tata. Skrzywił się, patrząc na odtwarzacz, więc go wyłączyłam.

— Możemy porozmawiać?

Skinęłam głową. Nie zamieniliśmy ani słowa od dwóch tygodni — od czasu incydentu z Britni/Brenną.

Tata wszedł do pokoju ostrożnie, jakby stąpał po polu minowym. Odsunął stopą stertę podkoszulków. Zauważyłam, że włożył sportowe buty. I dzinsy, i koszulkę polo. Strój swobodny, ale jednak wyjściowy.

Usiadł na moim łóżku. Przez chwilę milczał, wpatrując się w moje palce u stóp. Podwinęłam je odruchowo i zaraz przestraszyłam się, że rozmażę lakier. Rozprostowałam palce. Tylko jeden paznokieć ucierpiał. Wytarłam go kciukiem i przyjrzałam się swojej stopie, która nagle wydała mi się delikatna i niedoskonała przez ten jeden palec o bladym paznokciu. Jakbym zaczęła się stawać piękna, ale nie potrafiła dokończyć tego procesu.

— Nowy kolor? — spytał tata, co wydało mi się dziwne. Czy ojcowie powinni zauważać lakier na paznokciach córek? Nie wiedziałam, ale mój tata z całą pewnością tego nie dostrzegał. Sama myśl o tym mnie zaniepokoiła.

— Nie. Bardzo stary — odpowiedziałam.

— Aha. — Zamilkł. — Słuchaj, Val, jeśli chodzi o Briley...

„Briley — pomyślałam. — Oczywiście. Nazywa się Briley”.

— Tato... — zaczęłam, ale przerwał mi gestem ręki. Przełknęłam ślinę. Zdanie zaczynające się od: „Słuchaj, Val, jeśli chodzi o Briley” nie zapowiadało przyjemnej rozmowy. To wiedziałam na bank.

— Posłuchaj... — powtórzył. — Twoja mama...

Urwał. Parę razy otworzył i zamknął usta, jakby zapomniał, do czego zmierza. Zgarbił się, jakoś dziwnie poruszył dłońmi.

— Tato, nie powiem mamie. Nie musisz... — zaczęłam, ale znowu mi przerwał.

— Muszę. Naprawdę muszę.

Wtedy zamilkłam na dobre. Palce u stóp mi zziębły. Wbiłam w nie wzrok; prawie się spodziewałam, że moje paznokcie zmienią kolor z intensywnego różu na fiolet albo lodowaty błękit. Może jednak ten kolor trupiego ciała wcale nie należał do przeszłości? Zaczęłam się zastanawiać, kto tu jest intruzem: dawna czy nowa Valerie? Od czasu strzelaniny nie mogłam się pozbyć tego pytania. Miałam wrażenie, że potrafię w jednej chwili zmienić osobowość.

— Powiedziałem — oznajmił w końcu tata. — Powiedziałem jej wszystko. Twojej matce.

Milczałam. Nie wiedziałam, czego ode mnie oczekuje.

— Nie przyjęła tego dobrze. Oczywiście. Bardzo się rozgniewała. Kazała mi się wynosić.

— Kurczę — mruknęłam.

— Jeśli to robi jakąś różnicę, kocham Briley. Od dawna. Pewnie się pobierzemy.

Owszem, to robiło różnicę, ale nie taką, na jaką miał nadzieję. Pomyślałam z ponurą satysfakcją, że w końcu doczekam się złej macochy. Jakoś mi to pasowało do ogólnego obrazu mojego życia. Poczułam ukłucie żalu — posiadanie macochy zbliżyłoby mnie do Nicka.

Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy. Zastanawiałam się, o czym myśli tata. Dlaczego nadal tu tkwi. „Czeka na rozgrzeszenie? Mam powiedzieć, że mi to nie przeszkadza? Wspaniałomyślnie włączyć Briley do mojego życia?”

— Od dawna jesteś z... hm... nią? — spytałam.

Tata spojrzał mi prosto w oczy. Możliwe, że zrobił coś takiego po raz pierwszy w życiu. Ze zdziwieniem zauważyłam głębię. Zawsze uważałam go za jednowymiarowego. Tylko praca i praca. Żadnych uczuć poza zniecierpliwieniem i gniewem.

— To się zdarzyło na długo przed strzelaniną. — Roześmiał się cicho, bez prawdziwego rozbawienia. — Właściwie ten incydent sprawił, że mama i ja zbliżyliśmy się do siebie. Teraz trudniej mi ją zostawić. Przez parę ostatnich miesięcy zламаłem Briley serce milion razy. Miałem się do niej wprowadzić w życie. Liczyliśmy, że do tego czasu weźmiemy już ślub. Ale strzelanina...

Jak wiele innych osób, po tych słowach zawiesił głos, jakby to wszystko wyjaśniało. Ale tak, wiedziałam, o co mu chodzi. Strzelanina zmieniła nas wszystkich. Nawet Briley, która nie miała nic wspólnego z moją szkołą.

— Nie mogłem zostawić Jenny samej. Tak wiele przeżyła. Szanuję twoją matkę i nie chcę jej zranić, ale po prostu jej nie kocham. Nie tak jak Briley.

— Czyli naprawdę to zrobisz — wymamrotałam. — Odejdiesz.

Pokiwał powoli głową.

— Tak. To jedyne słuszne wyjście. Muszę to zrobić.

Chciałam się wściec. Chciałam krzyknąć: „Wcale nie musisz!”. Ale nie mogłam. Prawda wyglądała tak — oboje to wiedzieliśmy — że ojciec odszedł już dawno. Tkwił tu, ale chciał być gdzie indziej. W jakiś dziwny sposób on także stał się ofiarą strzelaniny. Jedną z tych, które utknęły w pułapce.

— Gniewasz się? — To pytanie wydało mi się wyjątkowo dziwne.

— Tak — powiedziałam. Naprawdę się gniewałam, tylko nie wiedziałam za co. Ale chyba nie musiał tego wiedzieć. I pewnie nie chciał. Może chodziło mu tylko o świadomość, że zależy mi na nim na tyle, żeby się wściec.

— Wybaczysz mi kiedyś? — spytał.

— A ty mnie? — palnęłam, patrząc mu prosto w oczy.

Wytrzymał moje spojrzenie przez parę chwil. Potem wstał bez słowa i ruszył do drzwi. Położył rękę na klamce i się zatrzymał.

— Nie — odezwał się cicho, nie odwracając się do mnie. — Może to znaczy, że jestem złym ojcem, ale nie wiem, czy potrafię ci wybaczyć. Nieważne, co mówi policja. Brałaś udział w strzelaninie. Zapisałaś te nazwiska na liście.

Umieściłaś na niej mnie. Miałaś tu wszystko. Może nie pociągnęłaś za spust, ale doprowadziłaś do tragedii.

Otworzył drzwi.

— Przykro mi. Naprawdę. — Wyszedł na korytarz. — Zostawię matce mój nowy adres i numer telefonu — dodał i powoli odszedł.

TLR

Jak zawsze, doszłam do wniosku, że najbezpieczniej będzie darować sobie kolację i znaleźć coś do jedzenia, kiedy wszyscy pójdą spać. Zaczekałam, aż światło widoczne w szparze pod drzwiami zgaśnie — cisza nocna — i wykużyłam na korytarz.

W kuchni przy blasku otwartej lodówki zrobiłam kanapkę z masłem orzechowym i dżemem. Usiadłam przy stole. Wolałam zjeść w ciemności. Tak czułam się lepiej, bezpieczniej. Jakbym miała swoją własną tajemnicę i mogła się odgrodzić od tych wszystkich otaczających mnie głupot. Bo to właściwie głupoty, prawda? Po masakrze w szkole wszystko, nawet odejście ojca, wydaje się trywialnym drobiazgiem.

Skończyłam kanapkę i już miałam wstać i odejść, kiedy z salonu dobiegł mnie jakiś odgłos, jakby przeciągłe chlip— niecie i cichy kaszel. Zamarłam.

Odgłos się powtórzył a po nim charakterystyczny szelest wyciąganej z pudełka chusteczki.

Zakradłam się na próg salonu i spojrzałam w ciemność.

— Halo — odezwałam się cicho.— Wracaj do łóżka, Valerie, to tylko ja — odezwała się mama zza mrocznej fortecy kanapy. Głos miała ochrypły.



Zawahałam się. Mama znowu pociągnęła nosem. Wyjęła kolejną chusteczkę. Zrobiłam parę kroków w głąb pokoju. Stałam za kanapą, położyłam ręce na jej oparciu.

— Co ci jest?

Nie odpowiedziała. Obeszłam kanapę i chciałam na niej usiąść, ale ostatecznie uklękłam nieopodal. Widziałam cień mamy i biały szlafrok, rozchylony nad kolanami. Na tym tle jej skóra wydawała się wyjątkowo opalona.

— Co ci jest? — powtórzyłam.

Odpowiedziało mi milczenie. Już chciałam wrócić do łóżka, tak jak mi kazała, ale mama w końcu się odezwała:

— Jednak coś zjadłaś? Powiedziałam doktorowi Hielerowi, że od tygodni nie widziałam, żebyś miała coś w ustach.

— Schodziłam do kuchni w nocy. Nie mam anoreksji, jeśli tak myślałaś.

— Właśnie tak myślałam — odpowiedziała, znowu ze łzami. Pociągnęła nosem. Po chwili usłyszałam cichy szloch, a po nim głęboki oddech. — Tak bardzo wychudłaś... nie widziałam, żebyś coś jadła... co miałam pomyśleć? Doktor Hieler powiedział, że pewnie tak robisz: jesz, kiedy mnie nie ma.

Punkt dla doktora Hielera. Nieraz zapominałam, że bronił mnie nawet pod moją nieobecność. Czasami zastanawiałam się, ile razy odwodził mamę od jakichś idiotycznych pomysłów.

— Tata odszedł? — spytałam po chwili.

Chyba skinęła głową, bo cień lekko się poruszył.

— Teraz zamieszka z nią. To najlepsze wyjście.

— Tęsknisz za nim?

Odetchnęła ciężko.

— Tak. Ale nie za tym człowiekiem, z którym żyłam przez ostatnie lata. Tęsknię za mężczyzną, któremu powiedziałam „tak”. Pewnie tego nie zrozumiesz.

Zagryzłam wargę, niepewna, czy powinnam się obrazić. I czy mam się z nią kłócić.

— No, trochę rozumiem — mruknęłam. — Ja też tęsknię za Nickiem. Za czasami, kiedy tylko graliśmy w kręgle i tak dalej, kiedy po prostu się bawiliśmy. Wiem, że uważasz go za wcielenie zła, ale to nieprawda. Nick był kochany i mądry. Tego mi brakuje.

Mama wytarła nos.

— Pewnie tak — powiedziała, a ja poczułam tak gigantyczne szczęście, że nie potrafiłam go opisać. — Pamiętasz... — zaczęła i urwała. Zaszleściła kolejną chusteczką, znowu rozległo się siąknięcie. — Pamiętasz, jak raz pojechaliśmy w lecie do Dakoty Południowej? Zapakowaliśmy się do starego samochodu dziadka, z ogromną lodówką z kanapkami i napojami, i ruszyliśmy, bo twój tata chciał pokazać tobie i Frankiemu Mount Rushmore?

— Tak. Pamiętam, że wzięłaś nocnik, na wypadek gdyby nam się chciało w drodze. A gdzieś w Nebrasce Frankie zjadł kraba i zarzygał cały stół.

Mama zachichotała.

— A twój ojciec nie spoczął, dopóki nie zwiedziliśmy tego makabrycznego Corn Pałace.

— I muzeum zoologii. Pamiętam, że się rozplakałam, bo myślałam, że znajdę tam żywe zwierzęta, jak w zoo.

— A twoja babcia, niech odpoczywa w pokoju, przez całą drogę paliła te wstrętne papierosy.

Obie zachichotałyśmy i znowu zamilkłyśmy. Straszna wycieczka. Straszna i wspaniała.

— Nie chciałam, żebyście mieli rozbitą rodzinę — szepnęła mama.

Zastanowiłam się. Wzruszyłam ramionami, choć wiedziałam, że ona tego nie widzi.

— No wiesz, trudno. Tata nie chciał z nami mieszkać. Może nie dostałby nagrody dla najlepszego ojca świata, ale nikt nie powinien się tak męczyć.

— Wiedziałaś.

— Tak. Jakiś czas temu zobaczyłam w jego kancelarii Briley. Domyśliłam się.

— Briley — powtórzyła mama, jakby na próbę. Myślała, że to imię brzmi seksowniej niż jej własne? Bardziej kusząco niż Jenny?

— Powiedziałaś Frankiemu? — spytałam.

— Zrobił to twój ojciec. Zaraz po rozmowie z tobą. Oznajmiłam mu, że nie zamierzam łamać wam serc. Uznałam, że powinien sam was powiadomić, że wyprowadza się do dwudziestolatki. Nie będę dalej odwalać za niego brudnej roboty. Mam dość odgrywania roli złego policjanta.

— Frankie dobrze to zniósł?

— Nie. I nie wyszedł ze swojego pokoju. A ja się boję, że kolejne moje dziecko napyta sobie kłopotów i... nie... wiem... czy zdołam... to znieść... sama...

Jej głos zatonął w fali łez tak gwałtownej i rozpaczliwej, że mnie także zwilgotniały oczy. Gdyby usłyszał to ktoś obcy, mógłby przysiąc, że mama właśnie straciła wszystko. Może tak się czuła.

— Frankie to dobre dziecko, mamó — powiedziałam. — Ma przyzwoitych kolegów. Na pewno nie... — Omal nie powiedziałam: „będzie taki, jak ja”, ale w ostatniej chwili się speszyłam i dokończyłam: — ...narobi sobie kłopotów.

— Oby. Ledwie kontroluję ciebie. Przecież się nie rozerwę. Nie mogę niańczyć wszystkich.

— Nie musisz mnie już niańczyć. Wszystko ze mną dobrze, mamó, naprawdę. Doktor Hieler twierdzi, że robię postępy. Chodzę na zajęcia Bei. Pracuję nad projektem Rady. — Nagle poczułam ogromną potrzebę pomocy mamie. Ogarnęło mnie współczucie, o które siebie nie podejrzewałam. Zapragnęłam być kimś, kto da jej nadzieję, zwróci jej tę podróż do Dakoty Południowej. — Chciałam spytać, czy pozwolisz mi nocować w przyszły weekend u Jessiki Campbell. — Gardło mi się zacisnęło.

— Tej blondynki, która tu ciągle przychodzi?

— Tak. To przewodnicząca Rady Uczniów i siatkarka. Jest w porządku, mamó, naprawdę. Codziennie jemy razem obiad. Przyjaźnimy się.

— Och, Val... — szepnęła mama ochryłym głosem. — Na pewno chcesz to zrobić? Myślałam, że nie znosisz tych dziewczyn.

— No wiesz, mamó?! — rzuciłam podniesionym głosem. — To właśnie ją zastrawiłam. Uratowałam jej życie. Ocaliłam ją. Teraz się kolegujemy.

Znowu zapadło milczenie. Mama pociągnęła parę razy nosem, tak zatka-  
nym, że i mnie zaczęło brakować powietrza.

— Czasami zapominam — wymamrotała niewyraźnie. — Czasami zapo-  
minam, że tamtego dnia zachowałam się jak bohaterka. Widzę tylko dziewczynę,  
która spisała listę osób do odstrzału.

Powstrzymałam chęć poprawienia jej: „Nie życzyłam śmierci tym ludziom.  
I nigdy byś się nie dowiedziała o tej liście, gdyby Nick nie zwariował. Ale to  
jemu odbiło, nie mnie! Nie mnie!”.

— Czasami za bardzo zajmuje mnie myślenie o tobie jako o wrogu, który  
zakłócił funkcjonowanie mojej rodziny, i nie dostrzegam, że to ty powstrzyma-  
łaś masakrę. Uratowałaś życie tej dziewczyny. Nie podziękowałam ci za to,  
prawda?

Pokręciłam głową, choć wiedziałam, że mama tego nie widzi. Ale coś mi  
podpowiadało, że i ona, jak ja, czuje to w powietrzu.

— Naprawdę się zaprzyjaźniłyście?

— Tak. Nawet ją lubię. — Z pewnym zdziwieniem stwierdziłam, że to prawda.

— Zatem powinnaś tam iść. Powinnaś się spotkać z przyjaciółką. Powinnaś się bawić.

Żołądek mi się ścisnął. Nie wiedziałam, jak mam się bawić z tymi ludźmi. Dla nich zabawa oznaczała zupełnie coś innego niż dla mnie.

TLR

— Pewnie pan wie, że tata odszedł — oznajmiłam, przyglądając się książkom doktora Hielera, który siedział w zwykłej pozie na fotelu: z nogą zarzuconą na oparcie, w zamyśleniu dotykając wargi palcem wskazującym.

— Twoja mama mi powiedziała — przyznał. — Co o tym sądzisz?

Wzruszyłam ramionami i przeniosłam wzrok na figurki na biblioteczce. Porcelanowy słoik, kartka przedstawiająca lekarza z dzieckiem, szlifowany kawałek kwarcu. Podarki od pacjentów.

— Spodziewałam się tego. Nie byłam zaskoczona.

— Czasem nawet to, czego się spodziewamy, może nas zboleć.

— No, nie wiem. Chyba już dawno to zaakceptowałam. Kiedyś było mi przykro, ale teraz... nie wiem... teraz nawet mi ulżyło.

— Rozumiem.

— A tak w ogóle dziękuję, że załatwił pan z mamą sprawę anoreksji. — Dałam sobie spokój z biblioteczką i padłam na kanapę.

Skinął głową.

— Ale musisz się odżywiać. Wiesz o tym, prawda?

— Wiem, wiem. Odżywiam się. Nawet przybyło mi parę kilo. To nic takiego. Nie odchudzam się.

— Wierzę. Mama po prostu się martwi. Czasami trzeba ustąpić starym. Pokaż jej, że jesz. Dobrze?

Przytaknęłam.

— Dobrze, ma pan rację.

Uśmiechnął się szeroko.

— Znowu mam rację! Chyba przejdę na zawodowstwo!

Zachichotałam.

— A, prawie zapomniałam. Coś dla pana zrobiłam.

Uniósł brwi i pochylił się, żeby przyjąć obrazek, który wyjęłam z plecaka.

— Nie musiałaś.

Odwrócił go i przyjrzał się portretowi namalowanemu przeze mnie w zeszłą sobotę.

— Niewiarygodne — mruknął. Potem powtórzył z większym entuzjazmem: — Naprawdę niesamowite! Nie wiedziałem, że tak potrafisz.

Stałam za nim i spojrzałam na jego portret. Nie przedstawiał faceta o ciemnych włosach i współczujących oczach, którego widywałam co tydzień,



tylko prawdę o nim: oazę spokoju, rozbłysk światła, daleki od tego ciemnego tunelu, w którym żyłam.

Pokiwałam głową.

— Bardzo lubię malować. Jedna pani ma pracownię po drugiej stronie ulicy i uczy mnie za darmo. Mam też szkicownik. Rysuję w nim to, co istnieje naprawdę. Nie to, co chcą mi pokazać ludzie. To mi pomogło. Choć niektórzy uważają, że tworzę kolejną listę. Nieważne. Ich też rysuję.

Doktor ostrożnie oparł obraz o lampę na stoliku.

— Pozwolisz mi go obejrzyć? Przyniesiesz ten szkicownik?

Uśmiechnęłam się nieśmiało.

— Dobrze. Mogę przynieść.

W domu Jessiki Campbell pachniało wanilią. Wszystko lśniło czystością, jak samochód, którym przywiozła nas jej mama, a kolory przypominały reklamę. Jaskrawe chabrowe błękity, ciemne zielenie, słoneczne żółcienie, które prawie raziły w oczy, gdy patrzyło się na nie za długo.

Siedziałyśmy przy stole w kuchni — Jessica, Meghan, Cheri Mansley, McKenzie Smith i ja — jedząc delikatne precelki, które specjalnie dla nas zrobiła mama Jessiki. Podała je na owalnym talerzu z wypisanymi na brzegu słowami modlitwy, a obok postawiła czarki z musztardą i sosami.

Jessica i Cheri rozmawiały o Dougu Hobsonie, któremu koledzy ściągnęli gacie w przebieralni po treningu. Śmiały się i opychały preclami tak bez troski, że patrząc na nie, miałam wrażenie, iż oglądam film. Meghan i McKenzie przeglądały kolorowe pismo o fryzurach. Ja w milczeniu skubałam przegryzkę.

Mama Jessiki stała przy zlewie, z czułością spoglądając na córkę. Śmiała się razem z dziewczynami, ale nie uczestniczyła w rozmowie. Usiłowałam nie dostrzegać, że radość znika z jej twarzy przy każdym spojrzeniu na mnie.

Skończyłyśmy jeść i poszłyśmy na górę do pokoju Jessiki, która włączyła jakąś nieznaną mi piosenkę. Cała czwórka zaczęła tańczyć, paplać i wydawać piski, do których moje struny głosowe chyba nie były zdolne. Usiadłam na łóż-

ku i patrzyłam na nie z uśmiechem, co nawet nie przychodziło mi z trudem. Pomyślałam, że gdybym miała przy sobie szkicownik, narysowałabym tę scenę dokładnie tak, jak wyglądała. Wreszcie poczułam kontakt z rzeczywistością.

Po chwili do drzwi zapukała mama Jessiki. Uchyliła je i uśmiechnęła się, odsłaniając idealne zęby. Oznajmiła, że kolacja stoi już na stole. Ruszyliśmy na spotkanie z domową pizzą. Trzy rodzaje dodatków. Ciasto idealnie wypieczone i kruche. Mięso świetnie przyrządzone. Warzywa idealnie miękkie. Niemal zbyt idealne, by je zjeść.

Mimo woli zastanowiłam się, co by się wydarzyło, gdybym nie skoczyła między Jessicę i Nicka. Co by się stało z jej mamą. Czy nadal piekłaby idealne pizze i ozdabiała kuchnię salaterkami z cytrynami? Czy ustawiałaby w domu świece o waniliowym aromacie? Nie wyglądała na kogoś, kto popiera agresję. Czy wiedziała, że Jessica nazywała mnie Siostrą Śmierć? Czy poczuła się nią rozczarowana? Czy poczuła się rozczarowana sobą za to, że wychowała taką córkę? I co by zrobiła, gdyby była moją mamą? Wolalaby stracić córkę czy podejrzewać ją o udział w strzelaninie?

Po kolacji wyjechałyśmy samochodem Jessiki, a jej mama pomachała nam z okna jak przedszkolakom wyruszającym na pierwszą wycieczkę. Do domu Aleksa prowadziła długa droga pełna wykrętów. Po chwili przestałam rozpoznawać otoczenie — nawet nie wiedziałam, że w Garvin istnieją takie trasy.

Dom Aleksa, rozległy i ceglany, był niemal zupełnie ukryty wśród dzikich jabłonek. W oknach nie paliło się światło i sylwetka budynku rysowała się złowieszczo na tle czarnego nieba, choć wokół stało mnóstwo samochodów, jakby na imprezę przybyło całe miasto.

Koło podjazdu znajdowała się uchylona brama pastwiska. Jessica zjechała na trawę. Wysiadliśmy. Z lewej strony dobiegał łomot muzyki. Przed nami znajdowała się stodoła z szeroko otwartymi drzwiami, w których błyskały kolorowe światła, rzucające poświatę na siano.

Przez muzykę przebijały śmiechy i piski, a także odgłosy całkiem naturalne w gospodarstwie — szczekanie psa, ryk krów, rechotanie żab w stawie.

Jessica, Meghan, McKenzie i Cheri dosłownie popędziły do stodoły, trajkocząc między sobą i podskakując w rytm muzyki. Ja szłam za nimi wolniej, zagryzając wargę. Serce mi łomotało, nogi ciążyły.

W stodole było tłoczno. W morzu ludzi nie mogłam znaleźć Jessiki ani reszty dziewczyn. Zaczęłam sobie torować drogę i wkrótce dotarłam do wielkiej metalowej wanny pełnej lodu, w który powtykano mnóstwo butelek. Widziałam głównie piwo, ale po dokładniejszym poszukiwaniu upolowałam oranżadę. Od śmierci Nicka nie wypłam kropli alkoholu i nie wiedziałam, jak bym na niego zareagowała.

— Chcesz?! — krzyknął ktoś za moimi plecami. Odwróciłam się i zobaczyłam Josha z butelką piwa. — Ale impreza!

Podszedł, wyjął mi z ręki oranżadę i rzucił ją z powrotem do lodu, z którego wyjął piwo. Zerwał z niego kapsel. . — Masz — powiedział, błyskając zębami w uśmiechu.

Wzięłam piwo drżącą ręką. Pomyślałam o Nicku. O naszych imprezach. O tym, jak sobie wyobrażaliśmy zabawy Jessiki i Josha. I że Nick poczułby się zdradzony, gdyby widział, jak piję z Joshem. I że to już nieważne, bo Nick nie żyje. Ta myśl coś we mnie zmieniła. Pociągnęłam duży łyk.

— Przyszłaś z Jess?! — krzyknął Josh.

Skinęłam głową i znowu sobie chlapnęłam.

Oboje przez chwilę słuchaliśmy muzyki i patrzyliśmy na tłum. Josh skończył piwo i rzucił butelkę na stertę za sianem. Wyjął z wanny drugą, lekko się chwiejąc.

Wypiłam jeszcze trochę i niemal z zaskoczeniem zauważyłam, że opróżniłam prawie pół butelki. W głowie mi zaszumiało i zaczęłam się przekonywać do tej imprezy. Pozwoliłam sobie na jeszcze jeden łyk i lekko poruszyłam głową w rytm muzyki.

— Chcesz zatańczyć? — spytał Josh.

Odruchowo spojrzałam za siebie, nie wyobrażając sobie, żeby mógł się zwracać do mnie. Na zebraniach Rady Uczniów prawie mnie nie zauważał. A w stołówce też się nie ucieszył z mojej obecności. Co mu się stało?

Josh parsknął śmiechem.

— Mówię do ciebie!

Ja też się roześmiałam. I to nie cicho, co mnie dość zaskoczyło. Uniosłam butelkę do ust, ale okazała się pusta.

Wyrzuciłam ją na stertę i sięgnęłam do wanny po kolejną. Josh wyjął mi ją z ręki i otworzył, po czym oddał.

— Właściwie już nie tańczę — wyznałam. — Moja noga...

Ale kiedy spojrzałam w dół, noga wyglądała zupełnie zwyczajnie. I nawet nie bolała. Wypiłam trochę piwa.

— Daj spokój. — Josh zarzucił sobie moją rękę na szyję i pochylił się do mnie. — Nikt nie zauważy.

Pociągnęłam jeszcze jeden łyk i oblizalam wargi. Josh ładnie pachniał. Mydłem. Takim męskim, którego używał też Nick. Uwielbiałam na nim ten zapach. I nagle serce zabolalo mnie z tęsknoty. Poczułam się tak samotna, jakby ktoś mnie zamknął w klatce. Zmrużyłam oczy i oparłam głowę na ramieniu Josha. Zobaczyłam szereg obrazów. Uśmiechnęłam się, uniosłam powieki i rozprawiłam się z piwem. Wyrzuciłam pustą butelkę i chwyciłam Josha za rękę.

— No, to na co czekamy?! — zawołałam. — Tańczmy!

Dziwne, z jaką łatwością mi to przyszło. Można powiedzieć, że odzyskałam utraconą umiejętność. Kiedyś taniec był moim ulubionym zajęciem. W żyłach szumiał mi alkohol, pomagając zapomnieć o rzeczywistości. Przypomniałam sobie chwile, gdy tańczyłam w ramionach Nicka, który laskotał mi szyję odde-

chem i mówił: „Jesteś wspaniała, wiesz o tym? Szkolne imprezy są beznadziejne, ale przynajmniej mam najpiękniejszą dziewczynę na sali”.

Piosenka zmieniła się na wolną. Pozwoliłam się objąć mocniej. Przyłgnęłam do Josha i zamknęłam oczy. Skórzany rękaw jego marynarki muskał mi policzek, sportowy symbol ugniatał mnie w ucho. Zatonęłam w muzyce, w jej go zapachu. Mogłam sobie wyobrażać, że to woń skórzanej kurtki Nicka, że to jeden z jej suwaków mnie uwiera. Że słyszę słowa miłości. Zapewnienie, że zawsze będzie mnie kochał.

Ta fantazja wydała mi się tak prawdziwa, że drgnęłam z zaskoczeniem, kiedy otworzyłam oczy i zobaczyłam Josha.

— Powinnam wyjść na świeże powietrze — wymamrotałam. — W głowie mi się kręci. Chyba wypłam za szybko.

— Jasne.

Przedarliśmy się przez tłum i wyszliśmy ze stodoły. Parę stojących tu i tam osób całowało się, paliło, obmacywało w plamie światła padającego z otwartych drzwi. Skręciliśmy za róg budynku, w bardziej zaciszne miejsce. Josh usiadł na trawie, ja obok niego. Wytarłam spocone czoło.

— Dzięki — rzuciłam. — Ostatnio mało się ruszałam. Trochę wyszłam z wprawy.

— Nie szkodzi — odpowiedział. — I tak chciałem zrobić sobie przerwę.

I uśmiechnął się do mnie. Szczerze. Podobała mi się ta impreza. Zupełnie inna od tego, co wyobrażaliśmy sobie z Nickiem.

Nagle w zaroślach coś zaszeleściło i wypadli z nich trzej chłopcy, między innymi brat Meghan, Troy. Dwóch pozostałych także znałam z widzenia.

— Co my tu mamy? — odezwał się Troy, stając nad nami z rękami założonymi na piersi. — Rwiez dziewczynę mordercy? Ryzykowne! Podobno podnieca ją rozwalanie ludzi.

Uśmiech Josha zgasł jak żarówka. Zastąpił go grymas, który znałam aż za dobrze.

— Ją? No co ty! Uważam na nią. Alex mnie prosił. Pilnuję, żeby nie narobiła kłopotów.

Prawie się zdziwiłam, że po tych słowach poczułam coś takiego, jakby ktoś walnął mnie pięścią w pierś. Niemal fizyczny ból. Co za idiotka — sądziłam, że Josh na mnie leci. Zabrakło mi rozumu, żeby dostrzec prawdę. Dawna, ślepa Val. W głowie mi zaszumiało, a w oczach stanęły łzy. „Debilka — pomyślałam. — Debilka z ciebie, Val”.

— Dzięki, ale nie potrzebuję niani — rzuciłam. Siliłam się na twarde, obojętny ton, ale głos mi zadrżał. Zacisnęłam wargi. — Możesz już iść — dodałam, gdy zdołałam je rozewrzeć. — Ja odchodzę.

Troy przykucnął i ścisnął mi kolana, patrząc wprost w moją twarz — tak blisko, że zrobiło mi się nieswojo.

— Właśnie, Joshy. Możesz już iść. Ja zostanę z Siostrą Śmierć.

— Super. — Josh wstał i odszedł. Znikając za rogiem, obejrzał się przez ramię. Przysięgłabym, że przez jego twarz przemknął żal, ale jak miałam wie-



rzyć swojemu osądowi? Odczytywanie cudzych myśli szło mi beznadziejnie. Równie dobrze mogłabym sobie napisać na czole „FRAJERKA”.

— Jeśli zaczniesz brykać?.. — Troy pochylił się tak blisko, że jego oddech poruszył moimi włosami — pogadam z nią w jej języku. — Wycelował palcem w moją skroń. Opędziłam się przed nim z rozdrażnieniem.

— Spadaj, Troy — warknęłam, usiłując wstać, ale on mocniej chwycił moją nogę, wbijając palce niebezpiecznie blisko blizny. — Au! Boli! Puszczaj!

— Co się dzieje? Bez chłopaka już nie jesteś taka odważna? — Troy zbliżył się tak bardzo, że kropelki jego śliny opryskały mi ucho. — Alex mówił, że tu przyjdiesz. Twoich nowych kumpli jakoś nie cieszy, że szwendasz się po ich imprezach.

— Nie kumpluję się z Alekssem, przyszłam z Jessicą — rzuciłam. — Nie ważne, i tak wychodzę. Puszczaj.

Mocniej wpił palce w moje ciało.

— W Sejmie była moja siostra — syknął. — Widziała, jak jej przyjaciele umierają przez ciebie i tego wypierdka, twojego chłopaka. Nadal ma koszmary. Twój chłopak dostał, na co zasłużył, ale tobie się upiekło. To niesprawiedliwe. Tamtego dnia zginęli ludzie. Wszyscy żałują, że nie znalazłaś się wśród nich. Rozejrzyj się. Gdzie się podziała Jessica? Nawet twoje towarzystwo nie chce cię znać.

— Puszczaj! — powtórzyłam, szarpiąc się, ale on tylko chwycił mnie mocniej.

— Nie tylko twój chłopak potrafi używać broni. — Powoli wstał, sięgnął za pasek dzinsów i wyjął coś małego i czarnego. Wycelował to we mnie. Zachłysnęłam się i przywarłam do ściany stodoły.

— Takie coś miał ten świr, twój chłopak? — Troy obejrzał broń w zamyśleniu. Wycelował ją w moją nogę. — Poznajesz? Nie tak trudno tego użyć. Mój ojciec trzyma to w piwnicy. Gdybym chciał, mógłbym rozwalić parę osób tak jak Nick.

Usiłowałam odwrócić wzrok, zebrać w sobie wszystkie siły, wstać i uciec — ale mogłam tylko bezsilnie wpatrywać się w broń lśniącą w ręku Troya. W uszach mi dzwoniło jak w dniu strzelaniny i nie byłam w stanie zaczerpnąć tchu. Przed oczy wróciły mi sceny ze stołówki.

— Przestań — wyksztusiłam. Drżącymi rękami otarłam łzy.

— Nie zbliżaj się do mojej siostry i jej przyjaciół.

— Stary, daj spokój — odezwał się przyjaciel Troya. — No weź, to słabe. Nawet nie naładowałaś.

Troy spojrzał na mnie z uśmiechem na twarzy. Pogroził mi pistoletem i roześmiał się, jakby uważał to za doskonały żart.

— Masz rację — zwrócił się do kumpla. — Spadajmy.

Zatknął broń za pasek spodni i wszyscy ruszyli do drzwi stodoły.

Siedziałam na ziemi. Z gardła wydobywał mi się chrapliwy charkot, nie całkiem płacz, nie całkiem jęk — coś pomiędzy. Miałam wrażenie, że oczy wychodzą mi z orbit i myślałam tylko o ucieczce. Wstałam i zaczęłam biec przez

pastwisko ku jezdni, nie zwracając uwagi na nogę pulsującą bólem przy każdym kroku.

Biegłam, aż zaczęły mnie palić płuca. Wtedy zwolniłam. Dotarłam do żwirowej, a potem do asfaltowej drogi. Poszłam wzdłuż torów na autostradę. Tam zatrzymałam się i przysiadłam na niskim murku nad stawem, żeby złapać oddech i dać odpocząć nodze. Doczołgałam się do brzegu i ochlapałam twarz zimną wodą. Znowu usiadłam, poczułam przez dzinsy wilgotną ziemię i spojrzałam w niebo, przejrzyste i obiecujące.

W końcu dobrnęłam do autostrady, potem na stację benzynową. Wyjęłam komórkę i zadzwoniłam do taty, na numer, który dodałam do książki adresowej, myśląc: „Nigdy go nie użyję”.

Odczekałam dwa sygnały.

— Tato? — spytałam. — Możesz po mnie przyjechać?

Tata przyjechał na stację benzynową w piżamie, z zaciętą twarzą, mocno ściskając kierownicę. Nie patrzył na mnie, kiedy obok niego usiadłam. Tkwił za kierownicą nieruchomo, zaciskając szczęki.

— Piłaś? — spytał, ruszając.

Skinęłam głową.

— Valerie, do cholery! Dlatego zadzwoniłaś?

— Nie — odpowiedziałam, opierając głowę o fotel. — Nie jestem pijana.

— Czuć od ciebie alkohol.

— Wypiłam tylko dwa piwa. Proszę, nie mów mamie. Proszę. To ją zabije.

Rzucił mi spojrzenie mówiące: a co ze mną?, ale nie zaproponował. Może dotarło do niego, że mama cierpi nie tylko z mojego powodu. On też miał coś wspólnego ze śmiercią jej marzeń.

— Nie do wiary, że matka pozwala ci chodzić na imprezy — wymamrotał pod nosem.

— Może stara się mi zaufać.

— A nie powinna. — Zerknął na mnie, wjeżdżając na autostradę.

Jechaliśmy w milczeniu. Tata co parę chwil kręcił głową z niesmakiem. Patrzyłam na niego, zastanawiając się, jak do tego doszło. Jak to możliwe, że ten sam człowiek, który kiedyś trzymał swoją córeczkę i całował jej malutką buzię, z taką determinacją postanowił wykluczyć ją ze swojego życia i serca. Nawet w chwili gdy zwróciła się do niego w potrzebie— Tatusiu, pomóż, ratuj! — potrafił tylko ją oskarżać. Jaką ta córka może czuć do niego pogardę, urazę, gniew i pretensje — bo przecież to właśnie emanowało z niego przez wiele lat i się jej udzieliło.

Może to przez alkohol, a może przez wstrząs po napaści Troya, ale z jakiegoś powodu nie zdołałam opanować wzburzenia. Przecież to mój tato! Miał mnie bronić, a przynajmniej się przejąć, kiedy zadzwonię do niego ze stacji benzynowej na odludziu, prosząc, żeby przyjechał.

— Dlaczego? — rzuciłam, zanim zdążyłam się ugryźć w język.

Znowu zerknął na mnie.

— Co dlaczego?

— Dlaczego mama nie powinna mi ufać? Dlaczego tak ci zależy, żeby wiedzieć we mnie potwora? — Wbiłam spojrzenie w odwróconą twarz taty, zmuszając go, żeby spojrzał mi w oczy. Na próżno. — Ostatnio dobrze mi idzie, ale ciebie to nie obchodzi.

— A jednak udało ci się narobić sobie kłopotów.

— Nie masz pojęcia, co się stało! — rzuciłam, lekko podnosząc głos. — Z góry założyłeś, że zrobiłam coś złego. Mógłbyś przynajmniej spróbować mnie zrozumieć.

Tata roześmiał się sardonicznie.

— Powiem ci, co rozumiem — oznajmił jadowitym tonem, którego używał na sali sądowej. — Rozumiem, że zostawiona sama sobie natychmiast wpakowałaś się w jakąś awanturę. Rozumiem, że kiedy chciałem spędzić z Briley miły, spokojny wieczór, znowu wszystko zepsułaś.

Prychnęłam śmiechem.

— Strasznie mi przykro, że zakłócam ci idealne życie z idealną Briley. Przepraszam, że musiałaś się zająć swoją córką. Bo jeśli nie...

Ale tata przerwał mi głosem, od którego zadrżały szyby:

— Matka puszcza cię samopas! Gdybym tam był, nie poszłabyś na żadną cholerną imprezę!

— Ale cię nie ma, tato! W tym rzecz. Nigdy cię nie ma! Nawet kiedy jesteś! Masz wobec mnie większe zobowiązania! Briley to tylko... głupi romans.

Tata szarpnął kierownicą, lexus zjechał na pobocze. Samochód za nami zahamował z piskiem opon i zatrąbił. Potem powoli nas minął. Kierowca rzucił tacie wściekłe spojrzenie, ale on tego nie zauważył. Zahamował i wysiadł, podszedł do moich drzwi, otworzył je, chwycił mnie za ramię z niewiarygodną siłą i wyszarpnął na zewnątrz. Pisnęłam.

Spojrzał mi z bliska w twarz, nie wypuszczając mnie z miażdżącego chwytu.

— Posłuchaj no, młoda damo — wycedził przez zaciśnięte zęby. — Pora, żebyś coś zrozumiała. Daliśmy ci wszystko, ty cholerna rozpuszczona dziewu-

cho, i mam dość... — zadrżał, a spomiędzy zębów wytrysnęła mu drobina śliny, która wylądowała na mojej brodzie — ...dość tego, że niszczysz ludziom życie. Albo się pozbierasz i zaczniesz zachowywać jak należy, albo zostawię cię na środku ulicy, szybciej, niż zdołasz powiedzieć: „niewdzięczny bachor”, słyszysz?

Oddychałam z trudem, nogi mi drżały, a ramię pulsowało bólem. Mój gniew zniknął; za bardzo się bałam, żeby się wściekać. Przytaknęłam w oszłomieniu.

Ojciec trochę się odprężył, ale mnie nie puścił. Nadal mówił z tą samą zaciekłością:

— Dobrze. Teraz zabiorę cię do Briley, na której — czy ci się to podoba, czy nie — też mi zależy. Lepiej z nią nie zadzieraj. A jeśli uznasz, że nie dasz rady się normalnie zachowywać przez jedną zasraną noc, natychmiast odwiozę cię do domu i możesz się pożegnać z myślą o przynależeniu do tej rodziny. Kropka. I nie prowokuj mnie.

Srebrny samochód zwolnił i zatrzymał się obok nas, okno od strony pasażera spłynęło w dół. Wyjrzała z niego zaniepokojona kobieta.

— Wszystko w porządku?! — zawołała. Żadne z nas się nie poruszyło. Trwaliśmy, mierząc się wzajemnie spojrzeniami.

W końcu ojciec odetchnął gwałtownie, rozdymając nozdrza, puścił moje ramiona i podniósł głowę.

— Tak. W porządku — rzucił, wracając na swoje miejsce.

— Proszę pani! — zawołała kobieta. — Wszystko dobrze? Mam do kogoś zadzwonić?

Odwróciłam się ospale, jakby moje ruchy spowalniała woda. Kobieta trzymała w dłoni komórkę i spoglądała nerwowo na tatę, który właśnie wsiadał do samochodu. Miałam ochotę pobiec do niej, wskoczyć na tylne siedzenie jej auta i błagać, żeby mnie stąd zabrała. Dokądkolwiek.

Ale tylko pokręciłam głową.

— Nie, dziękuję. — Półprzytomnie wygładziłam rękaw koszuli zmiętej od chwytu taty.

— Na pewno? — spytała kobieta. Jej samochód ruszył powoli naprzód.

Skinęłam głową.

— Tak.

— No, dobrze... — rzuciła niepewnie. — Dobranoc.

Nie spuszczała ze mnie wzroku, gdy jej auto nabierało przyspieszenia, aż wreszcie zniknęło w ciemnościach.

Oparłam się o drzwi, dygocząc. Serce mi łomotało, żołądek podchodził do gardła. Odetchnęłam parę razy, usiłując się uspokoić. Potem wsiadłam. Resztę drogi przebyliśmy w milczeniu.

Briley, szczelnie otulona grubym różowym szlafrokiem, czekała na nas w drzwiach. Spojrzała na mnie, a potem, zaskoczona, na tatę.

— Co się dzieje? — spytała.



Ojciec rzucił kluczyki na stolik i poszedł dalej. Weszłam nieśmiało i powiodłam wzrokiem dokoła. To było mieszkanie taty, choć nie widziałam tu żadnego należącego do niego przedmiotu. Zostawił je w domu. A jednak to wszystko pasowało do mojego ojca. W kącie salonu stał plazmowy telewizor, wokół sporo mebli z czarną skórzaną tapicerką i dwie ogromne biblioteczki pełne książek. Na stoliku zauważyłam dwa kieliszki z odrobiną czerwonego wina na dnie. Wyobraziłam sobie, jak oboje siedzieli w piżamach i szlafrokach, oglądając Lettermana i trzymając się za ręce, kiedy nagle zadzwonił telefon. Czy Briley robiła tacie wyrzuty, kiedy wychodził? Czy starała się go zatrzymać?

Usłyszałam dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi lodówki. Stałam jak skamieniała, czując na sobie spojrzenie Briley.

— Wejdz. — Musnęła moje ramię prawie tak, jak tata dotknął jej ramienia w kancelarii. Ten dotyk ich zdradził. — Przyniosę ci piżamę.

Poszłam za nią do chłodnej, ciasnej sypialni. Briley powiedziała, żebym usiadła na łóżku, i zaczęła szperać w komodzie.

— Proszę — odezwała się, wręczając mi rzeczy. Odsunęła się i spojrzała na mnie badawczo, opierając ręce na biodrach. — To twój ojciec — dodała. — Powinien wiedzieć, co się stało.

Spuściłam głowę.

— Może łatwiej ci będzie powiedzieć mnie? — spytała. Nie starała się przymilać, co doceniłam. Gdyby spróbowała założyć mi włosy za ucho albo pogłaskać po plecach czy coś w tym stylu, pewnie bym nie wytrzymała. Ale ona tylko usiadła obok mnie, opuściwszy ręce, i powtórzyła: — Powiedz mi, a ja

powiem jemu. W każdym razie powinien wiedzieć. Nie możesz tu zostać, jeśli tego nie wyjaśnisz. Sama zadzwonię do twojej mamy.

Opowiedziałam jej wszystko. Słuchała, nie odzywając się ani słowem. Nie uścisnęła mnie, kiedy skończyłam. Wstała, wygładziła szlafrok i powiedziała:

— Możesz się przebrać w łazience, zaraz po lewej. — I wyszła.

A potem siedziałam po turecku na skórzanej kanapie, pijąc mleko, które dostałam od Briley, i słuchając kłótni.

— Nie można mu tego darować — szeptała Briley w kuchni. — Dobrze o tym wiesz.

— Boi się. Zapewne potrafisz to zrozumieć. — Tata nie silił się na dyskrecję. — Poza tym nie wysłucha niczego, co mam jej do powiedzenia. To zupełnie jasne.

Chciałam się cieszyć, że sprowokowałam ich sprzeczkę. Że dzięki mnie w szczęśliwym życiu tej idealnej pary powstała rysa. Jakby wyszło jednak na moje. Ale nie umiałam. Czułam tylko zmęczenie i odrętwienie. Wstydziałam się swojej głupoty. Niewiarygodnej głupoty.

— Ona i tak przeżywa ciężkie chwile, a ten chłopak przecież jej nie zranił. Nawet nie chodzi już do jej liceum. Skończył je — mówił tata.

— Nie w tym rzecz, Ted. On jej groził. Śmiertelnie ją przeraził. Miał broń.

— Ale nienaładowaną. Nawet nie wiemy, czy prawdziwą. Poza tym... to nie nasza sprawa. Niech jej matka się tym zajmie. Jeśli oczywiście Val jej powie. Skoro Jenny pozwoliła jej wyjść, niech się teraz tym zajmie.

— Val potrzebuje rodziców.

— Nie jesteś jej matką! — ryknął tata.

Otworzyłam usta; zrobiło mi się autentycznie żal Briley. Pewnie jakoś zareagowała, bo po chwili ojciec powiedział ciszej, z powściąganym gniewem:

— Przepraszam... przepraszam. Wiem, że chcesz, abyśmy byli rodziną, ale w tej chwili na to za wcześnie. To ja jestem jej ojcem.

— Więc się zachowuj jak ojciec. — Dobiegła mnie niewyraźna odpowiedź, a potem kroki, ciche szuranie kapci na drewnianej podłodze korytarza i równie delikatne stuknięcie zamykanych drzwi.

Tata westchnął. Usłyszałam jego kroki. Wszedł do salonu.

— Rano odwiozę cię do domu — odezwał się opanowanym głosem. — Co z dziewczyną, u której miałaś nocować? Nie sądzisz, że zadzwoni do twojej matki?

— Zawiadomiłam ją, że mi niedobrze i że prosiłam, abyś po mnie przyjechał.

Ojciec skinął głową.

— Słuchaj — zaczął, pocierając czoło — jako prawnik radzę, żebyś zgłosiła policji, że ten chłopak ci groził. Przekonaj się, co powiedzą. W ten sposób przynajmniej umieszczą to w aktach.

- Zastanowię się.

— Dobrze się zastanów. — Ojciec milczał przez chwilę. — I musisz powiedzieć matce.

— Wiem — przyznałam, ale w duchu obiecałam sobie, że tego nie zrobię. Ta impreza to Dakota Południowa mamy. Poza tym tata miał rację. Nie znam się na broni, możliwe, że Troy straszył mnie fałszywką. Jak miałabym poznać różnicę?

Ojciec odwrócił się, jakby chciał wyjść.

— Lepiej szybko się kładź — rzucił, wskazując poduszkę i koc, czekające na kanapie. — Zabieram cię do domu z samego rana.

Wyłączył stojącą lampę i w salonie zapadł mrok. Leżałam, wpatrując się w sufit aż do bólu oczu. Wolałam ich nie zamykać, żeby nie dopuścić do siebie wizji kłębiących mi się w głowie. W tej chwili mogłam wśród nich wybierać. Jedno wiedziałam na pewno: miałam już serdecznie dość ciągłego strachu. Ale każda dostępna mi droga wydawała się przerażająca jak diabli.

Stało się dla mnie także jasne, że tata nigdy nie zmieni zdania. Nie warto nawet próbować. Już podjął decyzję w mojej sprawie.

Rano wsiedliśmy do lexusa i pojechaliśmy do domu. Nie odzywaliśmy się, dopóki nie dotarliśmy na miejsce. Było nadal wcześnie, niebo szarzało, dom wyglądał na pogrążony we śnie.

— Powiedz Frankiemu, że przyjadę po was w sobotę rano — odezwał się w końcu tata. — Pojedziemy coś zjeść.

Skinęłam głową.

— Powiem mu, ale zostanę w domu.

Zastanowił się, patrząc na mnie uważnie. Po chwili lekko skinął głową.

— Właściwie mnie to nie dziwi.

TLR

Tata odjechał, a ja poszłam na górę do pokoju i padłam twarzą na łóżko. Po jakimś czasie przyszła mama, żeby mi powiedzieć, że już pora na sesję. Przyśięgłam, że zadzwonię wieczorem do doktora Hielera. Skłamałam, że za bardzo się zasiedziałam z Jessicą i muszę odespać.

Ale kiedy mama wyszła, położyłam się na plecach i znowu wbiłam wzrok w sufit. Sen nie przychodził. Po chwili wstałam i poprosiłam mamę, żeby zawiozła mnie do pracowni.

— O rety — powiedziała Bea, ledwie na mnie spojrzała. — O mamusiu.

Na tym poprzestała. Zajęła się robieniem biżuterii, od czasu do czasu z ubolewaniem kręcąc głową.

Ja też się do niej nie odezwałam. Chciałam spokoju. Chciałam malować, uciec od tego wszystkiego.

Zdjęłam z półki podobrazie i postawiłam na sztaludze. Gapiłam się na nie tak długo, że w końcu zaczęłam mieć obawy, że mama przyjedzie i zastanie mnie przed pustym płótnem, za którym kryją się tysiące obrazów, widocznych tylko dla mnie.

W końcu wybrałam pędzel i uniosłam go nad paletę, niepewna, jaki kolor wybrać.

— Czy wiesz — szepnęła Bea, wyjmując z kasetki migotliwy zielony koralek i nawlekając go na żyłkę — że ludzie niesłusznie uważają pędzle za narzędzia służące jedynie do malowania? Zdumiewa mnie ta krótkowzroczność.

Spojrzałam na pędzle. Moje ręce nagle zaczęły działać bez udziału woli, jakby robiły to wcześniej. Obróciły pędzel włosiem w stronę dłoni. Zacisnęły się w pięści.

Przycisnęłam czubek trzonka pędzla do płótna i nacisnęłam. Najpierw lekko, potem bardzo mocno. Usłyszałam odgłos darcia i drewniane ostrze przebiło płótno na wylot. Wyciągnęłam trzonek, obejrzałam go i zrobiłam następną dziurę, jakieś trzy centymetry od pierwszej.

Skłamałabym, twierdząc, że wiedziałam, do jakiego celu dążę. W głowie miałam idealną pustkę. Wiedziałam tylko, że moje ręce się poruszają i że z każdym nowym nakłuciem rozlewa się we mnie dziwna ulga — jakby spadał ze mnie ciężar.

Po chwili na płótnie widniało dziesięć dziur. Obwiodłam ich brzegi czerwienią, którą otoczyłam czernią, pona— znaczną śladami spływających strużek — jakby łez.

Wyprostowałam się i spojrzałam na obraz — brzydki, mroczny, dziki. Jak twarz potwora. A może tak widziałam siebie? Nie miałam pewności. Czy to oblicze wcielonego zła, czy moje?

— Oba — szepnęła Bea, jakbym spytała na głos. — Oczywiście, że oba. Ale tak się nie godzi. O, nie.

Wtedy zrozumiałam, co powinnam zrobić. W pewnym sensie Troy miał rację. Nie pasowałam do nich. Do Jessiki, Meghan i z całą pewnością do Josha. Nie dla mnie były te imprezy ani Rada Uczniów. Nie pasowałam do Stacey i Duce'a. Do moich rodziców, którzy tyle wycierpieli. Do Frankiego, który z taką łatwością się zaprzyjaźniał.

Kogo chciałam oszukać? Nie pasowałam nawet do Nicka. Bo go zdradziłam. Zasugerowałam mu, że podzielam jego przekonania, że wytrwam u jego boku bez względu na wszystko, nawet gdyby kogoś zabił.

Bea się myliła. Byłam jednocześnie potworem i smutną dziewczyną. Nie mogłam tego rozdzielić.

Upuściłam pędzel, który upadł z klekotem na podłogę, obryzgując kropkami farby nogawki moich dzinsów, i wymknęłam się z pracowni, udając, że nie słyszę pocieszeń Bei.



— Nie możesz teraz odejść — zaprotestowała Jessica. Na jej czole pojawiła się zmarszczka rozdrażnienia. — Zostały tylko dwa miesiące na doprowadzenie tego do końca. Potrzebujemy twojej pomocy. Zobowiązałaś się.

— A teraz odwołuję zobowiązanie — oznajmiłam. — Odchodzę.

Zamknęłam szafkę i poszłam w stronę szklanych drzwi.

— Masz jakiś problem? — syknęła Jessica i pobiegła za mną. Przez chwilę widziałam dawną ją; prawie usłyszałam echo jej głosu: „Na co się gapisz, Siostró Śmierć?”. W jakiś sposób ułatwiło mi to zrobienie tego, co zrobić musiałam.

— Ta szkoła to mój problem! — rzuciłam z zaciśniętymi zębami. — Twoi wredni kumple to mój problem. Dajcie mi spokój. Chcę skończyć szkołę i stąd spadać. Dlaczego tego nie rozumiesz? Dlaczego ciągle chcesz ze mnie zrobić kogoś innego? — Nie zwolniłam.

— Boże, kiedy wreszcie wyrośniesz z tego ja do was nie pasuję? Ile razy muszę ci powtórzyć, że to nieprawda? Myślałam, że uważasz mnie za swoją przyjaciółkę.

Zatrzymałam się i odwróciłam. Na widok bólu w jej oczach prawie się zламаłam, ale wiedziałam, że muszę uciec — od niej, Rady Uczniów, Meghan,

Aleksa Golda, który tak bardzo chciał się mnie pozbyć, że kazał Joshowi mnie pilnować, a Troyowi — zastraszyć. Od tego chaosu i bólu.

Nie mogłam opowiedzieć Jessice, co naprawdę zaszło na imprezie. Już i tak zmusiła Meghan do zaakceptowania mnie. Teraz pewnie włamałaby się do Troya i odstawiła go na posterunek. Już sobie wyobrażałam, jak przemocą nakłania wszystkich w Garvin, żeby mnie polubili, chcą czy nie. Miałam dość roli obiektu litości, wiecznie ocenianego, wiecznie obserwowanego. Dłużej nie mogłam.

— To źle myślałaś. Nie przyjaźnimy się. Robiłam to tylko dlatego, że miałam wyrzuty sumienia z powodu zeszytu. Oni mnie nie chcą. A ja nie chcę już tego robić. Nick by nie zniósł twojej paczki i ja też nie mogę.

Jessica poczerwieniała.

— Może nie zauważyłaś, ale Nick nie żyje, więc jego zdanie się już nie liczy. I, jeśli chcesz wiedzieć, nigdy się nie liczyło — z wyjątkiem tych paru minut w maju. Ale myślałam, że jesteś inna. Lepsza. Uratowałaś mi życie, pamiętasz?

Spojrzałam jej prosto w oczy, udając że dorównuję jej pewnością siebie.

— Nie rozumiesz? Nie zamierzałam cię ratować. Chciałam tylko, żeby przestał strzelać. Na twoim miejscu mógłby się znaleźć ktokolwiek.

Twarz Jessiki nie wyrażała żadnych emocji, ale jej oddech przyspieszył. Widziałam, jak jej pierś unosi się i opada.

— Nie wierzę. Nie wierzę w ani jedno słowo.

— Lepiej uwierz, bo to prawda. Możesz skończyć swój projekt beze mnie.

Obróciłam się na pięcie i ruszyłam przed siebie.

W chwili gdy znalazłam się przed podwójnymi drzwiami, za plecami usłyszałam głos Jessiki.

— Naprawdę myślisz, że przyszło mi to łatwo? — Odwróciłam się. Nadal stała tam, gdzie ją zostawiłam. Jej twarz wyglądała dziwnie, cała niemal dygotała z emocji. — Naprawdę? — Rzuciła plecak na podłogę i ruszyła ku mnie miarowym krokiem, trzymając jedną rękę na piersi. — Nie lubiłam cię... przedtem. Tego nie zmienię. Musiałam walczyć z moimi przyjaciółmi, żeby cię przyjęli. I z rodzicami. Ale przynajmniej się wysiliłam.

— Nikt cię o to nie prosił. Nikt ci nie kazał się ze mną zaprzyjaźniać.

Jessica gwałtownie potrząsnęła głową.

— Mylisz się. Kazał mi drugi maja. Przeżyłam i wszystko się zmieniło.

— Wariatka — rzuciłam, ale drżącym i niepewnym głosem.

— Egoistka — odparła. — Jeśli teraz odejdziesz, uznam cię za zwykłą egoistkę.

Stała parę kroków ode mnie, a ja myślałam tylko o ucieczce, nawet jeśli wszyscy pomyślą, że jestem egoistką. Wypadłam ze szkoły na świeże powietrze, wskoczyłam do samochodu mamy, wtuliłam się w fotel. Czułam ciężar na piersi. Broda mi drżała, coś ścisnęło gardło.

— Jedźmy do domu — wykrztusiłam, a mama ruszyła z miejsca.

— Nadal się nie odzywasz? — spytał doktor Hieler, siadając w fotelu. Podał mi colę. Nie odpowiedziałam. Nie odezwałam się ani słowem, odkąd wyszedł po mnie na korytarz. Nie odezwałam się ani słowem, kiedy spytał, czy chcę colę, nie odpowiedziałam, kiedy powiedział, że wyskoczy na chwilę po coś do picia. Siedziałam naburmuszona na kanapie, wtulona w poduchy, z rękami założonymi na piersi i grymasem na twarzy.

Przez chwilę trwaliśmy w milczeniu.

— Przyniosłaś ten szkicownik? Chcę obejrzyć twoje rysunki.

Pokręciłam głową.

— Zagramy?

Przesiadłam się do stolika z szachownicą.

— Zaczynam podejrzewać, że coś cię zdenerwowało. — Doktor zerknął na mnie z uśmiechem. — Przeczytałem kiedyś książkę o ludzkim zachowaniu. Dlatego tak bezbłędnie rozpoznaję objawy.

Nie odwzajemniłam jego uśmiechu. Spojrzałam na szachownicę i zrobiłam ruch.

Graliśmy, nie odzywając się do siebie, a ja obiecywałam sobie milczeć do końca sesji. Zamierzałam wrócić do tego bezpiecznego schronienia ciszy i samotności, które przytuliło mnie w szpitalu. Skulić się w kłębek i zniknąć. Nigdy więcej z nikim nie rozmawiać. Tylko że trudno było ignorować doktora Hielera. Zanadto mu zależało. Budził zbyt duże zaufanie.

— Chcesz o tym porozmawiać? — spytał i zanim zdołałam się opamiętać, po policzku spłynęła mi łza.

— Jessica i ja już się nie przyjaźnimy — powiedziałam. Wytarłam gniewnie policzek. — I nawet nie wiem, dlaczego z tego powodu płaczę. Przecież tak naprawdę się nie przyjaźniłyśmy. To głupie.

— Jak do tego doszło? — spytał, porzucając szachy. — Jednak uznała, że nie chce takiej obciachowej koleżanki?

— Nie. Nigdy by tego nie powiedziała.

— To kto? Meghan?

— Nie.

— Ginny?

— Nie widziałam Ginny od tego pierwszego dnia w szkole.

— Hm... — Doktor pokiwał głową i spojrzał w zamyśleniu na szachownicę.  
— To znaczy, że to twoje słowa?

— Jessica nadal chce się ze mną kolegować. Ale ja nie.

— Bo coś się wydarzyło.

Spojrzałam na niego ostro. Założył ręce na piersi i przesuwiał palcem po dolnej wardze. Jak zawsze, kiedy coś ze mnie wydobył.

Westchnęłam.

— To nie ma nic wspólnego z tym, że kazałam Jessice spadać.

— Czysty zbieg okoliczności — zgodził się Hieler.

Nie odpowiedziałam. Potrząsnęłam głową. Po moim policzku spłynęła kolejna łza.

— Chcę, żeby to się wreszcie skończyło. Dość tych dramatów. Nikt i tak by mi nie uwierzył — szepnęłam. — Nikogo to nie obchodzi.

Doktor Hieler pochylił się i spojrzał mi prosto w oczy. . — Ja uwierzę. Mnie obchodzi.

Przekonał mnie. Jeśli kogokolwiek miałoby zainteresować, co się wydarzyło na imprezie, to tylko jego. A ukrywanie tego — jeszcze tydzień wcześniej dające poczucie bezpieczeństwa — stało się zbyt trudne i sprawiało mi niemal fizyczny ból. I nagle, niespodziewanie dla samej siebie, zaczęłam mówić. Jakby nawet milczenie przestało mi sprzyjać.

Opowiedziałam doktorowi Hielerowi wszystko. A on słuchał coraz uważniej, coraz bardziej napięty. Razem zadzwoniliśmy na policję, żeby zgłosić sytuację z Troyem. „Sprawdzimy to — powiedzieli. — Pewnie niewiele zdziała-

my. Zwłaszcza jeśli nie ma pani pewności, czy to prawdziwy pistolet". Ale nie wyśmiali mnie. Nie powiedzieli, że na to zasłużyłam. Nie zarzucili kłamstwa.

Na koniec sesji doktor Hieler odprowadził mnie do poczekalni, gdzie siedziała tylko moja mama, czytając gazetę.

— Teraz musisz powiedzieć mamie, co się wydarzyło — oświadczył. Mama spojrzała na nas z zaskoczeniem. Z otwartymi ustami przeniosła wzrok z doktora na mnie. — I narobisz się jak dzika, żeby się lepiej poczuć — ostrzegł. — Nie możesz się poddać. Nie pozwolę ci. Za ciężko pracowałaś. Przed tobą jeszcze sporo harówki.

Ale ja nie miałam ochoty na harówkę. Myślałam tylko o tym, że po powrocie rzucę się na łóżko i zasnę.

W samochodzie opowiedziałam mamie o wszystkim — nawet o wybuchu ojca na poboczu autostrady. Słuchała mnie apatycznie, bez zainteresowania i nie odezwała się, kiedy skończyłam. Ale ledwie wróciliśmy do domu, zadzwoniła do taty. Wchodząc po schodach, słyszałam, jak mama coraz bardziej podnosi głos, robiąc ojcu wyrzuty, że nic jej nie powiedział. Że przyjechał po mnie, ale jej nie zawiadomił. Że nie przebywał w domu, gdzie jego miejsce.

Po jakimś czasie skrzypnęły frontowe drzwi i znowu rozległ się głos mamy. Otworzyłam drzwi i wyjrzałam. Tata stał w progu z rękami na biodrach i twarzą wykrzywioną rozdrażnieniem. Miał na sobie sportowe ubranie, co mnie zdziwiło, bo nie wychodził z pracy przed zmrokiem. Ale potem zauważyłam plamki farby na jego podkoszulku i zrozumiałam, że dziś pewnie został w domu, by pomalować mieszkanie Briley. Wił sobie gniazdko. Cicho zamknęłam drzwi i

podeszłam do okna. Briley siedziała w zaparkowanym przy krawężniku samochodzie.

Znowu rozległo się niespokojne mamrotanie mamy i grzmiąca odpowiedź taty:

— A co miałem zrobić?! — Chwila ciszy i znowu ryk: — Odesłać ją do wariatkowa! Oto, co myślę! Gówno mnie obchodzi, co o jej postępach myśli ten konował!

Potem trzasnęły drzwi wyjściowe. Znowu podeszłam do okna i patrzyłam, jak ojciec wsiada do samochodu i odjeżdża.

Wkrótce potem wyczułam ruch nieopodal mojego pokoju i otworzyłam oko. Frankie stał niepewnie w drzwiach, oparty o framugę. Wyglądał jakoś doroślej z tymi włosami obciętymi na jeża i lśniącymi od żelu, w luźnej koszuli narzuconej na podkoszulek i spłowiałych dżinsach. Jego twarz wydawała się nienaturalnie gładka, niewinna, z delikatnymi rumieńcami, przez które robił wrażenie ciągle zawstydzonego. Może naprawdę nieustannie się wstydził. Skoro miał takie życie...

Od wyprowadzki taty Frankie prawie zamieszkał u swojego najlepszego kumpla Mike'a. Podśluchałam, jak mama mówiła do mamy Mike'a, że musi uporządkować sytuację z córką, i docenia, że Frankie może przebywać w ich domu. Pewnie to ten pobyt tak odmienił mojego brata. Mama Mike'a należała do tych idealnych pań, które nie tolerują dzieci z postawionymi włosami, a tym bardziej takich, które urządzają w szkole strzelaninę. Frankie był grzecznym chłopcem. Nawet ja to zauważałam.



— Cześć — odezwał się. — Jak tam?

Skinęłam głową i usiadłam.

— Dobrze. Tylko chce mi się spać.

— Naprawdę odeślą cię do szpitala?

Przewróciłam oczami.

— Tata musi się wykrzyzczyć. Ma mnie dość.

— Każą ci tam wracać? No wiesz, bo ześwirowałaś?

Omam się nie roześmiałam. Nie, właściwie zachichotałam, aż zabolalo mnie w skroniach. Pokręciłam głową. Nie oszalałam. Przynajmniej tak mi się zdawało.

— W tej chwili po prostu się wściekają. Przejdzie im.

— Bo jeśli wyjedziesz... — zaczął i urwał. Skubnął moją kołdrę palcami o obgryzionych paznokciach. — Jeśli wyjedziesz, napiszę do ciebie.

Miałam ochotę go przytulić. Pocieszyć. Powiedzieć, że do tego nie dojdzie, bo w życiu nie wyląduję w jakimś wariatkowie. Że muszę tylko trzymać się z dala od taty, aż mu przejdzie. Chciałabym powiedzieć bratu, że naszą rodzinę da się uleczyć, że z czasem dojdziemy do formy.

Ale nie powiedziałam nic z tych rzeczy. Nie odezwałam się, bo milczenie wydawało mi się bardziej humanitarne niż te wszystkie pocieszenia. Co ja tam mogłam wiedzieć?

Nagle Frankie się rozpogodził.

— Tata kupi mi quada! — rzucił z przejęciem. — Powiedział mi wczoraj wieczorem przez telefon. I nauczy mnie na nim jeździć. Super, nie?

— Super — przyznałam, starając się mówić to z przekonaniem. Cieszyłam się, że znowu widzę uśmiech i radość mojego brata, chociaż na sekundę nie uwierzyłam, że tata kupi mu cokolwiek. To by było takie... ojcowskie, a oboje wiedzieliśmy, że nasz tata nie zachowuje się jak ojciec.

— Tobie też pozwolę pojeździć — dodał Frankie. — Jeśli kiedyś przyjdiesz do taty.

— Dzięki. Ekstra.

Siedział u mnie jeszcze przez jakiś czas, zażenowany jak wszyscy chłopcy, którzy muszą wytrzymać w jakiejś trudnej sytuacji. Powinnam jak dobra siostra kazać mu wyjść i się pobawić. Ale jego towarzystwo sprawiało mi przyjemność. Frankie promieniał czymś, od czego robiło mi się ciepło w środku. Nadzieją.

Wkrótce wstał.

— No dobra. Muszę iść do Mike'a. Jedziemy dziś do kościoła. — Spuścił głowę, jakby się tego wstydził. Ruszył do drzwi. — No to... na razie — rzucił ze skrepowaniem. I zniknął.

Opadłam na poduszki i spojrzałam na pędzące donikąd koniki na tapecie. Zamknęłam oczy i spróbowałam sobie wyobrazić, że galopuję na jednym z nich, jak w dzieciństwie. Ale mi się nie udało. Widziałam tylko te momenty, gdy wypadam z siodła i raz po raz ląduję twardo na tyłku. Konie miały twarze — taty, pana Angersona, Troya, Nicka. Moją.

Po chwili położyłam się na plecach i spojrzałam w sufit. Dotarło do mnie, że powinnam coś zrobić. Nie mogłam zmienić przeszłości, ale jeśli miałam wyzdrowieć, musiałam się z nią pożegnać. „Jutro — pomyślałam. — Zrobię to jutro”.

TLR

Nigdy nie byłam na grobie Nicka, ale dokładnie wiedziałam, gdzie go szukać. Przede wszystkim dlatego, że przez pierwsze dwa miesiące po strzelaninie mówiono o tym co dziesięć sekund w każdym programie informacyjnym. Poza tym słyszałam tyle rozmów na ten temat, że zdołałam się zorientować.

Nikommu nie powiedziałam, dokąd się wybieram. Bo niby komu? Mamie? Rozplakałaby się, zabroniłaby mi, a potem pewnie pojechałaby za mną, krzyżąc przez okno samochodu. Tacie? Nie odzywaliśmy się do siebie. Doktorowi Hielerowi? Może i tak, ale podczas ostatniego spotkania nie miałam pojęcia, że to zrobię. Tak, powinnam, może by mnie podwiózł i noga by mnie nie bolała tak jak w tej chwili. Przyjaciołom? W ten czy inny sposób wyrzuciłam ich z mojego życia.

Minęłam kilka rzędów schludnych grobów z lśniąco nowością płytami i świeżymi kwiatami. Znalazłam Nicka między dziadkiem Elmerem i ciotką Maziem, znanymi mi ze słyszenia, choć nigdy ich nie poznałam.

Przez chwilę stałam zapatrzona. Wiatr, który zabrał się do zdmuchiwania zimy, ziębił mi nogi i wywoływał dreszcze. Wszystko to pasowało do sytuacji: moja desperacja, ciało bolące ze zmęczenia, zimno, wiatr, szarość. To sceneria odpowiednia dla cmentarzy, prawda? Przynajmniej w filmach. Chłód i mrok.

Czy słońce kiedykolwiek świeci, gdy odwiedzamy miejsce wiecznego spoczynku najbliższej osoby? Wątpię.

Płyta nagrobna Nicka lśniła tak samo jak pozostałe, przez napis na niej przepływały szare cienie. Ale widziałam go wyraźnie:

NICHOLAS ANTHONY LEVIL

1990-2008

*ukochany syn*

Te słowa — ukochany syn — całkiem mnie zaskoczyły. Małe, pochyłe literki, niemal ukryte w trawie. Jakby przeproszały za siebie. Pomyślałam o mamie Nicka.

Oczywiście widziałam ją w telewizji, ale nigdy nie wydawała mi się prawdziwą osobą. Nick mówił o niej mamuska. Zawsze traktowała mnie wyrozumiale i z sympatią. Trzymała się na dystans, dając nam swobodę, nigdy się nie narzucała, nie wygłaszała przemów o tym, czego nie wolno. Była fajna. Lubiłam ją. Często wyobrażałam ją sobie jako moją teściową i te fantazje były miłe.

Oczywiście mamuska chciała, żeby zapamiętano Nicka jako ukochanego syna. Zrobiła to w najbardziej dyskretny sposób — szepecząc do niego małymi literkami na nagrobnej płycie. „Byłeś kochany, synu. Kochałam cię. Nawet po tym wszystkim zapamiętam cię jako ukochane dziecko. Nie mogę zapomnieć”.

W osadzonym w kamieniu metalowym flakonie tkwił bukiet plastikowych niebieskich róż. Dotknęłam sztywnego płatka, zastanawiając się, czy Nick należał do osób, które chciałyby mieć kwiaty na grobie. Dziwne, że nigdy mnie to nie zainteresowało. Trzy lata razem, a mnie nie przyszło do głowy, czy lubi kwiaty i jakie, czy nienaturalny kolor plastikowych róż uważa za absurdalny. Nagle ta nieświadomość wydała mi się tragedią.

Osunęłam się na kolana, zaciskając z bólu zęby. Dotknęłam palcem imienia na nagrobku. Nicholas. Uśmiechnęłam się na myśl o tym, jak żartowałam z tego imienia.

— Nicholas! — zawołałam, uciekając za zakręt korytarza między kuchnią i jadalnią. Trzymałam zdjęcie, które przed chwilą porwałam z kominka. — O, Nicholasie! Pójdź, Nicholasie!

— Pożałujesz — odezwał się Nick z salonu. W jego głosie brzmiał uśmiech i choć natrzęsałam się z imienia, którego szczerze nie znosił, wiedziałam, że się nie gniewa. — Niech cię tylko złapię... Aha!

Wyskoczył zza zakrętu. Pisnęłam i rzuciłam się do ucieczki przez kuchnię i schody do łazienki.

— Nicholas, Nicholas, Nicholas! — wrzeszczałam, zanosząc się śmiechem. On też się śmiał, pędząc tuż za mną. — Nicholas Anthony!

— Dość tego! — ryknął i złapał mnie wpół tuż przed łazienką. — Zapłacisz mi za to!

Przewrócił mnie na podłogę i przygniótł własnym ciałem, a potem łaskotał tak długo, że popłakałam się ze śmiechu.

To wszystko wydawało się bardzo odległe.

Znowu dotknęłam jego imienia. I znowu. Miałam wrażenie, że dawny Nick — ten łaskoczący mnie na podłodze pod łazienką na piętrze — stał się prawdziwszy niż kiedykolwiek.

— Nie czuję do ciebie nienawiści — szepnęłam i dodałam głośniejszym głosem: — Naprawdę.

Na drzewie po lewej krzyknęła sójka. Na próżno usiłowałam odnaleźć ją wzrokiem.

— Wreszcie — odezwał się jakiś głos za moimi plecami.

Podskoczyłam i odwróciłam się tak gwałtownie, że straciłam równowagę i klapnęłam na siedzenie. Duce siedział na betonowej ławeczce za mną, pochylony, z rękami między kolanami.

— Długo tu siedzisz? — spytałam, przyciskając rękę do galopującego serca.

— Codziennie od pogrzebu. A ty?

— Nie o to pytałam.

-Wiem.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Duce patrzył na mnie wyzywająco. Jak pies przed atakiem.

— Co tu robisz? — rzucił.

Nie odwróciłam spojrzenia, także go wyzywając.

— Nie możesz mnie stąd wygonić. I w ogóle nie wiem, czemu się mnie tak czepiasz. Przyjaźniliście się. Też mogłeś nie dopuścić do tego, co zrobił.

— Ty wymyśliłaś tę listę.

— A ty nocowałeś u niego na dwa dni przed strzelaniną — warknęłam. — Przestańmy, to do niczego nie prowadzi. Nikomu nie zwróci życia — dodałam łagodniej.

Obok nas zatrzymał się samochód, z którego ostrożnie wysiadł starszy pan. Ruszył do sąsiedniego grobu, niosąc bukiet. Przyglądaliśmy się, jak klęka powoli, z pochyloną głową, prawie dotykając brodą piersi.

— Mnie też przesłuchiwali — odezwał się Duce, nie odwracając wzroku od staruszka. — Myśleli, że brałem w tym udział, bo tyle z nim przesiadywałem.

— Serio? Nie słyszałam.

— Wiem — mruknął kwaśno. — Bo użalałaś się nad sobą. To ty dostałaś kulkę. Ty rozpaczałaś. Ciebie podejrzewali. Nigdy nawet nie pomyślałaś o nas. Nie spytałaś, co z nami. Normalnie zapomniałaś o kumplach.

Spojrzałam na niego wstrząśnięta. Miał rację. Nie spytałam Stacey o nikogo. Do nikogo nie dzwoniłam. Nie pisałam e-maili. Nic. Nawet nie przyszło mi to do głowy.

— Boże... — szepnęłam. Znowu usłyszałam głos Jessiki: *Egoistka...* — Przepraszam. Nie myślałam...



— Ten detektyw Panzdla normalnie, kurna, u mnie zamieszkał. Zabrał mi komputer i wszystko. A teraz najlepsze: o niczym nie wiedziałem. Nick nie wspominał, że chce kogoś zastrzelić. Nawet mnie nie ostrzegł.

— Mnie też nie — odpowiedziałam ledwie słyszalnie. — Strasznie mi przykro.

Duce skinął głową, wygrzebał z kieszeni papierosa i długo go zapalał.

— Przez jakiś czas czułem się jak idiota, że niczego się nie spodziewałem. Pomyślałem, że jednak nie byliśmy takimi przyjaciółmi, jak sądziłem. I miałem wyrzuty sumienia. Jakbym powinien wiedzieć i coś zrobić. Pomóc mu. Ale teraz... nie wiem. Może nie powiedział nam, żeby nas oszczędzić.

Prychnęłam sarkastycznie.

— Jeśli zamierzał nas oszczędzić, to mu się cholernie nie udało.

Duce roześmiał się cicho.

— Bez kitu.

Staruszek wstał z trudem, obciągnął płaszcz i wrócił do samochodu. Odprowadziłam go wzrokiem.

— Pamiętasz, jak razem poszliśmy do akwaparku?

Duce zachichotał.

— Ciagle jęczałaś. A to ci zimno, a to jesteś głodna, a to coś jeszcze. Nie dałaś mu się bawić.

— Tak. — Znowu spojrzałam na grób. *Nicholas Anthony*. — A potem znikliście i Stacey i ja musiałyśmy was szukać. W końcu znalazłyśmy was jedzących ciastka z dwiema blondynkami z Mount Pleasant.

Duce uśmiechnął się szerzej.

— Fajne laski.

Przytaknęłam.

— A pamiętasz, co powiedziałam wtedy do Nicka?

Spojrzałam na niego. Pokręcił głową. Uśmiechał się rozluźniony.

— Że go nienawidzę. Dosłownie. „Nienawidzę cię, Nick!“. — Podniosłam z ziemi suchy liść i zaczęłam go kruszyć. — Myślisz, że wziął to na serio? Przecież to się wydarzyło tak dawno, no i, kurczę, tego samego dnia się pogodziliśmy. Ale czasami się martwię, że ciągle wracał do tego myślą i że może wtedy... drugiego maja... kiedy chciałam go powstrzymać, przypomniał to sobie i dlatego się zabił. Bo uważał, że go nienawidzę.

— Może go nienawidzisz.

Zastanowiłam się i pokręciłam głową.

— Tak bardzo go kochałam. — Roześmiałam się z desperacją i pokręciłam głową. — Moja tragiczna słabość. — Tak by to nazwał Nick, gdybym była cierpiącą bohaterką z jego ukochanych dramatów Szekspira.

Duce przesunął się na krawędź ławki i poklepał miejsce obok siebie. Przeniosłam się na nie. Wziął mnie za rękę. Miał rękawiczkę i ciepło rozeszło mi się na dłoń, a z niej — na całe ciało.

— Myślisz, że zrobił to dla mnie? — spytałam cicho.

Duce zastanowił się i splunął na ziemię.

— Kurna, chyba nie wiedział, czemu to robi.

Tej ewentualności w ogóle nie brałam pod uwagę. Może nie udało mi się przewidzieć, co zrobi Nick, bo on sam nie miał o tym pojęcia.

Duce puścił moją rękę, która szybko zlodowaciała, i objął mnie ramieniem. Poczułam się dziwnie, ale nie nieprzyjemnie. W pewnym sensie Duce był bliższy Nickowi niż ja. W pewnym sensie miałam wrażenie, że to Nick mnie obejmuje, że to jego ciepło czuję. Oparłam skroń na jego ramieniu.

— Mogę cię o coś spytać?

Skinęłam głową.

— Skoro go tak kochałaś, dlaczego przyszłaś dopiero dziś?

Zagryzłam wargę. Zastanowiłam się.

— Bo tak naprawdę nie wierzyłam, że on tu leży. Widziałam go wszędzie i nie umiałam sobie wyobrazić, że naprawdę go tu znajdę.

— Był moim najlepszym przyjacielem, wiesz?

-Moim też.

— Wiem. — W głosie Duce'a zabrzmiała uraza, ale bardzo stłumiona. —  
Jasne. Dobra.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, gapiąc się na grób Nicka. Wiatr nabrał rozpędu, niebo pociemniało, a liście wirowały coraz bliżej moich kostek, drapiąc je nieprzyjemnie. Kiedy zaczęłam dygotać, Duce zdjął rękę z moich ramion i wstał.

— Muszę iść.

Skinęłam głową.

— Na razie.

Siedziałam jeszcze trochę po jego odejściu. Wpatrywałam się w nagrobek, aż do oczu napłynęły mi łzy, a palce u stóp zdrętwiały. W końcu wstałam i czubkiem buta strąciłam liść z grobu.

— Cześć, Romeo — szepnęłam.

Odeszłam, dygocząc, i nie obejrzałam się, choć wiedziałam, że nigdy więcej tu nie przyjdę. Ukochany syn mamusi. Wryte w granicie słowa nie wspominały o mnie.

Przed domem stał radiowóz, za nim samochód taty i odrapany czerwony jeep. Przeraziłam się. Wbiegłam do środka.

— Dzięki Bogu! — krzyknęła mama, rzucając się do drzwi. Chwyciła mnie w objęcia. — Dzięki Bogu!

— Mamo... Co się...? — zaczęłam.

Na korytarz wyszedł policjant, wyraźnie niezadowolony. Za nim wyłonił się tata, jeszcze bardziej wściekły. Zajrzałam do salonu. Na kanapie siedział doktor Hieler o zmęczonej, pobrużdżonej zmarszczkami twarzy.

— Co się dzieje? — spytałam, wyzwalając się z objęć mamy. — Doktorze? Coś się wydarzyło?

— Już mieliśmy zgłosić porwanie — rzucił ojciec głosem ochryłym z gniewu. — Jezu, co jeszcze wymyślisz?!

— Porwanie? Dlaczego?

Wtedy podszedł do mnie policjant.

— Pewnie nie chcesz, żeby cię aresztowano jako zbiega. Tak dla twojej informacji.

— Jako zbiega? Ja nie uciekłam. Mamo...

Policjant wyszedł, mama pobiegała za nim, dziękując i przepraszając. Krótkofalówka na jego ramieniu trzeszczała, zagłuszając ich rozmowę.

Doktor Hieler wstał i włożył kurtkę. Podeszedł do mnie z miną wyrażającą jednocześnie niepewność, smutek, gniew i ulgę. Raz jeszcze pomyślałam o jego zaniedbywanej rodzinie. Czy znowu wyrwał się domowego ciepła? Czy jego żona marzy, żebym wreszcie znikła na zawsze?

— Grób? — spytał bardzo cicho, tak że rodzice go nie usłyszeli. Skinęłam głową; on także. — Do zobaczenia w sobotę. Wtedy porozmawiamy.

Potem również z mamą zamienił parę cichych słów w progu — tym razem oboje przepraszali — i uścisnął dłoń tacie. Radiowóz ruszył z piskiem opon, doktor Hieler wsiadł do jeepa i odjechał bez fanfar.

— Muszę wracać — rzucił tata do mamy. — Daj znać, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. Nadal nie zmieniam zdania. Trzeba się nią lepiej zająć. Musisz ukrócić te jej ciągle wybryki. — Rzucił mi ciężkie spojrzenie. Odwróciłam wzrok.

— Rozumiem — powiedziała mama z westchnieniem. — Rozumiem.

Tata pogłaskał ją przelotnie po ramieniu i zniknął za drzwiami.

Zostałyśmy na korytarzu same.

— Niezły cyrk — odezwała się mama gorzko. — Znowu. Przed naszym domem zjawili się dziennikarze. Znowu. Doktor Hieler musiał ich przepłoszyć.

Pozwoliłam ci na swobodę i proszę, do czego to doprowadziło. Może twój ojciec ma rację. Dać ci palec, a weźmiesz całą rękę.

— Przepraszam... — wymamrotałam. — Nie sądziłam... Daję słowo, nie chciałam uciec. Wybrałam się na spacer.

— Znikłaś na parę godzin. Nie uprzedziłaś nikogo. Myślałam, że cię porwano. Albo gorzej. Myślałam, że ten Troy coś ci zrobił, tak jak zapowiedział.

— Przepraszam. Naprawdę nie zdawałam sobie sprawy...

— Akurat — rozległ się głos na schodach. Obie podniosłyśmy głowy. Frankie stał na podeście, ubrany tylko w bokserki i podkoszulek, z włosami sterczącymi w bok.

— Frankie... — zaczęła mama ostrzegawczo, ale jej przerwał.

— Tata miał rację. Ona tylko sprawia kłopoty.

— Przecież przeprosiłam! — rzuciłam. Nic innego nie przychodziło mi do głowy. — Nie chciałam nikogo niepokoić. Poszłam na cmentarz, zagadałam się z Duce'em i straciłam poczucie czasu. Powinnam była zadzwonić...

Mama spojrzała na mnie z zaskoczeniem.

— Z Duce'em Barnesem?

Spuściłam wzrok.

— Valerie, przecież to jeden z nich! Taki sam jak Nick. Nigdy nie zmądrzejesz?! Po tym wszystkim nadal spotykasz się z takimi chłopcami i pakujesz w kłopoty?

— To nie tak...

— Dziś trener wybierał zawodników drużyny futbolowej! — wrzasnął Frankie. — Ale nie mogłem iść, bo mama i tata tkwili tutaj i świrowali z twojego powodu. Boże, tak się staram stać po twojej stronie, ale ty myślisz tylko o sobie. Wydaje ci się, że wszyscy gnębili ciebie i Nicka, ale nawet teraz, kiedy Nicka już nie ma, nadal krzywdzisz innych. Jesteś niemożliwa. Tak jak powiedział tata. Niemożliwa! Mam już dość tego, że moje życie kręci się wokół ciebie! — Pobiegł do swojego pokoju i zatrzasnął drzwi.

— No, ładnie. — Mama wskazała miejsce, w którym przed chwilą stał Frankie. — Dlaczego nie pozwalasz nam na jeden miły dzień? Zaufałam ci, a ty...

— A ja nie zrobiłam nic złego! — przerwałam, niemal krzyżąc. — Poszłam na spacer, mamo. Nie zepsułam ci dnia. Sama go zepsułaś, bo mi nie zaufałaś! — Mama otworzyła usta; jej oczy się rozszerzyły. — Kiedy wreszcie to do was dotrze? Nikogo nie zastrzeliłam! Przestańcie mnie traktować jak zbrodniarkę. Mam już serdecznie dość brania na siebie winy za wszystkich. — Drzwi Frankiego skrzypnęły, ale nie podniosłam głowy. Zamknęłam na chwilę oczy i odetchnęłam głęboko, starając się ochłonać. Nie zamierzałam robić kolejnej sceny. — Wybrałam się na cmentarz, żeby się pożegnać — odezwałam się spokojnie, spoglądając na mamę. — Powinnaś się cieszyć. Nick oficjalnie zniknął z mojego życia. Może teraz mi zaufasz.

Mama zamknęła usta i opuściła ręce.

— No — powiedziała po długiej chwili. — Przynajmniej nic ci nie grozi.



Odwróciła się i weszła na górę, zostawiając mnie samą. Drzwi Frankiego znowu skrzypnęły. „Nic mi nie grozi — pomyślałam. — Akurat”.

TLR

Frankie zamieszkał z tatą i przyjeżdżał do domu tylko na weekendy. Mama zapewniała, że to nie przeze mnie, ale trudno mi było w to uwierzyć po scenie, jaką zrobił, zwłaszcza że wyszedł, nie pożegnawszy się z nikim. Miałam poważne wyrzuty sumienia. Nie zamierzałam go krzywdzić. Nie chciałam, żeby jego życie obracało się wokół mnie. Ale chyba rzeczywiście mimowolnie raniłam ludzi.

Kiedy wiosna rozgościła się na dobre, zauważyłam, że Frankie ściął włosy, by pasować do pozostałych piłkarzy, i że nosi okulary, które nadały mu surowy wygląd, o jaki nigdy go nie podejrzewałam.

Rzadko się do mnie odzywał. Czasem pod nieobecność mamy relacjonował, jak wiedzie się tacie i Briley.

— Tata kupił nowy samochód — mówił, albo: — Briley jest strasznie fajna, powinnaś dać jej szansę. Słucha punka, czujesz? Wyobrażasz sobie mamę słuchającą punka?

Udawałam, że nie obchodzi mnie tata i Briley, ale kiedyś gdy Frankie brał prysznic, znalazłam w jego plecaku komórkę i przejrzałam zdjęcia. I znalazłam ich fotkę. Usiadłam na podłodze i wpatrywałam się w nią, aż zapiekły mnie oczy.

Rozwód został prawie sfinalizowany. Zauważyłam, że Mel, prawnik mamy, często do nas wpada wieczorami i czasami przynosi zapiekanki i wino. Zauważyłam też, że mama małuje się w dni jego odwiedzin, a kiedy siedzi z nim w kuchni, śmieje się co parę minut i lekko dotyka jego ramienia.

Nie mogłam znieść samej myśli o tym, choć od czasu do czasu zastanawiałam się, jakim ojczymem stałby się Mel. Raz spytałam o to mamę, która zarumieniła się i powiedziała tylko:

— Jeszcze się nie rozwiodłam z twoim ojcem.

Ale potem odeszła w rozmarzeniu, dotykając naszyjnika i uśmiechając się błogo jak Kopciuszek nazajutrz po balu.

Choć Duce i ja w zasadzie zawarliśmy rozejm nad grobem Nicka, w szkole nic się nie zmieniło. Nie rozmawialiśmy ze sobą. Nie spotykaliśmy się rano na trybunach stadionu. Nie siadaliśmy obok siebie przy obiedzie. Udało mi się namówić panią Tate, żeby pozwoliła mi jeść obiad w jej gabinecie. W zamian obiecałam, że przejrzę katalogi uczelni.

O tej porze roku szkoła wydawała się nieznośnie nudna. Czasami szczebiot ptaków wpadający przez otwarte okna klasy sprawiał, że godziny ciągnęły się w nieskończoność. Tak blisko końca roku nawet prace domowe stawały się bezsensowne. Jakby zadawano je tylko dla zabicia czasu. Czy nie nauczyliśmy się już wszystkiego, co powinniśmy wiedzieć? Czy nie moglibyśmy wyjść na dwór i bawić się jak w dzieciństwie? Czy nie zasługujemy na odpoczynek?

Drugi maja przeminął bez szczególnego rozgłosu. Rano zarządzono minutę ciszy, a potem przeczytano przez interkom nazwiska ofiar. Wieczorem w niektórych kościołach miało się odbyć czuwanie. Ale na ogół wszyscy zajmowali się własnym życiem. Tak szybko. A minął dopiero rok.

Mówiło się tylko o rozdaniu dyplomów. O późniejszych imprezach. O makabrycznych rodzinnych uroczystościach. O tym, jak kto się ubierze. Jak umocować biret, żeby nie spadł z głowy. Jaki kawał zrobimy panu Angersonowi.

Tradycja naszej szkoły zobowiązywała każdego absolwenta do wręczenia jakiegoś drobiazgu dyrektorowi podczas odbierania dyplomu i gratulacji. Raz zdecydowano się na orzeszki ziemne. Później — na pensy. Kiedyś były to kauczukowe piłeczki. Angerson musiał to wszystko upychać po kieszeniach, które pod koniec uroczystości omal nie pękały pod ciężarem siedmiuset kulek, pensów czy orzeszków. Podobno w tym roku proponowano prezerwatywy, ale cheerleaderki gwałtownie przeciwko temu zaprotestowały. Opowiadały się za dzwoneczkami — ze względu na hałas. Według mnie mogliśmy dać te dzwoneczki. Albo w ogóle nic. Może biedny Angerson zasłużył sobie na chwilę oddechu. Wielką garść niczego.

A kiedy ten temat się kończył, rozmowa schodziła na studia. Kto się wybiera na Missouri State? A kto wyjeżdża za granicę? Kto w ogóle rezygnuje? I czy słyszeliście, że J.P. zamierza wstąpić do Korpusu Pokoju? A co to Korpus Pokoju? Czy J.P. zachoruje na malarię i umrze? Czy jacyś rebelianci go porwą i zetną mu głowę w chatce pod bananowcem? Gadanina trwała bez końca.

Codziennie w porze obiadu pani Tate zadrezczała mnie pytaniami o przyszłość.

— Valerie, jeszcze nie jest za późno, żeby zdobyć stypendium na miejscowej uczelni — mówiła z boleściwym spojrzeniem.

A ja kręciłam głową.

— Nie.

— W takim razie co zamierzasz? — spytała w końcu.

Zastanawiałam się nad tym, wiercie mi. Co mam robić po skończeniu liceum? Gdzie się podzieję? jak mam żyć? Czy zostanę w domu i zaczekam, aż mama i Mel się pobiorą? Czy przeprowadzę się do taty, Briley i Frankiego i spróbuję naprawić nasze stosunki, choć tata niemal z całą pewnością sobie tego nie życzy? Wyprowadzę się i znajdę pracę? Zamieszkam z kimś? Zakocham się?

— Dojść do siebie — odpowiedziałam. Całkiem szczerze. Potrzebowałam czasu, żeby całkiem zwyczajnie dojść do siebie. O przyszłości pomyślę później, kiedy zrzucę z siebie liceum jak gruby płaszcz w gorącym pokoju i zacznę zapominać twarze kolegów. Troya. Nicka. Kiedy przestanę czuć zapach prochu i krwi. Jeśli to możliwe.

Wszystko szło jak należy aż do pewnego deszczowego piątku, kiedy na korytarzach czuło się zapach mokrej skoszonej trawy. Niebo pociemniało od burzowych chmur; w szkole zgęstniał mrok, jakby nadszedł wieczór. Po ostatnim dzwonku zrobiło się gwarno. Jak zawsze nie brałam udziału w rozmowach, szłam jak zamknięta w szklanej bańce, byle tylko odpajkować kolejny dzień — z każdą chwilą bliżej końca roku.

Stanełam przy szafce i wymieniłam podręcznik matematyczny na fizyczny.

— To która chciała się targnąć? — usłyszałam dziewczynę stojącą parę kroków dalej. Nastawiłam ucha i obejrzałam się na nią.

— Jak to? — zdziwiła się jej koleżanka.

Dziewczyna zrobiła wielkie oczy.

— Nie słyszałaś? Jakaś laska z ostatniej klasy parę dni temu chciała się zabić. Wzięła pigułki albo się pocięła, nie pamiętam. Nazywała się Ginny jakaś tam.

Drgnęłam.

— Ginny Baker? — spytałam głośno.

Dziewczyny obejrzały się na mnie z zaskoczeniem.

— Co?

Podeszłam do nich.

— Ta dziewczyna, która chciała się zabić. Powiedziałaś, że nazywa się Ginny jakoś tam. Ginny Baker?

Dziewczyna strzeliła palcami.

— Tak, to ona. Znasz ją?

— Tak — mruknęłam. Dopadłam szafki i wrzuciłam do niej książki. Zatrzasnęłam drzwiczki i pobiegłam do gabinetu pani Tate. Minęłam parę sekretarek i wtargnęłam do pokoju. Pani Tate podniosła głowę znad książki.

— Właśnie dowiedziałam się o Ginny — rzuciłam, łapiąc oddech. — Może mnie pani zawieźć do szpitala?

TLR

Kiedy wysiadłam na czwartym piętrze oddziału psychiatrycznego, musiałam wbić zęby w palec, żeby się opanować. Mdliło mnie i miałam dziwną pewność, że jeśli popełnię choćby najmniejszy błąd, nadbiegnie ktoś z kaftanem bezpieczeństwa i zawlecze mnie do mojego dawnego pokoju. Musiałabym znowu chodzić na te porąbane sesje grupowe i słuchać idiotycznego: „Pozwól, że powtórzę to, co usłyszałem. Czy tak brzmiały twoje słowa?” doktora Dentleya.

Podeszłam do stanowiska pielęgniarek. Spojrzała na mnie kobieta z nastroszonymi włosami. Ze zdziwieniem zauważyłam, że jej nie znam, co oznaczało, że albo pracuje tu od niedawna, albo podczas pobytu w szpitalu byłam zbyt ogłupiona lekami, by rejestrować rzeczywistość. Ona także zachowywała się, jakby mnie nie pamiętała, więc stawiałam na to pierwsze.

— Tak? — spytała ze zmęczeniem i podejrzliwie, jak wszystkie pielęgniarki z oddziałów psychiatrycznych. Jakby sądziła, że zamierzam pomóc pacjentowi w ucieczce i konkretnie spaprać jej dzień.

— Przyszłam do Ginny Baker — oznajmiłam.

— Jesteś jej krewną? — Zaczęła przekładać dokumenty, jakbym nie istniała.



— Przyrodnią siostrą — skłamałam. Zdziwiłam się, jak przekonująco mi to wyszło.

Pielegniarka uniosła wzrok. Wyglądało na to, że ani przez chwilę nie uwierzyła w moje słowa, ale co miała zrobić? Zażądać testu DNA? Westchnęła tylko i skinęła głową. — Czterysta dwadzieścia jeden, w lewo.

Wróciła do pracy, a ja poszłam korytarzem, modląc się, żeby nie wpaść na nikogo, kto mnie zdemaskuje — zwłaszcza na doktora Dentleya. Nabrałam tchu i weszłam do pokoju czterysta dwadzieścia jeden, zanim zdążyłam się rozmyślić.

Ginny leżała oparta o poduszki, podpięta do kroplówek i monitorów. Gapiła się tępo w telewizor. Na stoliku przy łóżku stał wielki styropianowy kubek z pasiastą słomką. Jej matka siedziała nieopodal, także oglądając jakiś dramatyczny talk-show. Nie odzywały się do siebie. Obie miały nieświeże włosy.

Pani Baker zauważyła mnie pierwsza. Rozpoznała mnie i zeszywniała. Lekko rozchyliła usta.

— Przepraszam, że przeszkadzam — zaczęłam. Przynajmniej tak mi się wydawało. Mój głos zabrzmiał jak pisk.

Wtedy także Ginny skierowała na mnie wzrok. Znowu wstrząsnął mną widok jej zmasakrowanej twarzy. I znowu poczułam wyrzuty sumienia. Choćbym nie wiadomo ile razy spojrzała na te zdruzgotane kości policzkowe i poszatko-  
wane wargi, nie mogłam do nich przywyknąć.

— Co tu robisz? — wymamrotała Ginny.

— Przepraszam, że przeszkadzam — powtórzyłam. — Chciałam z tobą porozmawiać.

Jej mama wstała, ale zatrzymała się za krzesłem, jakby się za nim chowała. Niemal spodziewałam się, że je chwyci i rzuci w moim kierunku.

Ginny spojrzała na nią i na mnie, ale się nie odezwała. Zrobiłam parę kroków.

— Mieszkałam w sali czterysta szesnaście — oznajmiłam. Nie wiedziałam, dlaczego tak mi zależy na tym, żeby jej to powiedzieć, lecz wydało mi się to na miejscu. — Po tej stronie jest lepiej, bo cierpiących na bezsenność trzymają w pokojach od czterysta pięćdziesiąt wzwyż.

Na korytarzu rozległ się znany głos i skrzypienie tanich butów. Przygotowałam się na to, że mnie wyrzucą, co mnie wkurzyło, bo choć nie wiedziałam, co właściwie chcę powiedzieć Ginny, to z pewnością jeszcze tego nie zrobiłam.

— Jak się dziś miewa Ginny? — rozległ się głos za moimi plecami. Doktor Dentley podszedł do Ginny i zmierzył jej puls, nie przestając nadawać o tym, jak dobrze im poszła dzisiejsza terapia grupowa i czy Ginny czuje niepokój, i jak wczoraj spała. Nie zauważał mojej obecności. W końcu z zaskoczeniem się odwrócił.

— Valerie, co tu robisz?

— Dzień dobry — powiedziałam. — Przyszłam w odwiedziny.

Doktor położył mi dłoń na plecach między łopatkami i lekko popchnął mnie w stronę drzwi.

— Zważywszy na okoliczności sędzę, że powinnaś wyjść. Panna Baker musi...

— W porządku — odezwała się Ginny. Doktor Dentley cofnął rękę i obejrzał się na nią, a ona skinęła głową. — Nie mam nic przeciwko jej obecności.

Doktor i mama Ginny spojrzeli na nią, jakby dopiero teraz naprawdę oszałała. Zaciekawiałam się, czy doktor właśnie postanowił wysłać ją do skrzydła dla schizofreników.

— Naprawdę — dodała Ginny.

— E... Mimo to muszę przeprowadzić pewne badania...

— Zaczekam na korytarzu — rzuciłam.

Ginny skinęła głową zrezygnowana. Wyglądało na to, że nie ma najmniejszej ochoty na sam na sam z doktorem.

Wyszłam z pokoju, czując się o wiele swobodniej teraz, kiedy pozwolono mi zostać. Usiadłam na podłodze, słuchając niskiego pomruku głosu Dentleya.

Wkrótce rozległy się kroki i mama Ginny opuściła salę. Na mój widok przystanęła, ale tylko na chwilę. Gdybym na nią nie patrzyła, pewnie bym tego nie zauważyła. Odkaszlnęła, spuściła głowę i ruszyła dalej. Wydawała się strasznie zmęczona, jakby nie spała od lat. Jakby nigdy w życiu nie przespała całej nocy. Jakby czekała na nią sala czterysta pięćdziesiąt sześć, tuż koło Ronalda, który lubił w nocy całymi godzinami skubać strupy na łokciach i śpiewać stare przeboje.

Prawie mnie minęła. Potem zmieniła zdanie. Spojrzała na mnie z ustami zaciśniętymi w cienką kreskę.

— Niczego się nie spodziewałam — powiedziała. Drgnęłam. Nie wiedziałam, jak mam zareagować. Pani Baker znowu spojrzała przed siebie. Głos miała bezdźwięczny, jakby nawet on się zużył.

— Pewnie powinnam ci podziękować za to, że powstrzymałaś strzelaninę — szepnęła i ruszyła szybkim krokiem. Spojrzała na stanowisko pielęgniarek, a potem głośno otworzyła podwójne drzwi i znikła. „Pewnie powinnam ci podziękować...”, ale nie podziękowała.

Nieważne. Czułam się prawie, jakby to zrobiła. Niedługo potem na korytarz wyszedł pogwizdujący doktor Dentley. Wstałam.

— Doktor Hieler twierdzi, że dobrze sobie radzisz — odezwał się. — Mam nadzieję, że nadal bierzesz lekarstwa.

Nie odpowiedziałam. Zresztą nie czekał na to. Minął mnie, rzucając od niechcienia przez ramię:

— Ona potrzebuje odpoczynku, więc nie siedź długo. Odetchnęłam parę razy i znowu przekroczyłam próg

pokoju. Ginny ocierała oczy chusteczką.

— Co za debil — mruknęła. — Niech mnie już stąd wypuszczą. On nie pozwala. Mówi, że zagrażam własnemu zdrowiu i że to zgodne z prawem. Idiota.

— Aha. Zatrzymują samobójców na trzy dni czy jakoś tak. Ale przeważnie dłużej, bo rodzice świrują ze strachu. Twoja mama też?

Ginny roześmiała się ironicznie i wydmuchała nos.

— Moja mama już dawno pobiła wszystkie rekordy świrowania. Nawet sobie nie wyobrażasz.

Przez chwilę oglądałyśmy telewizję. Program zmienił się na jakiś przegląd aktualności ze świata show-biznesu. Na ekranie pojawiło się zdjęcie ciemnowłosej nastoletniej gwiazdki. Nie wydawała się szczęśliwa ani olśniewająca. Wyglądała jak zwykła dziewczyna. Może nawet trochę przypominała mnie.

— Przyjaźniłam się z Nickiem, kiedy się tu przeprowadził — odezwała się Ginny, przerywając milczenie. — Mieliśmy wspólne zajęcia.

— Tak? — Nick nie wspominał o tym. — Nie wiedziałam.

Skinęła głową.

— Rozmawialiśmy codziennie. Lubiłam go. Był inteligentny. I miły. Tego właśnie nie mogę pojąć. Był taki miły...

— Wiem. — Nagle poczułam, że mamy ze sobą wiele wspólnego. Nie tylko ja to dostrzegłam. Ktoś inny również zauważył dobro w Nicku.

Ginny oparła się o poduszkę i zamknęła oczy. Po policzkach spłynęły jej łzy, ale ich nie wytarła. Obie milczałyśmy. W końcu wyjęłam chusteczkę z pudełka na krześle obok. Delikatnie przyłożyłam ją do twarzy Ginny.

Ginny drgnęła lekko, ale nie uniosła powiek i nie powstrzymała mnie. Z wolna zaczęłam śmieiej muskać jej policzki; moje palce dotknęły przez moką bibułę poszarpanych blizn. Wytarłam jej twarz i znowu się odsunęłam.

— Kiedy pod koniec roku zaczęłam chodzić z Chrisem Summersem, zobaczyłam, jak rozmawiam z Nickiem, i totalnie ześwirował. Chyba tak to się zaczęło. Gdybym się nie przyjaźniła z Nickiem, Chris by nie zwrócił na niego uwagi. A tak go niszczył.

— Ginny, ja... — odezwałam się, ale pokręciła głową.

— Musiałam się przestać odzywać do Nicka. Musiałam, bo Chris nie dawał mi spokoju. „Po co się przyjaźnisz z takim popaprańcem?” — rzuciła niskim głosem, pewnie udając swojego chłopaka.

— Ale to Chris... — zaczęłam. Znowu mi przerwała.

— Po prostu ciągle myślałam... Może gdybym się nie przyjaźniła z Nickiem... albo może gdybym wytrwała w tej przyjaźni i posłała Chrisa na drzewo... Może by nie doszło do... — urwała, a jej twarz znowu się skrzywiła w grymasie. — A teraz obaj nie żyją.

Na ekranie telewizora pojawił się jakiś nieznany mi raper. Miał na szyi gigantyczny złoty medalion z symbolem dolara i robił do kamery dziwne gesty. Ginny w końcu otworzyła oczy, wydmuchała nos i spojrzała na ekran.

— To nie twoja wina — powiedziałam. — To nie przez ciebie. I... przykro mi z powodu Chrisa. Wiem, że go bardzo lubiłaś. — Innymi słowy Ginny dostrzegła dobro także w nim. A to czyniło ją lepszą osobą ode mnie, bo ja tego nie potrafiłam. Czy to znaczy, że Chrisa i Nicka więcej łączyło, niż dzieliło? Że mieli wspólne cechy, wcale nie najlepsze?

Ginny oderwała załzawione oczy od telewizora. Spojrzała na mnie.

— Odkąd Nick mi to zrobił, chciałam umrzeć. — Wskazała twarz. — Nie masz pojęcia, ile przeszłam operacji. I proszę, spójrz na mnie. Przedtem nie pragnęłam śmierci. Modliłam się, żeby Nick mnie nie zabił. Ale w pewnym sensie żałuję, że tego nie zrobił. Słyszę, jak ludzie o mnie szepczą, kiedy im się wydaje, że ich nie słyszę: „Co za szkoda, to była taka ładna dziewczyna”. Była. To już przeszłość, rozumiesz. I nie chodzi o to, że uroda to najważniejsza rzecz na świecie. Ale... — znowu urwała. Wydawało mi się, że nie wie, jak skończyć. Zgadywałam, co myśli: „Uroda to nie najważniejsza rzecz w życiu, ale brzydota — czasem tak”.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Ginny mówiła tak szczerze i odważnie. Spuściłam wzrok. Na nogawce na udzie miałam małe rozdarcie. Wsunęłam w nie palec.

— Wiesz — odezwała się Ginny — nie pamiętam tego, co się wtedy działo, ale wiem, że nie brałaś w tym udziału. Tak powiedziałam policjantom. Poszłam z Jessicą na posterunek i w ogóle. Moi rodzice się wściekli jak diabli. Chcieli obwinić kogoś, kto ocalał. Powtarzali, że nie wiem wszystkiego. Że mogę mieć amnezję. Ale ja wiedziałam, że nikogo nie zastrzeliłaś. Widziałam, jak biegniesz za Nickiem, żeby go powstrzymać. I jak klękasz, żeby pomóc Christy Bruter.

Wierciłam palcem w dziurze w spodniach. Ginny oparła się o poduszkę i zamknęła oczy, jakby chciała zasnąć. I pewnie chciała.

— Dziękuję — szepnęłam ledwie dosłyszalnie, bardziej do dziury w nogawce. — I przykro mi. Naprawdę, bardzo mi przykro, że cię to spotkało. To nie ma znaczenia, ale nadal uważam, że jesteś ładna.

— Dzięki — mruknęła Ginny. Jej oddech stał się spokojny i miarowy.

Spojrzałam na gazetę, którą mama Ginny zostawiła na krześle. Litery nagłówka krzyczały:

**PRÓBA SAMOBÓJCZA OFIARY STRZELANINY DYREKTOR  
POTWIERDZA, ŻE SZKOŁA NADAL PRACUJE NAD UZDROWIE-  
NIEM ATMOSFERY**

Artykuł napisała oczywiście Angela Dash. Nagle przyszedł mi do głowy pomysł. Wzięłam gazetę, złożyłam ją kilka razy i schowałam do plecaka.

— Wyjdę, żebyś mogła się przespać — powiedziałam, ruszając do drzwi.  
— Mam coś do zrobienia. Wrócę później — dodałam niemal z zawstydzeniem.

— Dobrze — wymamrotała Ginny, nie otwierając oczu.



— Dobry pomysł — oznajmił doktor Hieler, wylewając pół kubka kawy do zlewu w malutkiej kuchence.

Ze szpitala poszłam prosto do jego gabinetu, znajdującego się na tej samej ulicy. Nie wiedziałam, do kogo innego miałabym się zwrócić, a zdecydowanie chciałam z kimś pogadać. Do przyjscia następnego pacjenta zostało parę minut, ale doktor pozwolił mi mówić. Chodziłam za nim, patrząc, jak zbiera puste puszki po napojach, które zostawili jego poprzedni podopieczni, i układa dokumenty na biurku.

— Napisz coś. To nie muszą być przeprosiny. Wyjaśnij, co dla ciebie znaczy ta klasa.

— Co? Wiersz?

— Może i wiersz. Cokolwiek. — Krzątał się po gabinecie, a ja deptałam mu po piętach.

— I zapowiedzieć, że przeczytam to na rozdaniu dyplomów?

— Aha. — Zgarnął z biurka mały kopczyk ziemniaczanych chipsów i wrzucił je do kosza na śmieci.

-Ja?

-Ty.

— Nie zapomina pan, że mówi do Siostry Śmierć, Dziewczyny, Która Nienawidziła Wszystkich? Którą wszyscy uwielbiają nienawidzić?

Zatrzymał się i oparł o biurko.

— Dokładnie dlatego powinnaś to zrobić. Nie jesteś tą dziewczyną. Nigdy nie byłaś. — Zerknął na zegarek. — Pacjent czeka...

— No dobrze. Dzięki za radę.

— To nie rada — powiedział, wychodząc z gabinetu. — To praca domowa.

— Zaczekasz tu na mnie? — spytałam mamę. — Za minutkę wracam.

— Tu? Pod redakcją? — zdziwiła się. — Co zamierzasz tam robić? — Spojrzała na ceglany budynek z szyldem „Sun-Tribune”.

— To do szkolnego projektu upamiętniającego ofiary. Muszę odebrać materiały od pani, która tu pracuje.

Prawdopodobnie sygnał alarmowy w głowie mamy wył na cały regulator. Wróciła z pracy, musiała mnie odebrać spod gabinetu doktora Hielera, czego zupełnie nie planowała, a potem zawieźć mnie do redakcji „Sun-Tribune”, zadowolając się zwięzłym: „Potem ci wszystko wytłumaczę, przysięgam”.

Miałam wrażenie, że mama nie wierzy w ani jedno moje słowo, ale pewnie ucieszyło ją, że nie eskortuje nas policja i że nie mam kajdanek na rękach.

— Mamo, wszystko gra — zapewniłam, kładąc dłoń na kłamce. — Zaufaj mi.

Spojrzała na mnie przeciągle i strzepnęła mi z ramienia pyłek.

— Ufam ci. Naprawdę.

Uśmiechnęłam się.

— Zaraz wracam.

— Rób, co musisz — powiedziała, siadając wygodnie. — Nie ruszam się stąd.

Wysiadłam z samochodu i weszłam przez podwójne drzwi redakcji. Strażnik wskazał mi bez słowa księgę, do której się wpisałam. Przeczytał moje nazwisko.

— W sprawie...?

— Muszę porozmawiać z Angelą Dash.

— Spodziewa się pani?

— — Nie — przyznałam. — Ale dużo o mnie pisała, więc przypuszczam, że zechce ze mną zamienić parę słów.

Strażnik miał sceptyczną minę, jednak sięgnął po telefon i coś do niego mruknął.

Po paru minutach pojawiła się pulchna brunetka w zbyt obcisłej dzinsowej spódnicy i niemodnych kozakach. Zaprowadziła mnie do położonych głębiej pomieszczeń.

— Nazywam się Valerie Leftman — zaczęłam.

— Znam cię — oznajmiła. Miała niski, trochę męski głos. Szła tak szybko, że z trudem za nią kuśtykałam. Znikła w małym obskurnym gabinecie, w którym jedyne źródło światła stanowił szarzejący ekran komputera. Weszłam za nią.

Usiadła przy biurku.

— Kurczę, tak się starałam z tobą skontaktować — powiedziała, wpatrując się w monitor i klikając myszką w obłądnym tempie. — Masz opiekuńczych rodziców.

— Dopiero dużo później dowiedziałam się, że kontrolują, kto do mnie dzwoni — odparłam. — Ale pewnie i tak bym z panią nie porozmawiała. Nie odzywałam się do nikogo. Nawet do moich opiekuńczych rodziców.

Zerknęła na mnie bez zainteresowania.

— Co cię sprowadza? Dojrzałaś do rozmowy? Bo jeśli tak, to muszę ci powiedzieć, że teraz cię nie potrzebujemy. To już zwietrzały temat. Z wyjątkiem próby samobójczej i chwili milczenia nie ma w nim nic nowego. Chcemy iść dalej. Strzelanina to przeszłość.

Angela Dash nie wyglądała na osobę, którą sobie wyobrażałam, ale zachowywała się dokładnie jak ona. Rozpięłam torbę i wyjęłam gazetę, którą zwędziłam z pokoju Ginny. Rzuciłam ją na biurko.

— Chcę, żeby pani przestała o tym pisać. Proszę.

Przestała klikać. Zdjęła okulary i przetarła je ręką

koszuli. Znowu je włożyła.

— Słucham?

Wskazałam gazetę.

— Pani nie pisze prawdy. Sytuacja tak nie wygląda. Przedstawia to pani tak, jakby w tej szkole wszyscy się otrząsnęli i żyli jak w raju, ale to fałsz.

Przewróciła oczami.

— Nigdy nie wspominałam, że życie w raju...

— Przedstawiła pani Ginny Baker jak jakąś porąbaną samobójczynię, która w odróżnieniu od wszystkich nie potrafi się pogodzić z przeszłością. A to fałsz. Nawet nie rozmawiała pani z Ginny, tylko z panem Angersonem, i rozpowiada pani kłamstwa, na których mu zależy. On nie chce stracić pracy, więc każe pani mówić, że w liceum wszystko wróciło do normy.

Angela Dash oparła się na łokciach i uśmiechnęła łobuzersko.

— Rozpowiadam kłamstwa? A skąd masz tę informację?

— Z życia. Chodzę do tej szkoły codziennie. Widzę, co się tam nadal dzieje. Wiem, że nie tylko Ginny Baker cierpi. Wiem, że to, co widzi pan Angerson, i to, co chce zobaczyć, to dwie różne sprawy. Pani tam nie spędziła ani jednego dnia. Nie przyszła pani do mojego domu. Nie było pani na żadnym meczu, wyścigach czy tańcach. Ani w szpitalu u Ginny.

Dziennikarka wstała.

— Tego nie wiesz.

— Niech pani przestanie o nas pisać. O naszej szkole. Proszę dać nam spokój.

— Wezmę to pod uwagę — powiedziała Angela Dash fałszywie miłym tonem. — Ale wybacz, jeśli życzenia mojego redaktora naczelnego przedłożę nad twoje.

Za tym biurkiem wydała mi się mała i przysadzista. Zawsze wyobrażałam ją sobie jako olbrzymkę o gigantycznej mocy.

— Muszę skończyć artykuł — dodała. — Jeśli chcesz zobaczyć „prawdę” w druku, to może zastanów się nad napisaniem książki. Dorabiam jako *ghostwriter*, jeśli cię to interesuje.

I nagle zrozumiałam, że świat usłyszy takie informacje o liceum, jakich pragnie Angerson. Że Angela Dash to leniwa, kiepska dziennikarka, która robi wszystko, co jej każą. Że nikt nie usłyszy prawdy. I że nie mam na to wpływu.

A może jednak?

Wyszłam szybko na zewnątrz. Mama nadal czekała na mnie w samochodzie.

— Zdobyłaś to, co chciałaś? — spytała, przyglądając mi się uważnie. — Masz te materiały?

— Właściwie tak — odpowiedziałam. — Chyba dostałam dokładnie to, czego potrzebowałam.

Nie wiedziałam, czy już nie za późno na powrót do projektu Rady, ale chciałam spróbować. Zostało tylko parę tygodni szkoły. Zamierzałam powiedzieć Jessice o moich planach.

Weszłam niepewnie do sali, przygotowując się na stawienie czoła całej Radzie, jednak zastałam tylko Jessicę pochyloną nad plikiem papierów.

— Cześć — odezwałam się od progu. Podniosła głowę. — Gdzie wszyscy? Myślałam, że macie zebranie.

— A, cześć. Zebranie odwołane, Stone ma gripę. W końcu wkuwam do egzaminu z matmy. — Potarła łokcie i zerknęła na mnie z ukosa. — Chcesz brać udział w zebraniach? Myślałam, że odeszłaś.

— Mam pomysł na prezentację projektu — powiedziałam. Usiadłam przy biurku obok niej i wyjęłam kartkę, nad którą pracowałam całą noc — zarys mojego planu. Jessica wzięła ją i zaczęła czytać.

— Aha — mruknęła z uśmiechem na twarzy. — Aha. Dobrze. Świetne, Val. — Zerknęła na mnie. — Podwieźć cię?

Uśmiechnęłam się.



— Dobra.

Pierwszy przystanek zrobiliśmy przed domem pana Kline'a, małą przytulną chatką z zapuszczonym ogrodem od frontu. Na schodach ganku siedział chudy rudy kot.

Jessica zatrzymała samochód na podjeździe i wyłączyła silnik.

— Gotowa? — spytała. Skinęłam głową. Tak naprawdę pewnie nigdy nie zdołałabym się do tego przygotować, ale po prostu musiałam to zrobić.

„Dostrzegaj prawdziwe oblicze spraw — powtórzyłam w myślach. — Dostrzegaj rzeczywistość”.

Wysiadliśmy z samochodu i weszliśmy po schodkach. Kot miauknął żałośnie i uciekł w krzaki. Przycisnęłam guzik dzwonka.

Tuż za drzwiami rozszczękał się wściekle mały pies. Potem rozległ się uciszający go głos. W końcu drzwi się uchylły i przez szparę spojrziała na nas myszowata, rozczochrana kobieta w ogromnych okularach. Do jej boku tulił się zezowaty dzieciak z lizakiem.

Kobieta otworzyła drzwi szerzej.

-Słucham?

— Dzień dobry — odezwałam się nerwowo. — Eee.;. pani Kline? Jestem Val...

— Znam cię — ucięła sucho. — Czego chcesz?

Jej słowa padały jak okruchy lodu. Poczułam, że z wolną tracę odwagę. Jessica zerknęła na mnie. Pewnie dostrzegła mój strach, bo przejęła inicjatywę.

— Przepraszamy, że przeszkadzamy — powiedziała — ale chcielibyśmy z panią przez chwilę porozmawiać. Chodzi o projekt, który dotyczy pani męża.

— Upamiętniający go — dodałam bez namysłu i policzki mi zapłonęły. Zawstydziałam się, że zrobiłam przy niej aluzję do śmierci jej męża. Jakby w ten sposób miała się ona stać bardziej prawdziwa dla tej małej krępej kobiety, która została sama z dziećmi.

Pani Kline patrzyła na nas długo w milczeniu. Wydawała się bardzo dokładnie rozważać sprawę. Może bała się, że mam przy sobie broń i zastrzelę ją, odbierając jej dzieciom także matkę.

— Dobrze — zdecydowała, otwierając drzwi nieco szerzej. Jednocześnie odsunęła się nieco w bok, pozwalając Jessice i mnie precyzyjnie przycisnąć się do małego saloniku. — Ale mam tylko parę minut.

— Dziękujemy — szepnęła Jessica i weszliśmy.

Czterdzieści minut później stałyśmy pod domem Abby Dempsey — trudna próba dla Jessiki, która się z nią przyjaźniła i która nie widziała jej rodziców od pogrzebu — a jeszcze potem, siedząc na plastikowych krzeselkach w garażu, rozmawialiśmy z Hannah, starszą siostrą Maxa Hillsa.

Nadszedł wieczór, kiedy znalazłyśmy się w szpitalu u Ginny, która płakała jak fontanna, zużywając góry chusteczek higienicznych. Miała zły dzień. Chcia-

ła wracać do domu, ale poprzedniego dnia spróbowała sobie podciąć żyły kawałkiem zbitego lusterka z puderniczki. Lekarze postanowili zatrzymać Ginny na dłużej, co doprowadziło ją do rozpacz. Porozmawiałyśmy z jej mamą w poczekalni.

O ósmej wieczorem umierałyśmy z głodu, a miałyśmy przed sobą jeszcze jeden przystanek. Jessica wstąpiła na stację benzynową i najadłyśmy się pasków suszonej wołowiny oraz chipsów. Zadzwoiłam do mamy, by powiedzieć, że się trochę spóźnię. Omal się nie popłakałam z ulgi, kiedy usłyszałam, że nie ma sprawy, żebym tylko uważała na siebie. Dokładnie tak by zareagowała przed strzelaniną.

Siedziałyśmy w samochodzie na parkingu i nie mogłyśmy się zabrać do dzieła.

— Może to jednak kiepski pomysł — odezwałam się. Mdlilo mnie po tym tłustym jedzeniu.

— No co ty? — Jessica włożyła do ust serowego chrupka. — Pomysł jest bomba! I prawie skończyłyśmy! Nie poddawaj się.

— A jeśli będzie z tego więcej przykrości niż pożytku? A jeśli...

— A jeśli boisz się wejść do domu Christy Bruter? Nie dziwię ci się, ale idziemy.

— Przecież to wszystko przez nią. Przez moją empetrój—kę...

— Nie przez nią, tylko przez Nicka. Albo los. Albo nie wiem co. Nieważne. Jedziemy.

— No, nie wiem.

Jessica zmięła pustą torebkę po chrupkach i rzuciła ją na tylne siedzenie. Przekręciła kluczyk w stacyjce; silnik warknął.

— A ja wiem. Jedziemy. — Samochód wytoczył się z parkingu. Nie miałam wyboru. Pojechałyśmy.

— Boli tylko czasami — powiedziała Christy siedząca między rodzicami na kanapie. Patrzyła na Jessicę. Nie dziwię się jej. Ja też nie mogłam znieść jej widoku. — I właściwie to nie ból, tylko takie dziwne uczucie. Jakby moje ciało stało się obce. Ale najgorsze jest to, że nie mogę grać w softball. A już mi zaproponowano stypendium. No i tata mnie trenował, a teraz...

— Teraz tata się cieszy, że mógł cię trenować — przerwał ojciec, ściskając jej kolano. — I że ma córkę, która przeżyła i pójdzie na studia.

Mama Christy mruknęła coś, co brzmiało jak „amen”, i otarła palcem kącik oka. Nie odezwała się, odkąd tu we— szliśmy. Siedziała u boku Christy, na zmianę głaszcząc ją po kolanie i przytakując jej słowom, z drżącym i niezbyt przekonującym uśmiechem. Znowu skinęła głową, gdy ojciec Christy powiedział, że modlił się o córkę żyjącą długo i szczęśliwie, a nie o sportsmenkę.

— Czy... — zaczęłam, ale urwałam, niepewna, co chciałam powiedzieć. „Czy uważasz, że to moja wina? Czy teraz nienawidzisz mnie jeszcze bardziej? Czy żałujesz, że Nick mnie nie zabił? Czy widzisz mnie w koszmarach?”. Otworzyłam i zamknęłam usta, przełknęłam ślinę.

Pan Bruter chyba wyczuł moje skrepowanie, bo pochylił się, opierając łokcie na kolanach, i spojrzał mi prosto w oczy.

— Przez ten czas dowiedzieliśmy się wielu nowych rzeczy o wybaczeniu. Nie zależy nam, żeby ktoś cierpiał przez tę tragedię. Już dość.

Christy spuściła wzrok. Jessica lekko pochyliła się w moją stronę.

— Paru bohaterów zginęło za tę szkołę — dodał cicho pan Bruter. — Paru omal nie zginęło. A inni bohaterzy powstrzymali masakrę. Zadzwonili na pogotowie, kiedy Christy została postrzelona. Uciskali jej brzuch, żeby powstrzymać krwotok. I... stracili ukochanych. Doceniamy ich wszystkich.

Jessica dotknęła mojego ramienia. Czułam się ogłuszona. I — Boże, jak do tego doszło? — dumna.

Kiedy dotarłam do domu, kompletnie wykończona, mama i Mel oglądali telewizję.

— Późno się zrobiło — odezwała się mama z ramion Mela. — Zaczynałam się o ciebie martwić.

— Przepraszam — odpowiedziałam. — Ten projekt trzeba skończyć przed rozdaniem dyplomów.

— Udało się? — spytał Mel. Jakoś mnie nie drażnił. W sumie okazał się całkiem w porządku. I dzięki niemu mama częściej się uśmiechała, a to czyniło go w moich oczach fantastycznym gościem.

— Skończyłam zbieranie materiałów — wyjaśniłam. — Mam już wszystkie wywiady.

Skinał głowę.

— Zostawiłam ci kolację — rzuciła mama. — W piecyku.

— Dzięki, ale nie. Zjadłam coś z Jess. — Podeszłam i stanęłam nad kanapą.  
— Pójdę spać. — Pocałowałam mamę w policzek — coś, czego nie robiłam od lat. Spojrzała na mnie z zaskoczeniem. — Dobranoc, mamó — dodałam, idąc w stronę schodów. — Dobranoc, Mel.

— Dobranoc! — zawołał Mel, zagłuszając odpowiedź mamy.

TLR

Na ostatnie spotkanie z doktorem Hielerm wpadłam cała w skowronkach.

— Chyba zaczynam odkrywać, kim jestem — oznajmiłam z szerokim uśmiechem. Rzuciłam się na kanapę i otworzyłam colę.

— A kim jesteś? — zainteresował się uśmiechnięty doktor. Usiadł w fotelu, jak zawsze przerzucając nogę przez jego oparcie.

— No, wiem, że to zabrzmie debilnie, ale chyba uświadomiły mi to rozmowy z tymi ludźmi.

— Więc kim jesteś? Jakie swoje cechy sobie przypomniałaś?

— No... — Wstałam i zaczęłam krążyć po gabinecie. — Przede wszystkim lubiłam szkołę. Naprawdę. Lubiłam przebywać z przyjaciółmi, chodzić na mecze koszykówki i tak dalej. Miałam zapał do nauki. Chciałam iść na studia.

Doktor Hieler przytaknął, przyciskając palec do wargi.

— Dobrze. Zgadza się z tobą.

Wróciłam na kanapę; buzowała we mnie skoncentrowana energia.

— A listę *Do odstrzału* stworzyłam całkiem serio. Naprawdę się wściekałam. Nie chciałam jedynie zaimponować Nickowi, choć nie dorównywałam mu w gniewie. Nie zdawałam sobie sprawy, jak wielką urazę czuł do wszystkich. Ale ja też miałam dość. Tego zastraszania, kpin, wyzywania... moich rodziców, mojego życia... Wszystko wydawało się takie porąbane i bezsensowne, a to mnie całkiem konkretnie wkurzało. Może nawet myślałam o samobójstwie, nie zdając sobie z tego sprawy.

— Niewykluczone. Miałaś powód, żeby się gniewać.

Znowu zerwałam się z kanapy.

— Nie rozumie pan? Ja nie udawałam. W każdym razie niezupełnie. — Odwróciłam się do okna. Mgła opadała na samochody na parkingu. — Przynajmniej nikomu się nie podlizywałam — dodałam, patrząc na kropelki wody na dachach aut. — Chociaż tyle.

— Aha. A potrafisz zrobić salto do tyłu?

— Nie, nadal nie.

— Serio? A ja tak.

— Nieprawda. Ależ z pana kłamczuch.

— Przynajmniej dobry. I jestem z ciebie dumny, Val. W tej sprawie nie kłamię. — Potem zagraliśmy w szachy, jak zwykle. Doktor wygrał, jak zwykle.



— Wiem, że nie chcesz, żebym sobie robiła nadzieję — powiedziała pani Tate. Niedojedzony pączek leżał przed nią na biurku. Z kubka kawy unosiła się para. Rano ładnie u niej pachniało. Tak jak powinno zaraz po przebudzeniu — słodko, pogodnie i kojąco. — Ale nie mogę się opanować. To wspaniała wiadomość.

— To żadna wiadomość — odezwałam się ospale. — Ja tylko proszę o te katalogi. Na później.

Pani Tate skinęła entuzjastycznie głową.

— Oczywiście! Na później. Ma się rozumieć. Naturalnie. To całkiem zrozumiałe. Później — znakomicie. Jak bardzo później?

Wzruszyłam ramionami.

— Nie wiem. Tyle, ile trzeba. Muszę przemyśleć parę spraw. Ale ma pani rację, przedtem chciałam iść na studia. Nie mogę zapomnieć, kim byłam. Kim mogłabym się stać.

Pani Tate otworzyła szafkę i wyjęła kilka grubych katalogów.

— Nie potrafię wyrazić, jak cieszy mnie to, co słyszę — oznajmiła z radosnym uśmiechem. — Proszę. Ogromny wybór. Wiesz, że możesz do mnie zadzwonić, jeśli nasuną ci się jakieś pytania albo wątpliwości.

Podawała mi broszury, ciężkie i grube. Były miłe w dotyku. Choć raz przyszłość miała większą wagę niż przeszłość.

TLR

# CZEŚĆ CZWARTA

*„Jak potraktować taką krwawą zbrodnię?”*

Szekspir

TLR

Nie powiem, że na widok kamer telewizyjnych nie ogarnęła mnie trema. Strasznie dużo dziennikarzy się zjechało. Spodziewaliśmy się paru — nawet na to stawialiśmy — ale na pewno nie tylu! Wyschnięte gardło ścisnęło mi się, kiedy usiłowałam coś powiedzieć.

Jak na maj zrobiło się bardzo gorąco. Szarpana wiatrem toga oklejała mi nogi. Uroczystość rozdania dyplomów odbywała się jak zawsze na dworze, na rozległym trawniku przy wschodniej ścianie szkoły. Kierownictwo regularnie zapowiadało, że z czasem — w związku z rozrastaniem się szkoły i nieprzewidywalnością tutejszej pogody — impreza zostanie przeniesiona do wielkiego audytorium. Ale nie dziś. Dziś postępowaliśmy zgodnie z tradycją. Mogliśmy zrobić przynajmniej tyle — my, niesławny rocznik 2009. Tradycja wydawała nam się czymś dobrym.

W jednym z ostatnich rzędów znalazła się moja rodzina: Frankie między mamą a tatą, Briley po drugiej stronie taty.

Mama siedziała z zaciśniętymi zębami, rzucając wrogie spojrzenia operatorom. Nagle poczułam wdzięczność, że zdołała mnie uchronić przed kamerami przez całe to zamieszanie. Dziennikarkę spotkałam tylko raz — kiedy wybrałam się do redakcji, by porozmawiać z Angelą Dash. Zrozumiałam ze zdziwieniem bliskim wstrząsowi, że mimo wszystkich oskarżeń i braku zaufania, mama nie tylko broniła świat przede mną, lecz także mnie przed światem. Pomimo konfliktów zawsze łączyła nas miłość.

Tata, ściśnięty między mamą a Briley, wyglądał dość żałośnie, ale kiedy nasze spojrzenia się spotykały, na jego twarzy pojawiała się ulga. I to niezaprzeczalnie szczerą. Widziałam w oczach ojca nadzieję i zrozumiałam, że mimo te-

go, co sobie powiedzieliśmy, kiedyś w końcu sobie wybaczymy. Nawet jeśli nie zapomnimy. Trzeba tylko poczekać.

Od czasu do czasu Briley pochylała się do niego i szeptała mu coś na ucho, a on się uśmiechał. Cieszyłam się, że tata ma powód do radości. Trochę żałowałam, że Mel nie przyszedł z mamą. Wtedy i ona by się uśmiechała.

Frankie siedział ze znudzoną miną, choć podejrzewam, że się zgrywał. W przyszłym roku to on zacznie przemierzać korytarze mojego liceum, przemykać pod baczny spojrzeniem pana Angersona, siadywać w gabinecie pani Tate, zdziwiony panującym tam sympatycznym bałaganem. Coś mi mówiło, że sobie poradzi. Mimo wszystko.

Na ceremonię przyszedł też doktor Hieler. Zajął miejsce w rzędzie za rodzicami. Obejmował żonę, która wcale nie wyglądała tak, jak ją sobie wyobraziłam. Nie była piękna ani olśniewająca, nie miała bezbrzeżnej cierpliwości i wdzięku Madonny. Często spoglądała na zegarek, mrużyła oczy przed słońcem, a raz warknęła coś do komórki. Wolałam moje wyobrażenie o niej. Bardzo chciałam wierzyć w istnienie takich rodzin jak ta, którą w myślach stworzyłam dla doktora Hielera. Życzyłam tego zwłaszcza jemu.

Za doktorem siedziała Bea, symfonia fioletu. Włosy spięła w kok i ozdobiła tyłoma fioletowymi paciorkami, że przy każdym jej ruchu rozlegało się dzwnienie. Miała na sobie powiewny fioletowy komplet, a na kolanach trzymała fioletową torebkę wielkości małej walizki. Uśmiechała się do mnie, spokojna i piękna jak dama z portretu.

Angerson wstał i rozpoczął ceremonię. Wygłosił krótkie przemówienie o wytrwałości, ale najwyraźniej nie wiedział, co powinien powiedzieć tej klasie. Stare frazesy do nas nie pasowały. Jak miał mówić o przyszłości w obecności tych rodziców, którzy nie mogli się rozstać z przeszłością, którym zostało tylko pożegnać się z nadzieją dla ich dzieci, bezpowrotnie utraconą rok temu? Co mógł powiedzieć reszcie z nas, nieodwracalnie zmienionych przez wydarzenia w szkole, którą niegdyś kochaliśmy? Nie zachowamy miłych wspomnień, tragedia przysłoniła je na zawsze. Nie czekają nas klasowe spotkania — to zbyt bolesne.

Wkrótce przekazał pałeczkę Jessice, która wstała i z pewnością siebie weszła na podium. Zaczęła mówić opanowanym, kojącym tonem o studiach, na obojętne tematy, nikogo nie doprowadzające do płaczu. A potem zamilkła z głową pochyloną nad plikiem kartek.

Trwała nad nimi tak długo, że publiczność zaczęła kaszleć i szemrać z zażenowaniem. Jessica wyglądała, jakby się modliła. Nie wiem, może i tak. Zaniepokojony Angerson parę razy pochylił się w jej stronę, jakby chciał ją trącić albo ściągnąć ze sceny. Kiedy Jessica wreszcie uniosła głowę, miała zmienioną twarz. Złagodniała. Już nie była przewodniczącą Rady Uczniów, tylko dziewczyną, która głaskała mnie po ramieniu, kiedy ojciec Christy Bruter mówił o wybaczeniu.

— Naszą klasę — zaczęła — na zawsze określiła data: drugi maja 2008 roku. Tego dnia każdy z nas wspomni kogoś kochanego i utraconego. Wspomni sceny, które rozegrały się tamtego ranka. Wspomni ból, rozpacz, strach i bezradność. Wspomni wybaczenie. Wspomni to wszystko. My, Rada Uczniów

rocznika 2009, dajemy naszej szkole coś, co upamiętni... — głos jej się załamał; znieruchomiała z pochyloną głową, usiłując się opanować. Kiedy znowu się wyprostowała, nos miała bardzo czerwony, a głos jej drżał: — ...Upamiętni ofiary tamtego dnia. Tych, których nigdy nie zapomnimy.

Meghan wstała i podeszła do przykrytego płachtą wzniesienia nieopodal sceny. Odsłoniła je. Nad jamą mniej więcej wielkości telewizora stała betonowa ławeczka niemal oślepiająca swoją szarawą białością. Obok dziury znajdowały się kopczyk ziemi i otwarta metalowa kasetka — kapsuła czasu. Z mojego miejsca widziałam, że wypełniają ją najróżniejsze przedmioty: pompony cheerleaderek, pluszowe kostki do gry, zdjęcia.

Jessica skinęła mi głową. Wstałam. Na uginających się nogach weszłam po schodkach na podium. Jessica odsunęła się, ale wyciągnęła ręce i mnie przytuliła. Nie starałam się wyzwolić. Ciepło jej ciała przesiąkło przez moją togę, która jeszcze bardziej przylgnęła do skóry. Nie przeszkadzało mi to.

Przypomniałam sobie, jak Jessica podeszła do mnie w dniu, w którym oznajmiłam, że rezygnuję z projektu. Miała wilgotne, zdesperowane oczy, trzymała rękę na sercu, w jej głosie brzmiały łzy. „Przeżyłam i wszystko się zmieniło” — powiedziała. Wtedy nazwałam ją wariatką, ale teraz, garnąc się do niej na scenie w ostatnim dniu szkoły, po ukończeniu projektu, dobrze ją rozumiałam i wiedziałam, że miała rację. Ten dzień naprawdę zmienił wszystko. Stałyśmy się przyjaciółkami nie dlatego, że chciałyśmy, ale ponieważ musiałyśmy. Może świruję, lecz odniosłam wrażenie, że wręcz powinnyśmy się zaprzyjaźnić.

W tym oszołomieniu raczej poczułam niż zobaczyłam eksplozję fleszy. Usłyszałam szmer głosów dziennikarzy. Potem Jessica wypuściła mnie z objęć, a ja wstąpiłam na podium i odkaszlnęłam.

Widziałam moich dawnych kumpli: Stacey, Duce'a, Davida i Masona. A także Josha, Meghan i nawet siedzącego z rodzicami Troya. Zobaczyłam wszystkich, falujące morze smutku i nieszczęścia; każda osoba niosła własne cierpienie, własną historię, nie mniej tragiczną czy tryumfalną niż pozostali. W pewnym sensie Nick miał rację: wszystkim czasem zdarza się wygrać. Ale nie rozumiał, że wszyscy musimy też przegrywać. Jedno nie istnieje bez drugiego.

Pani Tate przyglądała mi się, skubiąc zębami kciuk. Mama siedziała z zamkniętymi oczami. Wydawało mi się, że przestała oddychać. Przyszło mi do głowy, że powinnam posłuchać instynktu i przeprosić. Oficjalnie. Cały świat. Może te przeprosiny liczyłyby się bardziej niż to, co zamierzałam im dać.

Ale poczułam, że Jessica bierze mnie za rękę, że jej ramię dotyka mojego i w tym samym momencie dostrzegłam Angełę Dash, która pochyliła się nad notesem i zaczęła pisać. Zerknęłam na kartkę z przemówieniem.

— W tym roku w naszej szkole mieliśmy kontakt z przykrą rzeczywistością. Ludzie się nienawidzą. Tak wygląda prawda. Ludzie nienawidzą, stają się obiektem nienawiści, chowają urazę i żądają kary. — Zerknęłam na pana Angersona, który siedział na brzeжку krzesła, gotów skoczyć i mnie powstrzymać, gdybym się zagalopowała. Zadrżałam, ogarnięta falą słabości. Jessica mocniej ścisnęła moją dłoń.

— Media twierdzą, że tej nienawiści już nie ma.



Angela Dash poruszyła się nerwowo. Założyła ręce na piersi, zapominając o reporterskim notesie. Rzuciła mi wrogie spojrzenie i wyduła brzydkie wargi. Zamrugałam gwałtownie, przełknęłam z trudem ślinę i siłą woli zmusiłam się, by mówić dalej.

— Nie wiem, czy można oduczyć ludzi nienawiści. Nawet nas, którzy widzieliśmy na własne oczy, do czego ona prowadzi. Wszyscy cierpimy. I jeszcze długo nie przestaniemy cierpieć. Prawdopodobnie intensywniej niż ktokolwiek codziennie szukamy nowej rzeczywistości. Lepszej. — Spojrzałam na doktora Hielera siedzącego za moimi rodzicami. Skrzyżował ręce na piersi, palcem dotykał dolnej wargi. Leciutko, niemal niedostrzegalnie skinął głową.

Przesunęłam się pół kroku w bok. Jessica, nadal trzymając mnie za rękę, pochyliła się do mikrofonu.

— Wiemy jednak, że można zmienić rzeczywistość — zaczęła. — To trudne i ludziom na ogół nie chce się tego robić, ale to wykonalne. Można się pozbyć nienawiści, otwierając się na przyjaciela. Ratując wroga. — Spojrzała na mnie z uśmiechem. Odpowiedziałam bez przekonania. Wątpiłam, czy pozostaniemy przyjaciółkami. Czy po dzisiejszym dniu jeszcze się zobaczymy.

— Jednak żeby zmienić rzeczywistość, trzeba chcieć się uczyć i słuchać. I słyszeć. Naprawdę słyszeć. Jako przewodnicząca Rady Uczniów tego rocznika proszę was wszystkich, żebyście zapamiętali tych, którzy stracili życie drugiego maja, i żebyście usłyszeli prawdę o tym, jacy byli w rzeczywistości.

Odkaszlnęłam.

— Wiele osób straciło życie, ponieważ napastnik... — urwałam. Nie mogłam nawet spojrzeć na doktora Hielera, który na pewno wycierał oczy i kiwał zachęcająco głową — ...mój chłopak, Nick Levil, oraz ja uważaliśmy ich za złych ludzi. Widzieliśmy tylko to, co chcieliśmy zobaczyć, i... — Otarłam łzę. Jessica puściła moją rękę i pogłaskała mnie po plecach. — Eee... nie... nie wiedzieliśmy... nie znaleźliśmy ich naprawdę.

Jessica znowu się pochyliła do mikrofonu.

— Abby Dempsey uwielbiała jazdę konną. Miała własnego konia o imieniu Nietzsche i jeździła na nim w każdy sobotni ranek. W lecie miała wystąpić w rodeo dla młodzieży w Knofton. Bardzo się na to cieszyła. Przyjaźniłyśmy się — dodała z trudem. — Do kapsuły czasu włożyliśmy pasmo z grzywy Nietzschego.

Cofnęła się, a ja zajęłam miejsce przy mikrofonie. Ręce, w których trzymałam kartki, trzęsły się i nie mogłam podnieść głowy. Ale zrobiło mi się trochę lżej, gdy przypominałam sobie twarze rodziców, z którymi rozmawiałam razem z Jessicą. Rodziców, których wreszcie osobiście przeprosiłam. Rodziców, którzy przyjęli moje przeprosiny, i tych, którzy mi przebaczyli. A także tych, którzy tego nie zrobili. Kilkoro powiedziało, że nie muszę ich przeproszać. Płakaliśmy razem, a oni opowiadali nam o swoich dzieciach. Przypuszczam, że większość z nich siedziała teraz na widowni.

— Christy Bruter — powiedziałam — została przyjęta na Notre Dame University i zamierza studiować psychologię. Chce pracować z ofiarami wypadków i już pisze książkę o tragedii, w której uczestniczyła. Do kapsuły czasu włożyła piłkę do softballu.

— Drugiego maja Jeff Hicks przyszedł do szkoły prosto ze szpitala, w którym po raz pierwszy zobaczył swojego nowo narodzonego braciszka — podjęła Jessica. — Wbiegł do budynku spóźniony, ale szczęśliwy, że w rodzinie pojawił się nowy chłopiec. Zaproponował nawet imię dla niego — Damon, na cześć ulubionego futbolisty. W celu upamiętnienia swojego starszego syna rodzice nazwali dziecko Damon Jeffrey. Do kapsuły czasu wkładamy w imieniu Jeffa szpitalną opaskę jego braciszka.

— Ginny Baker. — Nabrałam tchu. Tak wiele chciałam powiedzieć o Ginny, która tyle wycierpiała. Której cierpienie wcale się nie skończyło. Która nie mogła się tu dziś zjawić, bo spróbowała skończyć to, co zaczął Nick. Chciała się ukarać za prześladowania, których stała się powodem. — Ginny jako dwulatka wygrała konkurs młodych talentów. Kiedy miała sześć lat, sama nauczyła się ewolucji pałeczką mażoretki\*<sup>1</sup>. Ginny zdecydowała... — urwałam, usiłując powstrzymać płacz — ...nie wkładać niczego do kapsuły czasu. — Spuściłam głowę.

Na zmianę czytaliśmy historie Lin Yong, Amandy Kinney, Maxa Hillsa i innych. Wdowa po panu Klinie rozszlochała się głośno, kiedy włożyliśmy do kapsuły czasu ćwierćdolarówkę, aby upamiętnić jego zwyczaj rzucania pieniędzy uczniom, którzy odpowiedzieli poprawnie. Jedna z jej córek siedziała jak skamieniała, z twarzą ukrytą w fałdach sukienki matki.

---

1 \*Mażoretki — (fr. *majorette*) młode dziewczyny ubrane w stroje nawiązujące do umundurowania galowego różnych formacji wojskowych, biorące udział w paradach ulicznych, podczas których wykonują układy taneczne do muzyki orkiestr dętych i zonglują pałeczkami.

Po odczytaniu ostatniego nazwiska zesłam po stopniach i usiadłam na swoim krześle. Staralam się nie patrzeć na nikogo. Zbyt wyraźnie słyszałam dobiegające z widowni pochlipywanie.

\*

Jessica została sama na podium. Miała czerwony nos, ale oczy jej płonęły. Wiatr rozwiewał jej włosy.

— Zostały jeszcze dwie osoby — powiedziała do mikrofonu. Zmarszczyłam brwi i policzyłam wszystkich na palcach. Nikogo nie brakowało. Jessica nabrała tchu.

— Nick Levil kochał Szekspira. — Wstrzymałam oddech. Kiedy Jessica rozmawiała z rodziną Nicka? Dlaczego to zrobiła? Czy umyślnie mi o tym nie wspomniała? Wyteżyłam wzrok. Na ławce widniało nazwisko Nicka — ostatnie na liście ofiar. Z gardła wyrwał mi się cichy szloch. Zakryłam usta ręką. Tym razem nie zdołałam powstrzymać łez, zwłaszcza gdy Jessica wrzuciła do kapsuły czasu stary, podarty egzemplarz *Hamleta*, ten sam, z którego Nick tyle razy czytał mi urywki.

Ledwie słyszałam dalsze słowa Jessiki.

— Valerie Leftman jest bohaterką. Nie znam nikogo tak odważnego. Otrzymanie postrzału to najmniej przerażająca rzecz, która ją spotkała w tym roku. Valerie ocaliła mi życie i położyła kres strzelaninie drugiego maja 2008 roku. Spotkał mnie ten zaszczyt, że mogę ją nazywać przyjaciółką. Valerie włożyła do kapsuły czasu notes z rysunkami. — Wyjęła mój czarny zeszyt i położyła go na *Hamlecie*. Moja rzeczywistość i ucieczka Nicka... tuż obok siebie.

Jessica podziękowała za uwagę i w zupełnej ciszy wróciła na swoje miejsce. Nagle pojedyncze oklaski zmieniły się w grzmot. Parę osób — te, które nadal nad sobą panowały — wstało.

Odwróciłam się i spojrzałam — rodzice także bili brawo i ocierali oczy. Doktor Hieler stał, nie zwracając sobie głowy osuszaniem łez.

Pan Angerson wszedł na podium i zaczęło się rozdawanie dyplomów, start w dalsze życie.

Pomyślałam o otwartej walizce, która leżała na moim łóżku. Moje rzeczy, prawie spakowane. Pod bielizną i stanikami spoczywało zdjęcie mnie i Nicka na skale nad Blue Lake. Egzemplarz Daru strachu, który dostałam od doktora Hiera z napomnieniem, żebym „dbała o siebie”. Stosik kart doładowujących komórki, które tata bez słowa wcisnął mi w rękę, kiedy zjawił się w sobotę po Frankiego. Katalogi college'ów od pani Tate.

Pomyślałam o pociągu, który chciałam złapać rano — cel nieznany — i że mama pewnie będzie płakać na stacji i prosić, żebym nie wyjeżdżała, przynajmniej nie bez planu podróży. A tata pewnie odetchnie z ulgą, gdy pociąg ruszy. I że nie mogę mieć o to do niego pretensji.

Wyobraziłam sobie to, co mnie ominie pod moją nieobecność. Czy mama wyjdzie za Mela? Czy przegapię pierwszą pracę Frankiego, na przykład jako ratownika na basenie? I wiadomość, że Briley zaszła w ciążę? Czy kiedy o tym usłyszę, zatęsknię za nimi, czy też pomyślę, że zasłużyli choć na tyle — na moją nieobecność podczas tych radosnych chwil?

— Jesteś pewna? — spytał doktor Hieler na ostatnim spotkaniu. — Masz dość pieniędzy?

Przytaknęłam.

— I pański numer.

Ale chyba oboje wiedzieliśmy, że nie zadzwonię, nawet gdybym się obudziła w mroku jakiegoś parszywego hotelu z bólem nogi i głosem Nicka w uszach. Nawet gdybym wreszcie zdołała sobie przypomnieć mglisty obraz Nicka roztrzaskującego sobie czaszkę na moich oczach. Nawet żeby powiedzieć: „Wesołych świąt”, „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin”, „U mnie wszystko dobrze” albo „Ratunku!”.

Doktor przytulił mnie i oparł brodę na mojej głowie.

— Będzie dobrze — szepnął, choć nie wiem, do kogo się zwracał: do mnie czy do siebie.

Wróciłam do domu i skończyłam się pakować. Walizka leżała na łóżku pod ścianą z konikami, oczywiście — jak zawsze — zupełnie nieruchomymi.

## PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim chciałabym serdecznie podziękować Cori Deyoe za to, że na mnie postawiła, że została moją mentorką i przyjaciółką, dodawała mi odwagi do dalszego pisania i była moją najgłośniejszą i najlepszą cheerleaderką.

Ogromne podziękowania dla T.S. Fergusona za to, że uwierzył w tę historię, że zdradził mi tak wiele tajników sztuki pisarskiej, cierpliwie odpowiadał na obłąkaną liczbę pytań i zmusił mnie do wnikliwości, o jaką siebie nie podejrzewałam. Dziękuję także wszystkim z wydawnictwa Little, Brown, którzy przeczytali tę książkę i uczestniczyli w pracy nad nią, zwłaszcza Jennifer Hunt, Alvinie Ling i Melanie Sanders. Szczególne wyrazy wdzięczności dla Dave'a Capla— na za fantastyczny projekt okładki.

Dziękuję koleżankom po piórze — Cheryl O'Donovan, Laurie Fabrizio, Nancy Pistorius i dziewczynom z Cafe Scribe — Dani, Judy, Serenie i Suzy — za pocieszanie mnie, kiedy wpadałam w rozpacz.

Dziękuję mojej mamie, Bonnie McMullen — nie tylko mi to mówiła, lecz także codziennie udowadniała, że w życiu wszystko jest możliwe. Dziękuję też tacie, Thomasowi Gormanowi, za to, że zawsze uważa tekst, nad którym aktualnie pracuję, za szczyt doskonałości. Ślę także podziękowania dalszej rodzinie — Billowi McMullenowi i Sherree Gorman, moim „przybranym rodzicom” Dennisowi i Glorii Hey oraz „siostrze” Sonyi Jackson, która już dawno twierdziła, że ten dzień kiedyś nadejdzie.

Nie znam tak wielkich słów, by wyrazić, jak wiele wsparcia i miłości za-  
wdzięczam mojemu mężowi Scottowi, który nieustająco we mnie wierzył. Mo-  
im dzieciom, Paige, Westonowi i Randowi, dziękuję za cierpliwość i inspirację.  
Mam wielkie nadzieje na przyszłość, w której cała wasza trójka odgrywa głów-  
ną rolę.

I w końcu ogromne wyrazy miłości i wdzięczności dla tego, kto pociąga za  
sznurki „tam w górze”. Jack, mam nadzieję, że to ty. Jestem ci winna wielkiego  
buziaka!

TLR